

JUTRO

JOHN MARSDEN

JUTRO

kiedy zaczęła się wojna

tłumaczenie
Anna Gralak

znak *litera*
nova

Kraków 2011



Tytuł oryginału

Tomorrow, When The War Began

Text copyright © 1993 by John Marsden

Projekt okładki

Magda Kuc

Opieka redakcyjna

Julita Cisowska

Alicja Gaładziz

Adiustacja

Julita Cisowska

Korekta

Katarzyna Ouderka

Opracowanie typograficzne

Irena Jagocha

Daniel Malak

Łamanie

Irena Jagocha

Copyright © for the translation by Anna Gralak 2011

ISBN 978-83-240-1628-0

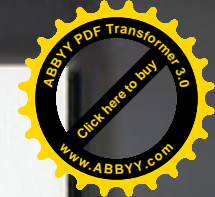
Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Wydanie I, Kraków 2011

Druk: Rzeszowskie Zakłady Graficzne S.A., ul. Pogwizdów Nowy 662, Zaczernie



1

Upłynęło zaledwie pół godziny, odkąd ktoś – chyba Robyn – powiedział, że powinniśmy to wszystko zapisać, i zaledwie dwadzieścia dziewięć minut, odkąd wybrano do tego mnie. I od tych dwudziestu dziewięciu minut wszyscy nade mną stoją i wpatrują się w pustą kartkę, wykrzykując różne pomysły i rady. Ludzie, odczepcie się! W ten sposób nigdy nic nie napiszę. Nie mam pojęcia, od czego zacząć, a w takim hałasie nie potrafię się skupić.

No, tak już lepiej. Powiedziałam im, żeby dali mi trochę spokoju, i Homer mnie poparł, więc w końcu sobie poszli i mogę normalnie myśleć.

Nie jestem pewna, czy będę w stanie to napisać. Równie dobrze mogę od razu się do tego przyznać. Wiem, dlaczego mnie wybrali – bo podobno piszę najlepiej z nas wszystkich – ale tu chodzi o coś więcej niż o samą umiejętność pisania. Mogą się pojawić pewne drobne problemy. Takie drobne problemy jak uczucia, emocje.

Ale do nich dojdziemy później. Być może. Poczekamy i zobaczymy.

Siedzę teraz nad strumykiem, na powalonym drzewie. To ładne drzewo. Nie stare i zgniłe, zżerane przez białe larwy, lecz młode drzewo o gładkim czerwonym pniu i liściach, w których widać jeszcze resztki zieleni. Trudno powiedzieć, dlaczego upadło – wygląda całkiem zdrowo – ale może wyrosło za blisko strumyka.

Dobrze mi tutaj. Rozlewisko ma zaledwie jakieś dziesięć metrów na trzy, ale jest zaskakująco głębokie – pośrodku woda sięga do pasa. Nicustannie pojawiają się małe koncentryczne kręgi, kiedy owady dotykają wody, śmigając tuż nad jej powierzchnią. Zastanawiam się, gdzie one śpią i kiedy. Zastanawiam się, czy we śnie zamykają oczy. Zastanawiam się, jak się nazywają. Zalatane, anonimowe, bezsenne owady.

Szczerze mówiąc, piszę o rozlewisku tylko po to, żeby uniknąć tego, co powinnam robić. Zupełnie jak Chris, który szuka sposobów, aby wymigać się od czegoś, czego wołałby uniknąć. Widzicie: niczego nie ukrywam. Ostrzegłam ich, że nie mam takiego zamiaru.

Mam nadzieję, że Chris nie będzie miał żalu, że wybrali mnie, a nie jego, bo Chris pisze naprawdę dobrze. Wyglądał na nieco urażonego, chyba nawet trochę mi zazdrości. Ale on nie uczestniczył w tym od samego początku, więc pewnie by sobie nie poradził.

Dobra, lepiej przestanę ściemniać i przejdę do rzeczy. Jest tylko jeden sposób, żeby to zrobić: opowiedzieć wszystko po kolei, w porządku chronologicznym. Wiem, że spisanie tych wydarzeń jest dla nas ważne. Właśnie dlatego tak bardzo się ucieszyliśmy, kiedy Robyn wpadła na ten pomysł. To bardzo, bardzo ważne. Utrwalenie tego, co zrobiliśmy – słowami, na papierze – będzie naszym sposobem na udowodnienie sobie, że coś znaczymy, że odegraliśmy jakąś rolę. Że nasze działania coś zmieniły. Nie wiem, jak dużo, ale coś na pewno. Spisanie tego to szansa, że zostaniemy zapamiętani. A przysięgam na Boga, że to dla nas ważna sprawa. Nie chcemy skończyć jako sterta martwych białych kości, niezauważeni, nieznani i – co najgorsze – ze świadomością, że nikt się nie dowie o ryzyku, jakie podjęliśmy, ani tego nie doceni.

Mysząc o tym wszystkim, dochodzę do wniosku, że powinnam to napisać jak książkę historyczną, bardzo poważnym językiem, bardzo oficjalnym. Ale nie potrafię. Każdy ma własny styl, a mój wygląda właśnie tak. Jeśli nie przypadnie im do gustu, będą musieli znaleźć kogoś innego.

Dobra, lepiej wezmę się do roboty.

Wszystko zaczęło się od tego... Śmiesznie brzmią te słowa. Każdy ich używa, nie zastanawiając się, co właściwie znaczą. Od czego wszystko się zaczyna? W wypadku ludzi początkiem jest chwila narodzin. Albo małżeństwo rodziców. Albo jeszcze wcześniej, chwila narodzin rodziców. Albo osiedlenie się przodków w danym miejscu. Albo moment, w którym ludzie wyszli z wody, rozbryzgując błoto i muł, odrzucili płetwy i zaczęli chodzić. Ale pomijając te wszystkie zawilości, nasza historia miała dość wyraźny początek.

Zatem wszystko zaczęło się od tego, że po świętach Bożego Narodzenia ja i Corrie nabrałyśmy ochoty, żeby spędzić kilka dni na łonie natury, w dziczy. Tak po prostu: „Hej, co powiesz na...?”. Biwakowałyśmy dość często, od dziecka, brałyśmy motory obciążone sprzętem i jechałyśmy nad rzekę. Spałyśmy pod gwiazdami, a w zimne noce rozpościerałyśmy kawałek brezentu między dwoma drzewami. Nie była to więc żadna nowość. Czasami dołączała do nas trzecia przyjaciółka, zazwyczaj Robyn albo Fi. Żadnych chłopaków. W tym wieku myślisz, że chłopaki mają tyle osobowości co wieszak na ubrania, i wcale ich nie zauważasz.

A potem dorastasz.

No więc kilka tygodni temu, choć teraz trudno mi w to uwierzyć, leżałyśmy przed telewizorem, oglądałyśmy jakiś chłam i rozmawiałyśmy o feriach.

– Od wieków nie byłyśmy nad rzeką – powiedziała Corrie. – Wybierzmy się tam.

– Dobra. Hej, zapytajmy tatę, czy pożyczy nam land-rovera.

– Dobra. Hej, zapytajmy Kevina i Homera, czy nie chcieliby się przyłączyć.

– Jasne, chłopaki! Ale rodzice nigdy nam nie pozwolą.

– A ja myślę, że pozwolą. Warto spróbować.

– Dobra. Hej, jeśli dostaniemy land-rovera, pojedźmy dalej niż zwykle. Super byłoby dotrzeć aż do Krawca i do Piekła, nie?

– Jasne, zapytajmy.

Krawiec, a właściwie Szew Krawca, to długie pasmo górskie, grań, która biegnie prosto jak strzelił od Mount Martin do Wombegonoo. Jest skalista, a miejscami bardzo wąska i stroma, ale da się po niej iść i rośnie tam trochę drzew. Widoki są fantastyczne. Można dojechać prawie na sam szczyt niedaleko Mount Martin, korzystając ze starej drogi do wyrębu, która tak bardzo zarosła, że trudno ją teraz znaleźć. Piekło leży po drugiej stronie Krawca. To wielki dół pełen głazów, drzew, jeżyn, zdziczałych psów, wombátów i krzaków. To prawdziwa dzicz i wcześniej nie znałam nikogo, kto by się tam zapuścił, chociaż sama dość często stałam na jej skraju i patrzyłam w dół. Przede wszystkim nie miałam pojęcia, jak się tam dostać. Otaczające Piekło urwiska są niesamowite, miejscami sięgają kilkuset metrów. W dół prowadzą mniejsze urwiska zwane Szatańskimi Schodami, ale wiercie mi, jeśli to są schody, to Wielki Mur Chiński należałoby uznać za płot. Jeżeli jednak istnieje jakaś droga do Piekła, musi być gdzieś między tymi urwiskami. Zawsze chciałam spróbować się tam dostać. W okolicy krążyły historie o pustelniku z Piekła, byłym mordercy, który podobno mieszkał tam od lat. Mówiono, że zabił własną żonę i dziecko. Chciałam wierzyć w jego istnienie, ale nie było to takie łatwe. Mózg ciągle zadawał mi niezręczne pytania w stylu: „Jak to możliwe, że nie skończył na szubienicy jak wszyscy mordercy w tamtych czasach?”. Mimo to historia była ciekawa i miałam nadzieję, że okaże się prawdziwa. Może nie ta część o morderstwie, ale przynajmniej ta o pustelniku.

W każdym razie pomysł, żeby wyruszyć na biwak, narodził się właśnie tamtego dnia. Po prostu podjęliśmy decyzję i od razu wzięliśmy się do roboty. Pierwsze zadanie polegało na przekonaniu rodziców, żeby w ogóle pozwolili nam jechać. Nie chodzi o to, że nam nie ufają, ale, jak powiedział tata, była to „dość śmiała prośba”. Nie mówili nie, po prostu bardzo długo podsuwali nam inne pomysły. Chyba większość rodziców postępuje w ten sposób.

Nie chcą wszczynać kłótni, więc proponują inne rozwiązania, na które mogliby się zgodzić, i mają nadzieję, że my też się zgodzimy. „Może zamiast tego pojedziecie nad rzekę?”, „Może zamiast chłopców weźmiecie Robyn i Meriam?”, „Może po prostu pojedziecie rowerami? Albo nawet konno? Urządźcie sobie prawdziwy biwak w starym stylu. Będzie fajna zabawa”.

Wyobrażenie mamy na temat fajnej zabawy sprowadza się do robienia dżemu na konkurs przetworów towarzyszący festynowi w Wirrawee, więc trudno ją było uznać za autorytet w tych sprawach. Trochę dziwnie się czuję, pisząc takie rzeczy – jeśli wziąć pod uwagę to, przez co wszyscy przeszliśmy – ale postawiłam na uczciwość i nie będę się rozklejać.

W końcu doszliśmy do porozumienia i w zasadzie wyszło całkiem niezle. Mogłyśmy wziąć land-rovera, z tym że tylko mnie wolno go było prowadzić, mimo że Kevin miał prawo jazdy, a ja nie. Ale tata wie, że jestem dobrym kierowcą. Mogłyśmy pojechać aż na szczyt Szwu Krawca. Mogłyśmy zaprosić chłopców, ale musiało być więcej osób: co najmniej sześć, ale nie więcej niż osiem. To dlatego, że według mamy i taty w większej grupie istnieje mniejsze ryzyko orgii. Nie żeby podali taki właśnie powód – twierdzili, że chodzi o bezpieczeństwo – ale za dobrze ich znam.

Tak, starannie napisałam ostatnie słowo – „znam” – bo nie chciałabym, żeby ktoś je pomylił ze „znałam”.

Musiałymy obiecać, że nie zabierzemy żadnego alkoholu ani papierosów i że chłopcy też ich nie wezmą. Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego dorośli robią z dorastania taki skomplikowany proces. Oczekują, że będziesz nieustannie szukać okazji do różnych wyskoków. Czasami nawet podsuwają ci pomysły. Nie wydaje mi się, żeby w ogóle przyszło nam do głowy zabrać alkohol i fajki. Przede wszystkim to zbyt droga impreza, a po Bożym Narodzeniu wszyscy byliśmy splukani. Ale najzabawniejsze jest to, że kiedy rodzice podejrzewali nas o jakieś grzeszki, zawsze byliśmy

grzeczni, a kiedy myśleli, że jesteśmy niewinni, zazwyczaj coś knuliśmy. Na przykład nigdy nie mieli nic przeciwko próbom szkolnego teatrzyku, a ja wszystkie te próby spędzałam ze Steve'em, pochłonięta rozpinaniem guzików i pasków, a potem ich gorączkowym zapinaniem, kiedy pan Kassar zaczynał krzyżeć: „Steve! Ellie! Oni znów to samo? Niech mi ktoś przyniesie łom!”.

Bardzo zabawny człowiek z tego pana Kassara.

W końcu na liście znalazło się osiem osób, łącznie z nami dwiema. Nie pytałyśmy Elliota, bo jest zbyt leniwy, ani Meriam, która była pochłonięta zbieraniem doświadczenia zawodowego pod okiem rodziców Fi. Pięć minut po zrobieniu listy jeden z chłopaków, Chris Lang, wpadł do mnie ze swoim tatą. Więc od razu spytałyśmy, czy się z nami wybierze. Pan Lang to wielki facet, który zawsze nosi krawat, bez względu na to, gdzie jest i co robi. Sprawia wrażenie dość trudnego i poważnego człowieka. Chris mówi, że jego ojciec urodził się na rogu Porządnej i Przykładnej, co wszystko wyjaśnia. Kiedy jego tata jest w pobliżu, Chris prawie się nie odzywa. Ale zapytałyśmy ich obu, gdy siedzieli przy naszym kuchennym stole i obżerali się babeczkami mojej mamy. Od razu zaliczyłyśmy porażkę. Okazało się, że państwo Lang wyjeżdżają za granicę i chociaż zatrudniali pracownika, Chris musiał zostać w domu, żeby mieć wszystko na oku. To był kiepski początek urzeczywistniania naszych planów.

Ale następnego dnia wsiadłam na rower i pojechałam przez pola do domu Homera. Normalnie pojechałabym drogą, ale mama przejmowała się nowym gliniarzem, który spisywał każdego, kto się ruszał. W pierwszym tygodniu służby wlepił mandat żonie sędziego pokoju, która nie zapięła pasów. Wszyscy uważali, żeby nie wejść facetowi w drogę.

Znalazłam Homera nad strumieniem, gdzie testował zawór, który przed chwilą wyczyścił. Kiedy przyjechałam, trzymał go w górze i z optymizmem sprawdzał, czy już nie przecieka.

– Popatrz – powiedział, kiedy zsiadłam z yamaha. – Idealna szczelność.

– Co było nie tak?

– Nie wiem. Wiem tylko tyle, że trzy minuty temu przepuszczał wodę, a teraz już nie. Jak dla mnie to wystarczy.

Podniosłam rurę i przytrzymałam, żeby mógł z powrotem przykręcić zawór.

– Nie cierpię pomp – dodał. – Kiedy papcio wykituje, na każdym polu wykopię sztuczne jezioro.

– Super. Będiesz mógł zatrudnić moją firmę do robót ziemnych.

– To twój najnowszy pomysł? – Pomacał mój prawy biceps. – Jak tak dalej pójdzie, będziesz mogła kopać jeziora łopatą.

Spróbowałam go wepchnąć do wody, ale był za silny. Patrzyłam, jak napuszcza wodę do wiader, a potem pomogłam mu je przenieść, żeby dokończyć zalewanie pompy. Po drodze przedstawiłam nasze plany.

– No jasne, piszę się – powiedział. – Wprawdzie wolałbym, żebyśmy pojechali do jakiegoś tropikalnego kurortu i popijali koktajle z parasoleczkami, ale póki co zadowolę się biwakiem.

Poszliśmy do niego na lunch, a potem poprosiliśmy jego rodziców o pozwolenie.

– Jedziemy z Ellie na parę dni do lasu – oznajmił Homer.

To był jego sposób na pytanie o pozwolenie. Jego matka w ogóle nie zareagowała, a ojciec tylko uniósł brew nad kubkiem z kawą. Za to George, brat Homera, zasypał nas gradem pytań. Kiedy podałam termin, powiedział:

– A co z festynem?

– Nie możemy jechać wcześniej – odparłam. – Państwo Mackenzie strzygą owce.

– Jasne, ale kto przygotowuje byki na wystawę?

– Jesteś mistrzem suszarki – powiedział Homer. – Widziałem, jak sterczysz przed lustrem w sobotnie wieczory. Tylko pamiętaj,

żeby nie robić byków w stylu greckim, wystarczy nasmarować im sierść olejem. – Potem zwrócił się do mnie: – Papcio trzyma w szopie czterdziestoczworogalonową beczkę oleju specjalnie dla George'a na jego sobotnie wypadu.

George nie słynął z poczucia humoru, więc spuściłam wzrok i wpakowałam do ust kolejną porcję tabbuli.

Zatem Homer jechał z nami. Wieczorem zadzwoniła Corrie i powiedziała, że Kevin też się przyłączy.

– Nie był zbyt chętny – powiedziała. – Pewnie wolalby się wybrać na festyn. Ale zrobi to ze względu na mnie.

– Jakie to romantyczne... zaraz puszczę pawia – prychnęłam. – Powiedz mu, że jeśli chce, może iść na festyn. Jest mnóstwo innych chłopaków, którzy z radością go zastąpią.

– Jasne, ale żaden z nich nie skończył jeszcze dwunastu lat – westchnęła Corrie. – Mali bracia Kevina marzą, żeby z nami pojechać. Tylko są za młodzi, nawet dla ciebie.

– A dla ciebie za starzy – odburknęłam.

Po rozmowie z Corrie zadzwoniłam do Fiony i przedstawiłam jej nasze plany.

– Chcesz się z nami wybrać? – zapytałam.

– Och! – wydawała się zaskoczona, jakbym organizowała tę wycieczkę specjalnie dla niej. – Jejku. Chcesz, żebym się z wami wybrała?

Nie zadałam sobie trudu, żeby odpowiedzieć na takie pytanie.

– Jejku. – Fi była jedyną znaną mi osobą przed sześćdziesiątką, która mówiła „jejku”. – Kto jeszcze jedzie?

– Ja i Corrie. Homer i Kevin. Poza tym chcemy zaprosić Robyn i Lee.

– W takim razie bardzo chętnie. Zaczekaj chwilę, pójdę zapytać rodziców.

To było długie oczekiwanie. W końcu wróciła z całą serią pytań. Przekazywała moje odpowiedzi mamie albo tacie, albo im obojgu. Mniej więcej po dziesięciu minutach takiego przekazywania

rozpoczęła się następna długa rozmowa. Potem Fi znowu podniosła słuchawkę.

– Robią problemy – westchnęła. – Myślę, że się uda, ale moja mama chce zadzwonić do twojej, żeby się upewnić. *Sorry*.

– W porządku. Postawię przy tobie znak zapytania i pogadamy w weekend, dobra?

Odłożyłam słuchawkę. Coraz trudniej rozmawiało mi się przez telefon, bo w pokoju ryczał telewizor. Mama nastawiła go za głośno – żeby słyszeć wiadomości w kuchni. Ekran wypełniła czyjaś rozszluszczona twarz. Przystanęłam i obejrzałam kawałek wiadomości.

– Nasz minister spraw zagranicznych to mięczak – krzyczała twarz. – Jest słaby i tchórzliwy, to nowy Neville Chamberlain. Nie rozumie ludzi, z którymi ma do czynienia. Oni szanują siłę, a nie słabość!

– Myśli pan, że rząd przywiązuje dużą wagę do obronności kraju? – zapytał dziennikarz.

– Dużą wagę? Dużą wagę? Chyba pan żartuje! Wie pan, jak okroili budżet na obronę?

Całe szczęście, że spędzę tydzień z dala od tego wszystkiego, pomyślałam.

Poszłam do gabinetu taty i zadzwoniłam do Lee. Minęło sporo czasu, zanim udało mi się wyjaśnić jego mamie, że chcę rozmawiać z jej synem. Jej angielszczyzna pozostawiała wiele do życzenia. Lee dziwnie się zachowywał, kiedy podszedł do telefonu, był wręcz podejrzliwy. Na wszystko, co mówiłam, reagował powoli, jakby analizował każde słowo.

– Mam grać koncert z okazji Dnia Pamięci – powiedział, kiedy podałam termin.

Nastąpiła cisza, którą w końcu przerwałam.

– No więc jak? Jedziesz z nami?

Wtedy się roześmiał.

– Zapowiada się lepsza zabawa niż na koncercie.

Kiedy powiedziałam, że chcę zaprosić Lee, Corrie się zdziwiła. W szkole w zasadzie się z nim nie zadawałyśmy. Sprawiał wrażenie poważnego gościa, bardzo pochłoniętego muzyką, ale mimo to uznałam, że jest interesujący. Nagle zdałam sobie sprawę, że niedługo skończymy szkołę, a nie chciałam jej opuszczać, nie poznawszy takich ludzi jak Lee. Mieliśmy w klasie osoby, które nie zdążyły jeszcze poznać imion niektórych uczniów! A przecież chodziliśmy do takiej małej szkoły. Niektórzy budzili we mnie ogromną ciekawość, a im bardziej się różnili od tych, z którymi się kumpłowałam, tym ciekawość była większa.

– No więc jak? – zapytałam.

Nastąpiła kolejna długa chwila milczenia. W ciszy czuję się niezręcznie, więc mówiłam dalej:

– Mam zapytać twoich rodziców?

– Nie, nie. Ja z nimi porozmawiam. Jasne, jadę z wami.

– Nie wydajesz się zachwycony.

– Hej, jestem zachwycony! Po prostu będę musiał pokonać kilka problemów. Ale plan brzmi super, jadę z wami. Co mam zabrać? Na końcu zadzwoniłam do Robyn.

– Och, Ellie – jęknęła – byłoby świetnie! Ale rodzice nigdy mi nie pozwolą.

– Daj spokój, Robyn, bądź twarda. Przyciśnij ich.

Westchnęła.

– Och, Ellie, nie znasz moich rodziców.

– Tak czy siak, zapytaj ich. Zaczekam.

– Dobra.

Kilka minut później rozległ się trzask podnoszonej słuchawki, więc zapytałam:

– No i? Urobiłaś ich?

Niestety, okazało się, że słuchawkę podniósł pan Mathers.

– Nie, Ellie, nie urobiła nas.

– O, pan Mathers! – Było mi głupio, ale i wesoło, bo wiedziałam, że owinę sobie pana Mathersa wokół palca.

– No więc o co chodzi z tym biwakiem, Ellie?

– Pomyśleliśmy, że najwyższa pora wykazać się niezależnością, inicjatywą i innymi fajnymi cechami. Chcemy kilka dni położyć po lesie wzdłuż Szwu Krawca. Uciec od wyuzdania i grzechów Wirrawee do czystego i zdrowego górskiego powietrza.

– Hmm. Bez dorosłych?

– Och, panie Mathers, serdecznie pana zapraszamy, pod warunkiem że nie ukończył pan trzydziestu lat.

– To dyskryminacja, Ellie.

Żartowaliśmy sobie z pięć minut, a później pan Mathers spoważniał.

– Widzisz, Ellie, po prostu uważamy, że jesteście trochę zbyt młodzi na samotne jeżdżenie po lesie.

– Panie Mathers, co pan robił, kiedy był pan w naszym wieku? Roześmiał się.

– Dobra, punkt dla ciebie. Pracowałem przy owcach w Callamatta Downs. To było, jeszcze zanim zostałem mądrąłą w koszuli i krawacie. – Pan Mathers był agentem ubezpieczeniowym.

– Nasz wypad to nic w porównaniu z pracą przy owcach w Callamatta Downs!

– Hmm.

– Zresztą co złego może nas tam spotkać? Myśliwi w terenówkach? Musieliby przejechać przez nasze gospodarstwo, a tata by ich nie przepuścił. Pożar? Jest tam tyle skał, że będziemy bezpieczniejsi niż w domu. Węże? Każde z nas wie, co robić w razie ukąszenia. Nie zgubimy się, bo Szew Krawca jest jak autostrada. Łaziłam po tamtych terenach, odkąd nauczyłam się chodzić.

– Hmm.

– A może wykupimy u pana polisę? Czy wtedy by się pan zgodził? Umowa stoi?

Robyn zadzwoniła następnego dnia wieczorem i powiedziała, że umowa stoi, nawet bez polisy. Była ucieszona i nie mogła się doczekać. Miała za sobą długą rozmowę z rodzicami – powiedziała,

że jeszcze nigdy tak dobrze im się nie gadalo. Po raz pierwszy pozwolili jej na taką wyprawę, więc bardzo jej zależało, żeby wyjazd wypalił.

– Och, Ellie, mam nadzieję, że nie będzie żadnych wpadek – powtarzała.

Najzabawniejsze było to, że jeśli istnieją rodzice, którzy mają córkę godną pełnego zaufania, są nimi właśnie państwo Mathers, ale oni najwyraźniej jeszcze tego nie zauważyli. Największym problemem, jaki kiedykolwiek mogła im sprawić, było chyba spóźnienie się do kościoła. A i to pewnie dlatego, że pomagała jakiemuś skautowi przejść na drugą stronę ulicy.

Sprawa wyglądała całkiem niezłe. W sobotę rano pojechałam z mamą na zakupy i spotkałyśmy Fi z jej mamą. Dwie mamy odbyły długą poważną rozmowę, a ja i Fi gapiliśmy się przez okno sklepu ogrodniczego i próbowałyśmy coś podsłuchać. Mama skupiła się na zapewnieniach. „To bardzo rozsądne dzieci – usłyszałam. – Bardzo rozsądne”. Na szczęście nie wspomniała o ostatnim popisie Homera: niedawno przyłapano go na tym, że wylewał w poprzek drogi strużkę rozpuszczalnika, a kiedy zbliżał się jakiś samochód, podpalał ją, przycupnięty w swojej kryjówce. Zanim go nakryto, zrobił ten numer sześć razy. Nie wyobrażam sobie szoku, jakiego doznawali kierowcy tych samochodów.

Tak czy siak, cokolwiek mama powiedziała mamie Fi, jej słowa okazały się skuteczne i ostatecznie mogłam skreślić znak zapytania przy nazwisku Fi. Nasza lista skurczyła się do siedmiu osób, ale wszystkie były zdecydowane, a my cieszyłyśmy się z ich towarzysztwa. Właściwie cieszyłyśmy się z tego, że jedziemy my dwie, a pozostała piątka była dobrym dodatkiem. Spróbuję opisać ich takimi, jacy wtedy byli – albo jacy mi się wydawali, bo oczywiście od tamtego czasu trochę się zmienili, podobnie jak mój stosunek do nich.

Na przykład zawsze uważałam Robyn za osobę dość cichą i poważną. Co roku dostawała świadectwo z wyróżnieniem i była

bardzo wierząca, ale wiedziałam, że ma w sobie coś jeszcze. Lubiła wygrywać. Było to widać na boisku. Grałyśmy w jednej drużynie netballu i szczerze mówiąc, niektóre jej zachowania wprawiały mnie w zakłopotanie. Na przykład jej determinacja. Kiedy zaczynał się mecz, Robyn przeobrażała się w rozpędzony helikopter: atakowała i pędziła po boisku, taranując wszystkich po drodze, jakby to było konieczne. Jeśli trafił się słaby sędzia, Robyn potrafiła narobić w ciągu jednego meczu tyle samo szkód co śmigłowiec bojowy. Ale kiedy gra dobiegała końca, spokojnie ścisnęła przeciwnikom dłonie, dziękowała im za „dobry mecz” i wracała do swojego normalnego Ja. Dziwne. Robyn jest drobna, ale silna, umięśniona i świetnie utrzymuje równowagę. Bez wysiłku śmiga po boisku, po którym reszta z nas wlecze się jak w błocie.

Powinnam jednak wykluczyć z tej reszty Fi, która też jest lekka i pełna wdzięku. Fi zawsze była dla mnie kimś w rodzaju bohaterki, kimś, kto wydawał mi się zasługującym na podziw ideałem. Kiedy zrobiła coś złego, mówiłam: „Fi! Nie rób tego! Jesteś moim wzorem!”. Uwielbiam jej piękną gładką skórę. Ma to, co moja mama nazywa „delikatnymi rysami twarzy”. Wygląda tak, jakby nigdy w życiu nie zaznała ciężkiej pracy, jakby nigdy się nie opalała i nie ubrudziła sobie rąk – co zresztą było prawdą, bo w przeciwieństwie do nas, wieśniaków, mieszkała w mieście i zamiast kapać owce albo znakować jagnięta, grała na pianinie. Jej rodzice są prawnikami.

Za to Kevin to typowy mieszkaniec wsi. Jest od nas starszy, ale to chłopak Corrie, więc musiał z nami jechać, bo w przeciwnym razie moja przyjaciółka od razu straciłaby zainteresowanie wyprawą.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważało się u Kevina, były jego strasznie szerokie usta. Drugą wielkość rąk. Były ogromne jak kielnie. Kevin słynął z wybujałego ego i lubił być podziwiany, w związku z czym często działał mi na nerwy, ale mimo to uważałam go za najlepszą rzecz, jaka przydarzyła się Corrie, bo zanim moja

przyjaciółka zaczęła z nim chodzić, była zbyt cicha i nikt nie zwracał na nią uwagi. Często ze sobą rozmawiali w szkole, a potem zaczęła mi mówić, jaki to z niego wrażliwy i troskliwy facet. Chociaż osobiście nie byłam w stanie tego dostrzec, widziałam, że dzięki niemu zaczęła nabierać pewności siebie, i to mi się spodobało.

Zawsze wyobrażałam sobie Kevina za dwadzieścia lat jako przewodniczącego Komitetu Organizacyjnego Festynu Wirrawee, który w soboty grywa w krykieta w klubie, nawija o wysokich cenach jagnięciny i wychowuje trójkę dzieci – być może z Corrie. Właśnie do takiego świata byliśmy przyzwyczajeni. Tak naprawdę nigdy nie przypuszczaliśmy, że cokolwiek mogłoby się zmienić.

Lee mieszkał w mieście, podobnie jak Fi. „Lee i Fi z Wirrawee” – śpiewaliśmy. Na tym jednak kończyły się ich wspólne cechy. Lee był tak śniady, jak Fi blada. Miał czarne krótko przystrzyżone włosy, ciemnobrązowe inteligentne oczy i przyjemny miękki głos przycinający końcówki niektórych wyrazów. Jego ojciec był Tajlandczykiem, a matka Wietnamką. Prowadzili orientálną restaurację. I to całkiem dobrą. Często tam chodziliśmy. Lee był świetny z muzyki i sztuki. W zasadzie w ogóle świetnie sobie radził, ale potrafił być bardzo wkurzający, kiedy coś nie szło po jego myśli. Zamykał się wtedy w sobie i nie odzywał do nikogo przez wiele dni.

I wreszcie Homer, mój sąsiad. Homer był szalony, lubił szokować. Nie obchodziło go, co pomyślą ludzie. Nigdy nie zapomnę, jak pewnego razu, jeszcze jako dziecko, wpadłam do niego na lunch. Pani Yannos próbowała zmusić Homera do zjedzenia brukselki. Ostro się pokłócili i na koniec Homer rzucił tą brukselką w swoją mamę. Jedna trafiła ją w czoło, i to dosyć mocno. Zamurowało mnie. Nigdy czegoś podobnego nie widziałam. Gdybym spróbowała tego w domu, przykuliby mnie do traktora i przeciągnęli po polu. W ósmej klasie Homer codziennie namawiał co bardziej stukniętych kumpli na grę zwaną grecką ruletką. Polegała ona na tym, że w porze lunchu szukało się pomieszczenia

oddalonego od wzroku nauczycieli, a potem po kolei waliło się głową w szybę w oknie. Gracze robili to, póki nie rozległ się dzwonek albo nie pękła szyba – w zależności od tego, co nastąpiło wcześniej. Jeśli to twoja głowa stłukła szybę, musiałeś zapłacić za nową (ty albo twoi rodzice). Grając w grecką ruletkę, zbito wiele okien, zanim nauczyciele w końcu się połapali, o co chodzi.

Homer zawsze pakował się w kłopoty. Następną z jego ulubionych rozrywek było obserwowanie robotników, którzy wchodzili na dach szkoły, żeby zatkać dziury, zdjąć zabłąkane piłki albo wymienić rynny. Homer czekał, aż bezpiecznie dotrą na górę i skupią się na pracy, i wtedy przypuszczał atak. Pół godziny później na dachu rozlegały się wrzaski i wołanie: „Pomocy! Ściągnijcie nas stąd! Niech to szlag, jakiś pacan buchnął nam drabinę!”

W dzieciństwie Homer był dość niski, ale w ciągu kilku ostatnich lat nadrobił zaległości i sporo podrośł, stając się jednym z najwyższych koleś w szkole. Inni ciągle go namawiali na grę w nogę, ale on nie znosił większości dyscyplin sportowych i za nic nie chciał kopać piłki. Lubiał polować i często dzwonił do moich rodziców, pytając, czy może do nas wpaść razem z bratem i ustrzelić kilka królików. Poza tym lubiał pływać. I słuchać muzyki – czasami dosyć dziwnej.

Kiedy byliśmy mali, spędzałam z Homerem każdą wolną chwilę i nadal jesteśmy sobie bliscy.

Właśnie tak wyglądała Słynna Piątka. Razem ze mną i z Corrie miałyśmy Tajemniczą Siódmkę. Ha! Powieści Enid Mary Blyton mają jednak niewielki związek z tym, co nas spotkało. Nie przychodzi mi do głowy żadna książka, która byłaby w stanie opisać nasze losy. Ani żaden film. W ciągu kilku ostatnich tygodni każdy z nas musiał na nowo napisać scenariusz własnego życia. Dużo się nauczyliśmy i musieliśmy zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi i co się liczy – co się liczy naprawdę. Nie było lekko.

2

Zamierzaliśmy wyruszyć z samego rana, o ósmej. Około dziesiątej byliśmy już prawie gotowi. O dziesiątej trzydzieści mieliśmy za sobą jakieś cztery kilometry i zaczynaliśmy wspinaczkę na Szew Krawca. To długa, mozolna podróż szlakiem, który z upływem lat zmienił się w prawdziwy samochodowy koszmar. Są tam dziury tak duże, że prawie zgubiliśmy w nich land-rovera, a do tego strumyki i błotne potoki. Nie wiem, ile razy zatrzymywaliśmy się przed zwałonymi drzewami. Mieliśmy z sobą piłę łańcuchową i po chwili Homer zaproponował, żebyśmy w ogóle jej nie wyłączali. Wymyślił sobie, że będzie ją trzymał na kolanach, żeby nie trzeba było jej włączać przed każdym pniem. Chyba nie mówił poważnie. Mam nadzieję, że nie.

Na szlaku od dawna nikogo nie było. Wiedziałam o tym, bo żeby się na niego dostać, trzeba było przejechać przez nasze pola. Gdyby tata wiedział, jak wygląda droga, nigdy nie dałby nam land-rovera. Ufał moim umiejętnościom, ale nie aż tak bardzo. Podskakiwaliśmy na wertepach, ale mimo wszystko jechaliśmy dalej. Siłowałam się z kierownicą, utrzymując stałą prędkość pięciu kilometrów na godzinę, i czasami przyspieszałam do dziesięciu. Mniej więcej w połowie zaliczyliśmy kolejny nieplanowany postój, kiedy Fi poczuła, że za chwilę zwymiotuje. Natychmiast

zahamowałam, a ona wysiadła tylnymi drzwiami blada jak śmierć i podarowała zaroślom lepkie rzygowiny ku ucieście okolicznych dzikich psów albo kotów.

Nie był to piękny widok. Fi wszystko robiła z wdziękiem, ale nawet jej trudno było go zachować podczas wymiotowania. Potem przez jakiś czas szła piechotą, ale reszta z nas nadal kołysała się w land-roverze. W zasadzie w pewnym dziwnym sensie było zabawnie. Lee powiedział, że to lepsze niż przejażdżka karuzelą na festynie, bo trwało dłużej, a do tego było za darmo.

Dla tej wyprawy opuściliśmy festyn. Wyruszyliśmy w przeddzień Dnia Pamięci, kiedy cały kraj zastyga w bezruchu. Ale w naszym okręgu nie kończy się na bezruchu. Ludzie zastygają, a potem pędzą do Wirrawee, bo Dzień Pamięci to u nas tradycyjnie dzień festynu w Wirrawee. To wielkie wydarzenie. Opuściliśmy je jednak bez żalu. Istnieje limit pilek, które można włożyć do gardła kłowna, i limit radości z powodu zwycięstwa twojej matki w konkursie na najlepiej udekorowane ciasto. Uznaliśmy, że roczna rozłąka z festynem nikomu z nas nie zaszkodzi.

Przynajmniej tak nam się wydawało.

Kiedy dotarliśmy na szczyt, było mniej więcej wpół do trzeciej. Przez kilka ostatnich kilometrów Fi jechała z nami, ale wszyscy z ulgą wysiedliśmy z land-rovera i rozprostowaliśmy kości. Dotarliśmy na południową stronę pagórka, niedaleko Mount Martin. Tam kończył się szlak dla samochodów – dalej mogliśmy iść tylko piechotą. Ale póki co łaziliśmy i podziwialiśmy widoki. Po jednej stronie widać było ocean: piękną Zatokę Szewca, jedno z moich ulubionych miejsc, a według taty jeden z największych naturalnych portów na świecie, sporadycznie wykorzystywany przez kutry albo jachty. Był zbyt oddalony od miasta, żeby panował w nim większy ruch. Tym razem dostrzegliśmy jednak dwa statki. Jeden z nich wyglądał jak wielki trawler. Woda wydawała się błękitna jak królewska krew: głęboka, ciemna i spokojna. Po przeciwległej

stronie Szew Krawca biegł aż na szczyt Mount Martin – ostry, prosty grzbiet i nagie czarne skały tworzące cienką linię, jakby wieki temu chirurg zrobił tam olbrzymie nacięcie. Inny widok rozciągał się po stronie, z której przyjechaliśmy. Szlak był niewidoczny pod baldachimem z drzew i pnączy. W oddali widać było pola wokół Wirrawee upstrzone domami i skupiskami drzew oraz leniwą rzekę Wirrawee, która powoli przez nie płynęła.

A po drugiej stronie było Piekło.

– Wow! – zawołał Kevin, mierząc je spojrzeniem. – Zamierzamy się tam dostać?

– Zamierzamy spróbować – powiedziałam. Już teraz miałam wątpliwości, ale udawałam pewną siebie twardzielkę.

– Robi wrażenie – stwierdził Lee. – Przynajmniej na mnie.

– Mam dwa pytania – powiedział Kevin – ale zadam tylko jedno. Jak to zrobimy?

– A drugie pytanie?

– Drugie brzmi: „Dlaczego?”. Ale mniejsza o drugie. Wystarczy, że mi powiesz, jak zamierzasz to zrobić. Łatwo mnie zadowolę.

– Corrie mówi co innego – wtrącił Homer, wyjmując mi to z ust.

Poleciało kilka kamieni, odbyły się małe zapasy i Homer o mało nie poznał szybszej drogi do Piekła. To dwie rzeczy, od których chłopcy są uzależnieni: rzucanie kamieniami i zapasy. Ale zauważyłam, że ci dwaj już zerwali z nałogiem. Ciekawe dlaczego.

– No więc jak się tam dostaniemy? – powtórzył w końcu Kevin.

Wskazałam na prawo.

– Spójrz tam. To nasz szlak.

– To? Ta kolekcja urwisk?

Trochę przesadzał, ale nie za bardzo. Szatańskie Schody to ogromne bloki granitu, które wyglądają, jakby jakiś pijany olbrzym w epoce kamienia wrzucił je tam na osłep, od najmniejszego

do największego. Nie porastają ich żadne rośliny: są bezkompromisowo nagie. Im dłużej im się przyglądałam, tym mniej realny wydawał mi się własny plan, co jednak nie powstrzymało mnie od wygłoszenia płomiennej przemowy rozgrzewającej do walki.

– Słuchajcie, nie wiem, czy to możliwe, ale mnóstwo ludzi w Wirrawee twierdzi, że tak. Jeśli wierzyć ich opowieściom, przez lata mieszkał tu stary były morderca zwany pustelnikiem z Piekła. Jeśli udało się jakiemuś emerytowi, my też damy radę. Myślę, że powinniśmy spróbować. Poczujmy się jak komandosi i do ataku.

– Kurczę, Ellie – powiedział z uznaniem Lee – teraz rozumiem, dlaczego zostałeś kapitanem drużyny netballu.

– Jak można zostać byłym mordercą? – zapytała Robyn.

– Co?

– Jaka jest różnica między byłym mordercą a mordercą?

Robyn zawsze wyłapywała takie szczegóły.

– Mam jeszcze jedno pytanie – powiedział Kevin.

– Tak?

– Znasz kogoś, komu udało się tam zejść?

– Hmm, wyjmijmy plecaki z samochodu.

Zrobiliśmy to i usiedliśmy obok bagaży, podziwiając widoki i dostojne błękitne niebo oraz żując kurczaka z sałatką. Dokładnie przede mną leżał plecak Fi i im dłużej mu się przyglądałam, tym wyraźniej widziałam, że jest nienaturalnie wypchany.

– Fi – odezwałam się w końcu – coś ty tam wpakowała?

Wyprostowała się zaskoczona.

– Jak to co? Ubrania i tego typu rzeczy. To samo co inni.

– A konkretnie: jakie ubrania?

– Takie, jakie kazała wziąć Corrie. Koszule. Swetry. Rękawiczki, skarpetki, bieliznę, ręcznik.

– Ale co jeszcze? Tam musi być coś więcej.

Wyglądała na odrobinę zawstydzoną.

– Piżama.

- Och, Fi.
- Koszula nocna.
- Koszula nocna? Fi!
- Nigdy nie wiadomo, kogo się spotka.
- I co jeszcze?
- Nic więcej nie powiem. Będziecie się ze mnie śmiali.
- Fi, musimy jeszcze zapakować jedzenie. A potem zanieść te plecaki Bóg wie jak daleko.
- Aha. Czy w takim razie powinnam wyjąć poduszkę?

Utworzyliśmy sześciuosobową komisję, żeby spakować Fi od nowa. Fi nie była członkinią tej komisji. Potem rozdzieliliśmy jedzenie, bardzo starannie wybrane przeze mnie i Corrie. Uzbierała się tego cała masa, ale było nas siedmioro i zamierzaliśmy wyruszyć na pięć dni. Mimo usilnych starań nie udało nam się jednak zabrać wszystkiego. Najwięcej problemów stwarzały produkty wypukłe. W końcu musieliśmy podjąć kilka trudnych decyzji, wybierając między pełnoziarnistymi herbatnikami Vita Brits i piankami marshmallow, chlebem pita i pączkami z dżemem, muesli i chip-sami. Wstydzę się powiedzieć, co wybraliśmy, ale każdą decyzję usprawiedliwiliśmy tym, że pewnie i tak nie oddalimy się zbyt- nio od samochodu, więc zawsze będzie można wrócić po resztę.

Okolo piątej ruszyliśmy z plecakami przypominającymi ol-brzymie narośla na plecach. Posuwaliśmy się wzdłuż grani, Ro-byń na czele, Kevin i Corrie dość daleko z tyłu, pochłonięci cichą rozmową i bardziej zaabsorbowani sobą niż krajobrazem. Ziemia była twarda i sucha. Szew Krawca biegł prosto i chociaż szlak był dość kręty, dobrze się nim szło, a słońce nadal wisiało wysoko na niebie. Każde z nas niosło trzy butelki z wodą, które bardzo cięż-żyły w plecakach, ale i tak nie mogły wystarczyć na długo. Liczy-liśmy, że uda nam się znaleźć wodę w Piekło, oczywiście zakładają-c, że w ogóle tam dotrzemy. W przeciwnym razie następnego dnia rano mieliśmy wrócić do samochodu i przynieść więcej wody.

Po wyczerpaniu zapasów przywiezionych w kanistrach zamierza- liśmy zjechać parę kilometrów w dół do źródła, nad którym czę- sto biwakowałam z rodzicami.

Szłam obok Lee i rozmawialiśmy o horrorach. Był ekspertem w tej dziedzinie – widział ich z tysiąc. To mnie zaskoczyło, bo ko- jarzyłam go głównie z fortepianem i skrzypcami, które jakoś nie pasowały do horrorów. Powiedział, że ogląda je w nocy, kiedy nie może zasnąć. Odniosłam wrażenie, że musi być dość samotny.

Ze szczytu Szatańskie Schody wyglądały na równie niedostęp- ne jak z daleka. Staliśmy i patrzyliśmy na nie, czekając na Kevina i Corrie.

– Hmm – powiedział Homer. – Ciekawe.

Było to chyba najkrótsze zdanie, jakie kiedykolwiek usłysza- łam z jego ust.

– Musi istnieć jakiś sposób – powiedziała Corrie, dołączając do nas.

– Kiedy byliśmy mali – przypomniałam sobie – mówiliśmy, że ta część po lewej wygląda jak szlak. Nazywaliśmy go ścieżką pu- stelnika. Straszliśmy się nawzajem, mówiąc, że pustelnik w każ- dej chwili może się na niej pokazać.

– To pewnie tylko jakiś miły, niezrozumiany staruszek – stwierdziła Fi.

– Wątpię – powiedziałam. – Podobno zamordował żonę i dziecko.

– W każdym razie nie wygląda mi to na ścieżkę – podsumo- wała Corrie. – Raczej na uskok skalny.

Przez jakiś czas staliśmy i patrzyliśmy w dół, jakby gapienie się na zwaliste skały mogło odsłonić przed nami ścieżkę – jakby to była Narnia albo coś w tym rodzaju. Homer poszedł trochę da- lej po skarpie.

– Chyba uda nam się pokonać pierwszy blok – zawołał. – Pół- ka skalna po drugiej stronie wygląda tak, jakby drugi koniec wi- siał dość nisko nad ziemią.

Podeszliśmy do niego. Rzeczywiście, wyglądało to obiecująco.
– A jeśli zejdziemy i nie znajdziemy dalszej drogi? – zapytała Fi.
– Wdrapiemy się z powrotem i spróbujemy od innej strony – powiedziała Robyn.

– A jeśli nie uda nam się wrócić?
– To, co spadnie, musi też wrócić – oznajmił Homer, uświadamiając nam wszystkim, jak mało zwracał uwagi na to, co działo się na lekcjach fizyki przez wszystkie minione lata.
– Do dzieła – powiedziała Corrie z zaskakującą pewnością w głosie.

Ucieszyłam się. Nie chciałam ich do niczego zmuszać, ale czułam, że od powodzenia wyprawy zależy moja reputacja – albo przynajmniej moja i Corrie. Namówiliśmy przyjaciół na wypad do lasu, obiecałyśmy im dobrą zabawę i postanowiłyśmy zapuścić się aż do Piekła. Gdybyśmy poniosły żalostną klęskę, czułabym się paskudnie. Jakbym zorganizowała imprezę, a potem przez cały wieczór puszczała płytę mamy z piosenkami z popularnych seriali telewizyjnych.

Na szczęście wyglądało na to, że mają ochotę się zmierzyć z pierwszym stopniem Szatańskich Schodów. Ale nawet pierwszy stopień był trudny. Musieliśmy zeskoczyć na stertę starych pni i krzaków jeżyn, a potem wspiąć się po pochyłej, poharatanej powierzchni skały. Przy okazji sami się poharataliśmy. Trochę pokłękaliśmy, napociliśmy się, popodsadzaliśmy się nawzajem i powisieliśmy na cudzych plecach, ale w końcu wszyscy stanęliśmy na górze i spojrzeliśmy na półkę skalną Homera.

– Jeśli wszystkie stopnie będą takie jak ten... – wydyszała Fi i nawet nie musiała kończyć zdania.

– Tędy – powiedział Homer.

Stanął na czworakach, odwrócił się do nas twarzą, a potem zsunął się z krawędzi.

– Jesteście pewni? – zapytała Fi.

– Spoko – usłyszeliśmy głos Homera.

Wcale nie byliśmy spokojni, bo nie mieliśmy pojęcia, jak zdolamy wrócić. Nikt jednak nie powiedział tego na głos, więc ja też się powstrzymałam. Chyba byliśmy spragnieni przygód. Robyn poszła za Homerem, potem w ich ślady ostrożnie ruszył niepewny i narzekający Kevin. Za nim zsunęłam się ja, trochę drapiąc sobie rękę. Nie było łatwo, bo ciężkie plecaki ciągle ściągały nas na bok albo do tyłu. Kiedy znalazłam się na dole, Homer i Robyn właśnie zeskakiwali ze skalnej półki i torowali sobie drogę przez krzaki, żeby rzucić okiem na drugi wielki blok granitu.

– Tamta strona wygląda lepiej – powiedział Lee. Poszłam za nim i przeanalizowaliśmy dostępne możliwości. Czekало nas bardzo trudne zadanie. Po obu stronach bloku mimo porastających urwisko krzaków i traw ciągnęły się stromizny. A sama skała była nieprzystępna i wysoka. Naszą jedyną nadzieją okazał się stary zwalony pień, który niknął w cieniu i zaroślach, ale przynajmniej wiódł we właściwym kierunku.

– To nasza ścieżka – powiedziałam.

– Hmm – mruknął Homer, stając obok nas.

Usiadłam okrakiem na pniu i rozpoczęłam powolne ześlizgiwanie się w dół.

– Widać, że Ellie to uwielbia, nie? – zażartował Kevin.

Uśmiechnęłam się, słysząc, jak dłoń Corrie uderza w którąś część odsłoniętego ciała Kevina. Pień był miękki i mokry, ale jakoś się trzymał. Okazał się zaskakująco długi i zdałam sobie sprawę, że wchodzi aż pod przednią część skały. Kiedy przesuwalam się ku węższemu i bardziej nadgniłemu końcowi, z drewna między moimi nogami zaczęły wypelzać karaluchy, stonogi i skorki. Znowu się uśmiechnęłam. Miałam nadzieję, że wystraszę je wszystkie przed nadejściem Fi.

Kiedy wstałam, zobaczyłam, że znalazłam się pod przewieszką, оголоconą z roślinności, lecz tkwiącą naprzeciwko ściany drzew, które prawie całkiem zasłaniały następny olbrzymi blok.

Mogliśmy się przedrzeć przez te zarośla, bez wątpienia drapiąc się i raniąc o wiele bardziej niż do tej pory, ale nie mieliśmy żadnej gwarancji, że uda nam się ominąć blok granitu, wejść na niego albo przedostać się pod spodem. Ruszyłam wzdłuż drzew, badając gąszcz i szukając jakiejś możliwości. Powoli dołączali do mnie pozostali. Fi była czwarta. Dotarła trochę zasapana, ale bez marudzenia. Zabawne było to, że robaki najbardziej przeraziły Kevina. Ostatnie kilka metrów pokonał w pośpiechu, histerycznie krzycząc: „Boże, nie, pomocy, wszędzie tu pełzają jakieś paskudztwa! Zdejmijcie je ze mnie! Zdejmijcie je ze mnie!”. Przez trzy następne minuty gorączkowo się otrzepywał, obracając się bez końca na niewielkiej przestrzeni, jaką mieliśmy do dyspozycji, i wściekle trzępiąc ubrania, próbował wypatrzeć kolejne owady, jakie mogły na niego wpełznąć. Nie miałam pojęcia, jak sobie radzi z owcami atakowanymi przez muchy.

W końcu Kevin się uspokoił, ale nadal nie wiedzieliśmy, jak się wydostać spod przewieszki.

– No cóż – zaszcebiotała Robyn – wygląda na to, że poobozujemy tu przez jakiś tydzień.

Na chwilę zapadła cisza.

– Ellie – uprzejmie zaczął Lee – chyba nie znajdziemy drogi na dół. A im dalej się zapuścimy, tym trudniej będzie wrócić.

– Spróbujmy pokonać jeszcze tylko jeden stopień – poprosiłam, a potem dodałam właściwie bez sensu: – Trójka to moja szczęśliwa liczba.

Pokręciliśmy się jeszcze chwilę, ale bez większego przekonania. W końcu Corrie powiedziała:

– Możliwe, że się uda, jeśli zdołamy się precyzyjnie przecisnąć tędy. Może przedostaniemy się na drugą stronę.

Szczelina, którą wskazała, była tak wąska, że aby się przez nią precyzyjnie przecisnąć, musieliśmy zdjąć plecaki. Ale ja byłam za, więc wzięłam plecak Corrie, a ona precyzyjnie przecisnęła się przez dziurę porośniętą

kłującymi roślinami. Najpierw zniknęła jej głowa, potem plecy, a na końcu nogi. Usłyszałam głos Kevina: „To czyste szaleństwo”, a potem Corrie: „Dobra, a teraz mój plecak”, więc przepchnęłam go za nią. Potem oddałam swój plecak pod opiekę Robyn i ruszyłam śladem Corrie.

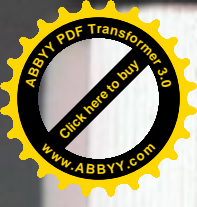
Wkrótce zrozumiałam, że pomysł Corrie był dobry, ale trudny do zrealizowania. Gdybym nie była upartą, stukniętą idiotką, od razu bym się poddała. Koniec końców czołgałyśmy się jak odurzone króliki w norce. Pchałam przed sobą plecak Corrie. Na szczęście z lewej widziałam ścianę skalną i z pewnością zmierzałyśmy w dół, więc uznałam, że najprawdopodobniej omijamy trzeci stopień Szatańskich Schodów. Potem Corrie się zatrzymała, zmuszając mnie do tego samego.

– Hej! – zawołała. – Słyszysz to co ja?

Są takie pytania, które naprawdę mnie denerwują, na przykład: „Co ty możesz o tym wiedzieć?”, „Pracujesz na miarę swoich możliwości?” (ulubiony tekst naszego wychowawcy), „Wiesz, o czym teraz myślę?” i „Co ty właściwie wyprawiasz, na miłość boską?” (tata, kiedy się zdenerwuje). Nie lubię żadnego z nich. A „Słyszysz to co ja?” należy do tej samej kategorii. Poza tym byłam zmęczona, zgrzana i sfrustrowana. Udzieliłam więc dość opryskliwej odpowiedzi. Po minucie ciszy Corrie, wykazując się większą cierpliwością niż ja, powiedziała:

– Przed nami jest woda. Słyszysz szum wody.

Nastawiłam uszu i też go usłyszałam. Przekazałam wieść pozostałym. To była drobnostka, ale dodała nam sił. Czołgałam się z ponurą miną, słuchając coraz głośniejszego i bliższego szumu wody. To musiał być jakiś wartki potok, co na tej wysokości oznaczało źródło. Przydałoby nam się parę łyków świeżej zimnej wody, wypływającej z górskich źródeł. Potrzebowaliśmy jej przed mozolnym powrotem na górę Piekła. Najwyższa pora, by zacząć się związać. Robiło się późno. Powinniśmy byli rozbić obóz.



Nagle znalazłam się nad strumykiem. Corrie stała na skale z szerokim uśmiechem na twarzy.

– No, znalazłyśmy fajne miejsce – powiedziałam z takim samym uśmiechem.

To było istne чудо. Nie docierało tam słońce, więc było ciemno, chłodno i zacisznie. Woda bulgotała na skałach zielonych i śliskich od mchu. Uklękałam i zwilżyłam twarz, a potem chleptałam wodę jak pies, czekając na pozostałych. Nie było zbyt dużo miejsca, ale Robyn od razu zaczęła się rozglądać i ruszyła w jedną stronę, ostrożnie stąpając po skałach. Lee robił to samo, tyle że po przeciwnej stronie. Podziwiałam ich energię.

– Miły strumyk – powiedziała Fi. – Mimo to lepiej ruszajmy z powrotem na górę, Ellie.

– Wiem, wiem. Ale najpierw odpocznijmy tu z pięć minut. Zasłużyliśmy sobie.

– To gorsze niż kurs w szkole przetrwania – poskarżył się Homer.

– Teraz żałuję, że go nie zaliczyłam – wyznała Fi. – Bo wy tak, prawda?

Byłam na tym kursie i bardzo mi się podobało. Często biwakowałam z rodzicami, ale dzięki szkole przetrwania poznałam smak czegoś trudniejszego. Kiedy zaczęłam o tym rozmyślać, nagle znowu zjawiała się Robyn. Miała taką minę, że prawie mnie wystraszyła. W gęstych zaroślach nie można było normalnie stanąć, ale wyprostowałam się najbardziej, jak się dało – i do tego błyskawicznie.

– Co się stało?

Robyn odpowiedziała z miną kogoś, kto słyszy własny głos, ale nie wierzy w to, co mówi:

– Właśnie znalazłam most.

3

Ścieżka była usłana liśćmi i patykami, a miejscami trochę zarośnięta, ale w porównaniu z przeszkodami, które pokonaliśmy, wyglądała jak autostrada. Staliśmy na niej i nie mogliśmy wyjść z podziwu. Czułam tak wielką ulgę, zdziwienie i wdzięczność, że prawie kręciło mi się w głowie.

– Ellie – powiedział Homer z poważną miną – już nigdy więcej nie nazwę cię głupią, durną, upartą jędzą.

– Dzięki, Homer.

To była urocza chwila.

– Widzicie, cykory – powiedział Kevin – całe szczęście, że nie pozwoliłem wam wrócić, kiedy chcieliście wymięknąć.

Zignorowałam go.

Most był stary, ale pięknie zbudowany. Biegł nad strumykiem i prowadził na wielką polanę. Miał mniej więcej metr szerokości i pięć metrów długości. Zaopatrzone go nawet w balustradę. Został wykonany z okrągłych pni, a nie z desek, ale starannie je dobrano i przycięto do idealnie równej długości. Zrobione na końcach złącza przytwierdzały je do poprzeczek, a pierwszy i ostatni pień dodatkowo wzmocniono drewnianymi kołkami.

– Wspaniałe dzieło – powiedział Kevin. – Przypomina mi moje wczesne dokonania.

Nagle wstąpiło w nas tyle energii, jakbyśmy coś łyknęli. Już prawie postanowiliśmy rozbić obóz na cienistej polanie, na której panował przyjemny chłód, ale pragnienie lepszego rozpoznania terenu okazało się zbyt silne. Znowu zarzuciliśmy plecaki na plecy i trajkocząc jak kakadu, ruszyliśmy ścieżką.

– Ta historia o pustelniku musi być prawdziwa! Nikt inny nie zadalby sobie tyle trudu.

– Ciekawe, jak długo tu mieszkał.

– Skąd wiesz, że to był mężczyzna.

– Ludzie w okolicy zawsze mówili o nim jako o mężczyźnie.

– Skoro mówili „o nim”, to pewnie mieli na myśli mężczyznę – wymądrzał się Lee.

– Pewnie mieszkał tu przez lata, inaczej nie zadalby sobie trudu, żeby zbudować ten most.

– Poza tym ścieżka jest dobrze wydeptana.

– Jeśli mieszkał tu przez lata, mógł zrobić most i znacznie więcej. Tylko pomyślcie: tyle wolnego czasu!

– No tak, najważniejsze byłoby zdobycie jedzenia. Po zorganizowaniu posiłków resztę czasu mielibyśmy tylko dla siebie.

– Ciekawe, czym byście się żywili.

– Oposami, może królikami.

– Na takim terenie nie ma zbyt wielu królików. Raczej wala-bie. Mnóstwo oposów. Dzikie koty.

– Faj.

– Można by uprawiać warzywa.

– Żarcie z buszu.

– Pewnie oglądał ten program w telewizji.

– Wombaty.

– No jasne. Ciekawe, jak by smakowały.

– Podobno większość ludzi i tak za dużo je. Jeśli jadł, tylko kiedy był naprawdę głodny, nie potrzebował wiele.

– Człowiek może się przyzwyczać do jedzenia znacznie mniejszych ilości.

– Znacie Andy'ego Farrara? Znalazł drewnianą laskę w lesie niedaleko Wombegonoo. Była pięknie, ręcznie wykonana, cała rzeźbiona i w ogóle. Wszyscy mówili, że musiała należeć do pustelnika, ale myślałam, że żartują.

Szlak prowadził cały czas w dół. Czasami skręcał, idąc łatwiejszą drogą, ale w zasadzie cały czas biegł w dół. Czekala nas męcząca droga powrotna. Schodziliśmy coraz niżej. Ale było pięknie: cicho, cieniście, chłodno i wilgotno. Nie widzieliśmy żadnych kwiatów, tylko więcej odcieni zieleni i brązu, niż potrafi opisać język. Na ziemi leżała gruba warstwa liści. Chwilami gubiliśmy drogę pod stertami kory, liści i gałązek, ale po krótkim poszukiwaniu wokół drzew odnajdowaliśmy ją z powrotem. Od czasu do czasu wiodła nas ku Szatańskim Schodom i przez kilka metrów zśliśmy wzdłuż ogromnych granitowych ścian. Czasami wciniała się między dwa stopnie schodów i biegła po drugiej stronie. Szczelina miała zaledwie dwa metry szerokości, więc była niemal tunelem pośród masywnych brył skały.

– Całkiem miło jak na Piekło – powiedziała do mnie Fi, kiedy przystanęliśmy w takiej chłodnej kamiennej szczelinie.

– Mhmm. Ciekawe, ile czasu upłynęło, odkąd ktoś tędy szedł.

– Powiem więcej – wtrąciła Robyn, która szła przed Fi. – Ciekawe, ile istot ludzkich było tu tak w ogóle, w całej historii wszechświata. Bo po co Aborygeni mieliby się tak wysilać? Po co mieliby się wysilać podróżnicy albo osadnicy? Nikt z naszych znajomych nie zadal sobie tego trudu. Może nie widział tego nikt oprócz pustelnika i nas. Nigdy.

Wyraźnie czuliśmy, że zbliżamy się do dna kotliny. Grunt się wyrównywał, a ostatnie promienie słońca przenikały w dół, by ogrzać nam twarze. Drzewa i krzewy były rzadsze, chociaż nadal dość gęste. Szlak znowu zetknął się ze strumykiem i biegł wzdłuż

niego przez kilkaset metrów. Potem zaprowadził nas na nasze pole biwakowe.

Znaleźliśmy się na polanie wielkości boiska do hokeja albo i trochę większej. Trudno by się tam jednak grało, bo nie była to typowa trawiasta polana. Tu i tam rosły drzewa, trzy piękne stare eukaliptusy, a do tego dość sporo odrostów i młodych drzewek. Strumyk płynął na zachodnim skraju polany. Było go słycać, ale nie było widać. W tym miejscu był płytszy, szerszy i zimny, wręcz lodowaty, nawet w środku letniego dnia. Wczesnym rankiem taka woda szczypała i sprawiała ból. Ale dla zgrzanego człowieka spryskanie nią twarzy było cudownym orzeźwiający szokiem.

Od razu pobiegłam do wody.

Wszystkim małym dzikim żyjątkom zamieszkującym polanę musieliśmy przypominać gości z piekła rodem, a nie gości, którzy przyszli z wizytą do Piekła. Robiliśmy mnóstwo hałasu. A Kevin... Kevin nigdy nie pozbędzie się paskudnego nawyku łamania gałęzi drzew, zamiast pójść kilka metrów dalej po suche drewno. Między innymi dlatego nie czułam się przekonana, kiedy Corrie mówiła, jaki to z niego troskliwy i wrażliwy facet. Ale umiał rozpalać ogniska: biały dym wzbił się w powietrze już po pięciu minutach od naszego przybycia, a dwie minuty później buchnęły płomienie.

Postanowiliśmy, że obejdziemy się bez namiotów – zresztą i tak mieliśmy tylko dwa i pół trzeciego – ale było ciepło i nie zanosilo się na deszcz, więc po prostu rozciągnęliśmy dwa tropiki dla ochrony przed rosą. Potem ja i Lee zabraliśmy się do gotowania. Podeszła do nas Fi.

– Co będziemy jedli? – zapytała.

– Na razie zupki chińskie. Później ugotujemy trochę mięsa, ale teraz jestem zbyt głodna, żeby tak długo czekać.

– Co to są zupki chińskie? – zapytała Fi.

Lee i ja spojrzeliśmy na siebie i szeroko się uśmiechnęliśmy.

– Niesamowite uczucie – powiedział Lee. – Świadomość, że za chwilę na zawsze odmienisz czyjeś życie.

– Nigdy nie jadłaś zupki chińskiej? – zapytała Fi.

– Nie. Moi rodzice mają świra na punkcie zdrowej żywności.

Nigdy wcześniej nie spotkałam nikogo, kto w życiu nie jadł zupki chińskiej. Czasami Fi przypominała jakiegoś egzotycznego motyla.

Nie pamiętam żadnej wyprawy ani biwaku, podczas którego ludzie siedzieliby wokół ogniska, opowiadali różne historie albo śpiewali. Po prostu tak się nie robi. Ale tamtego wieczoru rzeczywiście siedzieliśmy do późna i cały czas gadaliśmy. Chyba najwyżej cieszyliśmy się z tego, że znaleźliśmy takie dziwne i piękne miejsce, do którego dotarło tak niewiele osób. Na ziemi pozostało bardzo mało dzikich miejsc, a my jakimś cudem trafiliśmy w sam środek tego dzikiego królestwa. Było super. Czułam, że jestem naprawdę zmęczona, ale za bardzo się nakręciłam, żeby iść spać. W końcu pozostali zaczęli ziewać, wstawać i spoglądać w stronę śpiworów. Pięć minut później wszyscy leżeliśmy na swoich posłaniach. A zanim minęło następne pięć minut, chyba już spałam.

4

Następnego dnia zrobiliśmy niewiele. Wszyscy wstaliśmy dopiero o dziesiątej, albo i o jedenastej. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyliśmy, była torba po herbatnikach przeoczona podczas wieczornego chowania jedzenia. Była pusta. Dzięki nam jakieś wdzięczne zwierzę stało się znacznie grubsze.

Nasze śniadanie przeszło w lunch i przeciągnęło się do popołudnia. W zasadzie po prostu leżeliśmy i jedliśmy, urządzając sobie jedną długą wyzerkę. Kevin i Corrie skupili się na małej sesji namiętności na śpiworze Kevina. Ja i Fi siedziałyśmy z nogami zanurzonymi w zimnym strumyku i planowałyśmy swoje życie po opuszczeniu szkoły i Wirrawee. Lee czytał *Na zachodzie bez zmian*. Robyn słuchała walkmana. Homer próbował wszystkiego: wlaził na drzewo, szukał złota w strumyku, zebrał stertę drewna, próbował wypłoszyć jakieś węże. Kiedy zgromadziłam trochę energii, poszłam z nim sprawdzić, czy ścieżka prowadzi jeszcze dalej. Ale nie mogliśmy jej znaleźć. Z każdej strony witały nas gęste krzaki. I o dziwo nigdzie nie dostrzegliśmy żadnej chatki, jaskini ani innego schronienia, z którego musiałby korzystać ten staruszek, gdyby rzeczywiście tu mieszkał. W końcu, zmęczeni próbami przedarcia się przez nieprzyjazne zarośla, poddaliśmy się i wróciliśmy na polanę. Tam Homer naprawdę znalazł węża. Była szósta

i ziemia zaczęła się wychładzać. Homer podszedł do swojego śpiwora i zdjął buty, a potem rozciągnął się wygodnie z paczką chipsów kukurydzianych.

– To świetne miejsce – powiedział. – Idealne.

W tej chwili wąż, który wpelzł do jego śpiwora, najwidoczniej się poruszył, bo Homer zerwał się na równe nogi i przebiegł z dziesięć metrów.

– Jezu Chryste! – krzyczał. – Tam coś jest! W moim śpiworze jest wąż!

Nawet Kevin i Corrie przerwali to, co właśnie robili, i przybiegli do nas. Odbyla się gorączkowa debata, najpierw poświęcona temu, czy Homer aby nie bredzi, a potem – gdy wszyscy zobaczyliśmy węża pełzającego w śpiworze – temu, jak najlepiej go stamtąd wydstać, nie narażając życia i zdrowia. Kevin chciał wrzucić śpiwór do strumyka i obciążyć go kamieniami, żeby wąż utonął. Homer nie był tym zachwycony. Lubił swój śpiwór. Nie byliśmy do końca pewni, czy wąż może ukąsić przez śpiwór. Kiedy byłam mała, postrzygacz opowiedział mi przerażającą historię o tym, jak jego syn został ukąszony przez prześcieradło, kiedy spał we własnym łóżku. Nie wiem, czy historia była prawdziwa, ale nigdy jej nie zapomniałam.

Postanowiliśmy zaufać tym wszystkim ekspertom, którzy powtarzali nam od małego, że węże boją się ludzi bardziej niż ludzie węży. Doszliśmy do wniosku, że jeśli staniami przy jednym końcu śpiwora, a wąż wyjdzie drugim, to pewnie szybko popelźnie w przeciwną stronę, prosto w krzaki. No więc znaleźliśmy dwa grube kije. Robyn trzymała jeden, a Kevin drugi. Wsunęli je pod śpiwór i powoli zaczęli go podnosić. Ta scena trzymała w napięciu lepiej niż telewizja. Przez chwilę nic się nie działo, choć pod naprężonym materiałem wyraźnie widzieliśmy zarys węża. Był zdecydowanie dużym okazem. Robyn i Kevin próbowali przechylić śpiwór, żeby praktycznie wyrzucić węża na ziemię. Dobrze im szło – idealna współpraca. Śpiwór znalazł się na wysokości łydki, potem na-

wysokości kolana i unosił się coraz wyżej. W pewnej chwili patyki za bardzo się rozsunęły. Corrie krzyknęła. Robyn i Kevin zauważyli problem i zaczęli go naprawiać, ale w końcu Robyn upuściła patyk. Wąż tylko na to czekał. Wijący się śpiwór spadł na ziemię, jakby nagle ożył, a ze środka wyskoczył rozwścieczony wąż. Jedyna racjonalna myśl, jaka przyszła mi wtedy do głowy, to zdziwienie, że Kevin boi się węży równie mocno jak owadów. Stał jak kolek, blady i rozdygotany, i wyglądał, jakby za chwilę miał się rozplakać. Chyba był tak sparaliżowany, że wąż mógłby spokojnie wpełznąć mu na nogę i go ukąsić. To zabawne, biorąc pod uwagę, jakiego zgrywał twardziela, kiedy trzymał patyk i podnosił śpiwór, myśląc, że nic mu nie grozi. Na tym etapie mojego życia nie było jednak zbyt dużo miejsca ani czasu na racjonalne myślenie. Rządził irracjonalny umysł. Kazał mi wpaść w panikę. Wpadłam. Kazał mi uciekać. Uciekłam. Kazał mi olać pozostałych. Olałam. Dopiero po chwili odwróciłam się, żeby sprawdzić, czy nic im się nie stało... i czy wąż nadal tam jest.

Kevin wciąż tkwił w tym samym miejscu. Robyn była kilka metrów przede mną i robiła to samo co ja, czyli stała, patrzyła, dyszała i dygotała ze strachu. Fi sterczała w strumyku – nie mam pojęcia dlaczego. Lee był na drzewie, jakieś sześć metrów nad ziemią, i szybko wdrapywał się wyżej. Corrie inteligentnie stała przy ognisku, używając go jako ewentualnej tarczy. Nigdzie nie było widać Homera. Ani węża.

– Gdzie on jest? – krzyknęłam.

– Popelził tam – powiedziała Corrie, wskazując krzaki. – Gonił mnie, ale kiedy przeskoczyłam przez ognisko, odbił w bok.

Jak na kogoś, kogo przed chwilą ścigał rozszałaty wąż, wyglądała najspokojniej z nas wszystkich.

– Gdzie jest Homer? – zapytałam.

– Pobieglł tam – powiedziała Corrie, wskazując kierunek przeciwny do toru ucieczki węża. Wyglądało na to, że Homer jest

bezpieczny. Powoli przestałam panikować i podeszłam do ogniska. Lee, nieco zakłopotany, zaczął złazić z drzewa. W końcu zjawił się nawet Homer, ostrożnie wynurzając się z gęstych krzaków.

– Dlaczego stałaś w strumyku? – zapytałam Fi.

– Jak to dlaczego? Żeby uciec przed wężem.

– Ale Fi, węże umieją pływać.

– Nie, wcale nie... naprawdę? O mój Boże. O mój Boże. Mogłam zginąć. Dzięki, że mi powiedzieliście.

Było to ostatnie wielkie wydarzenie tamtego dnia, jeśli nie liczyć kielbasianej niespodzianki, którą Homer i Kevin zaserwowali nam na podwieczorek. Niespodzianka była zdecydowanie zaskakująca i podobnie jak w wypadku węża był to ten rodzaj zaskoczenia, bez którego spokojnie mogłabym się obyć. Położyliśmy się dość wcześnie. Tamten dzień należał do takich, po których wszyscy są wyczerpani nicnierobieniem. Wpełzłam do śpiwora mniej więcej o wpół do dziesiątej, ale wcześniej dokładnie sprawdziłam, czy jest pusty. O tej porze nie spali już tylko Fi i Homer, pochłonięci cichą rozmową przy ognisku.

Mam dość twarde, głęboki sen i pod tym względem ta noc była typowa. W pewnej chwili się obudziłam, ale nie mam pojęcia, która była godzina – może trzecia albo czwarta rano. Było zimno. Musiałam iść na siku, ale odkładałam to z dziesięć minut. Oddalanie się od przytulnego śpiwora wydawało się po prostu zbyt bolesne. Musiałam przemówić sobie do rozumu: „Daj spokój, przecież wiesz, że musisz tam pójść, poczujesz się lepiej, nie bądź takim mięczakiem, im szybciej to zrobisz, tym szybciej wrócisz do tego ciepłka”. W końcu podziałało. Ponuro wygramoliłam się ze śpiwora i chwiejnym krokiem pokonałam dziesięć metrów dzielących mnie od najbliższego drzewa.

W drodze powrotnej dwie minuty później na chwilę przystanęłam. Wydawało mi się, że w oddali słychać jakiś szum. Odczekałam chwilę, nadal nie mając pewności, ale szum stał się głośniejszy

i wyraźniejszy. Zabawne, że sztuczne odgłosy brzmią zupełnie inaczej niż naturalne. Przede wszystkim te pierwsze są chyba bardziej regularne i miarowe. A ten właśnie taki był. Doszłam do wniosku, że to jakiś samolot. Czekałam, wpatrując się w niebo.

W górach niebo wyglądało zupełnie inaczej: było usiane niewyobrażalną ilością gwiazd, jasnych i wyrazistych albo przypominających słabe, maleńkie punkciki, migoczących albo otoczonych mglistą poświatą. Większość widoków w końcu mnie nudzi, ale nocne niebo w górach nigdy. Mogę się w nim zatracić.

Nagle głośny szum przeszedł w warkot. Nie do wiary, jak szybko się zmienił. Pewnie przez wysokie ściany skał otaczających naszą polanę. I niczym czarne nietoperze z wrzaskiem pędzące po niebie i przysyłające gwiazdy, nisko nad naszymi głowami śmignęły sylwetki odrzutowców w kształcie litery V. Potem następne i kolejne. W sumie przeleciało nade mną sześć szeregów samolotów. Ich huk i prędkość oraz ciemność dookoła przeraziły mnie. Odruchowo przykucnęłam i skuliłam się, jakby ktoś mnie bił. Wstałam. Wyglądało na to, że już odleciały. Hałas szybko ucichł i w końcu znowu zapanowała cisza. Ale coś pozostało. Powietrze nie wydawało się już tak czyste jak przedtem. Zmieniła się atmosfera. Zniknęła słodycz – słodki, przejmujący chłód ustąpił miejsca jakiejś nowej wilgoci. Czułam woń paliwa odrzutowego. Myśleliśmy, że jesteśmy pierwszymi ludźmi, którzy wtargnęli do tej kotliny, ale ludzie wdzierali się wszędzie. Nie musieli wejść, żeby dokonać inwazji. Nawet Piekło nie było od nich wolne.

Wróciłam do śpiwora i usłyszałam zaspany głos Fi:

– Co to za hałas?

Wyglądało na to, że tylko ona się obudziła, chociaż trudno mi było w to uwierzyć.

– Samoloty – powiedziałam.

– Mhmm, tak myślałam – mruknęła. – Pewnie wracają z obchodów Dnia Pamięci.

Jasne, pomyślałam. Na pewno o to chodzi.

Zaczęłam się pogrążyć we śnie, niespokojnym i pełnym dziwacznych marzeń sennych. Nie widziałam nic dziwnego w dziesiątkach samolotów, które leciały nocą, szybko, nisko i z wyłączonymi światłami. Dopiero znacznie później zdałam sobie sprawę, że nie były oświetlone.

Rano przy śniadaniu Robyn zapytała:

– Czy ktoś oprócz mnie słyszał w nocy samoloty?

– Tak – powiedziałam. – Musiałam wstać i pójść w krzaki.

– Leciały i leciały – ciągnęła Robyn. – Były ich setki.

– Sześć grup – uściśliłam. – Leciały blisko siebie i naprawdę nisko. Ale myślałam, że wszystko przespałaś. Tylko Fi się odezwała.

Robyn zmierzyła mnie zdziwionym spojrzeniem.

– Sześć grup? Były ich dziesiątki, leciały całą noc. A Fi spała. Myślałam, że ty też. Liczyłam je razem z Lee, ale reszta z was chrapała.

– Boże – wreszcie zrozumiałam, o co jej chodzi – musiałam słyszeć inne samoloty niż wy.

– Ja nic nie słyszałem – powiedział Kevin, rozrywając opakowanie następnego marsa. Zawsze twierdził, że na śniadanie zjada dwa marsy, i wszystko wskazywało na to, że nie żartował.

– To pewnie początek trzeciej wojny światowej – powiedział Lee. – Prawdopodobnie zostaliśmy napadnięci i nawet o tym nie wiemy.

– Tak – przytaknęła Corrie ze swojego śpiwora. – Jesteśmy tu zupełnie odcięci od świata. Cokolwiek się wydarzy, nie mamy szansy się o tym dowiedzieć.

– To chyba dobrze – powiedział Kevin.

– Wyobraźcie sobie, że wrócimy za kilka dni i zobaczymy, że wybuchła wojna nuklearna. Nikt oprócz nas nie ocalał – ciągnęła Corrie. – Rzucicie mi batonik zbożowy?

– Jabłkowy, truskawkowy, morelowy? – zapytał Kevin.

– Jabłkowy.

– Gdyby wybuchła wojna nuklearna, też byśmy zginęli – powiedziała Fi. – Opady promieniotwórcze kapalyby nam teraz na głowę. Jak lekki deszczyk z raję. Nawet byśmy o tym nie wiedzieli.

– Przerabialiście w ubiegłym roku tę książkę na angielskim? – zapytał Kevin. – X albo coś takiego?

– Z? Z for Zachariah?

– O właśnie, tę. Była całkiem dobra. Jedyna porządna książka, jaką kiedykolwiek omawialiśmy.

– A tak serio – zainteresowała się Robyn – jak myślicie, o co chodziło z tymi samolotami?

– Pewnie wracały z obchodów Dnia Pamięci – powiedziała Fi, podobnie jak w nocy. – Kojarzycie te wszystkie defilady lotnicze i inne pokazy?

– Dla kogoś, kto planuje inwazję, to idealna szansa – stwierdził Lee. – Wszyscy świętują. Wojska lądowe, marynarka i siły powietrzne paradują w miastach, popisując się przed obywatelami. Kto rzadzi krajem?

– Ja zaatakowałbym w Boże Narodzenie – powiedział Kevin. – Po południu, kiedy wszyscy śpią.

To była całkiem typowa rozmowa, ale z jakiegoś powodu działała mi na nerwy. Wstałam i poszłam nad strumyk, gdzie natknęłam się na Homera. Siedział na brzegu i grzebał w żwirze płaskim kamieniem.

– Co robisz? – zapytałam.

– Szukam złota.

– Wiesz, jak to się robi?

– Nie.

– Znalazłeś coś?

– Tak, całe góry. Schowałem je za drzewami, żeby nikt nie zobaczył.

– To dość samolubne.

– No wiesz, taki już jestem. Przecież mnie znasz.

Co do jednego miał rację. Dobrze go znałam. Był dla mnie jak brat. Mieszkaliśmy po sąsiedzku i razem dorastaliśmy. I chociaż miał mnóstwo denerwujących zwyczajów, na pewno nie był samolubny.

– Hej, El – zagadnął mnie, kiedy usiadłam obok i przez kilka minut patrzyłam, jak przetrząsa żwir.

– Tak?

– Co myślisz o Fi?

O mało nie wpadłam do strumyka. Kiedy ktoś zadaje to pytanie takim tonem, może ono oznaczać tylko jedno. Ale Homer? Jedynymi kobietami, jakie podziwiał Homer, były modelki z magazynów. Prawdziwe kobiety traktował jak worki wypchane grochem.

I na dodatek Fi!

Mimo to chciałam odpowiedzieć na jego pytanie tak, żeby go nie zniechęcić.

– Uwielbiam Fi. Przecież wiesz. Wydaje się taka... chwilami doskonała.

– No tak, wiesz, chyba masz rację.

Zawstydził się nawet takich słów i przez kilka następnych minut znowu grzebał w żwirze.

– Pewnie uważa mnie za krzykacza, co? – zapytał w końcu.

– Nie wiem. Nie mam pojęcia, Homer. Ale raczej cię lubi. Wczoraj wieczorem gadaliście jak starzy kumple.

– Tak, wiem. – Odchrząknął. – Właśnie wtedy po raz pierwszy... zdałem sobie sprawę... Właśnie wtedy po raz pierwszy zwróciłem na nią uwagę. Wcześniej jej nie zauważałem. Od dziecka myślałem, że jest nadętą snobką. Ale to nieprawda. Jest naprawdę miła.

– Zawsze ci to mówiłam.

– No tak, ale wiesz, ona mieszka w wielkim domu i mówi jak pani Hamilton, a ja i moja rodzina... Dla takich ludzi jak ona jesteśmy po prostu greckimi wieśniakami.

– Fi wcale taka nie jest. Powinieneś dać jej szansę.

– Jasne, dam jej szansę. Problem w tym, że nie wiem, czy ona da szansę mnie.

Wbił posępny wzrok w żwir, westchnął i wstał. Nagle jego twarz się zmieniła. Poczerwieniał i zaczął kręcić głową, jakby jego szyja nagle zaczęła mieć dość tych wszystkich lat przytwierdzania głowy do ciała. Odwróciłam się i zobaczyłam, co go tak wytrąciło z równowagi. Fi szła nad strumyk, aby umyć swoje idealne zęby. Trudno było powstrzymać uśmiech. Widywałam już ludzi ugodzonych strzałą Amora, ale nigdy nie przypuszczałam, że przydarzy się to Homerowi. A fakt, że chodziło o Fi, dosłownie odebrał mi mowę. Nie miałam pojęcia, co ona o tym pomyśli ani jak zareaguje. Mogłam tylko przypuszczać, że uzna to za dobry żart, pośpiesznie i delikatnie da mu kosza, a potem opowie mi o wszystkim i porządnie się uśmiejemy. Oczywiście nie po to, żeby się nad nim pastwić. Po prostu nikt nie traktował Homera zbyt poważnie. Zawsze utwierdzał ludzi w przekonaniu, że jest pozbawiony ludzkich uczuć – powtarzał: „Mam serce z radu, potrzeba pięciu tysięcy lat, żeby stopniało”. Siadał w ostatniej ławce i zachęcał dziewczyny, żeby go krytykowały. „Tak, jestem niewrażliwy. I co jeszcze? Jestem szowinistą? No, dalej, tylko na to was stać? Postarajcie się trochę. Ooo, Sandra się wkurzyła...” Dziewczyny coraz bardziej się wściekały, a on huśtał się na krześle i prowokował je z uśmiechem na twarzy. Wiedziały, o co mu chodzi, ale nie potrafiły się powstrzymać.

Więc po jakimś czasie uwierzyliśmy w jego zapewnienia, że jest zbyt twardy, aby odczuwać jakiegokolwiek emocje. Zabawne, że właśnie Fi, najdelikatniejsza dziewczyna z naszego rocznika, tak skutecznie go rozbroiła.

Poszłam na spacer w stronę szlaku, aż do ostatniego stopnia Szatańskich Schodów. Słońce ogrzało już wielką granitową ścianę, więc oparłam się o nią z przymkniętymi oczami, rozmyślając

o naszej wyprawie, o ścieżce, o człowieku, który ją wydeptał i o jego domu zwanym Piekłem. Zastanawiałam się, skąd się wzięła ta nazwa. Urwiska, skały i ta cała roślinność rzeczywiście wyglądały dziko. Ale dzikość nie oznacza piekła. Dzikość była fascynująca, trudna, cudowna. Żadne miejsce nie było piekłem, to niemożliwe. Jedyne, co się tutaj kojarzyło z piekłem, to ta nazwa nadana przez ludzi. Ludzie nadają miejscom nazwy, żeby nikt nie mógł ich widzieć takimi, jakimi są naprawdę. Zawsze kiedy na nie spoglądają albo o nich myślą, ich oczom ukazuje się wielka tablica z napisem „spółdzielnia mieszkaniowa” albo „prywatna szkoła”, albo „kościół”, albo „meczet”, albo „synagoga”. Kiedy widzą ten napis, przestają patrzeć.

Z Homerem było tak samo – przez te wszystkie lata nosił na szyi wielką tabliczkę, a ja, jak ta idiotka, ciągle czytałam to, co było na niej napisane. Zwierzęta są mądrzejsze. Nie potrafią czytać. Psy, konie, koty nie zaprzatają sobie głowy czytaniem napisów na znakach. Korzystają z mózgu, z umiejętności oceny sytuacji.

Nie, piekło nie ma nic wspólnego z miejscami – piekło wiąże się z ludźmi. Może to ludzie są piekłem.

5

Obozując na polanie, zrobiliśmy się grubi i leniwi. Codziennie ktoś mówił: „Dobra, dzisiaj na pewno pójdziemy na górę i wybierzemy się na porządny długi spacer”, a reszta potakiwała: „Tak, pójdziemy”, „Tak, za bardzo się tu objamy”, „Tak, świetny pomysł”.

Ale nie wiedzieć czemu nic z tego nie wychodziło. Powoli zbliżała się pora lunchu, potem trzeba było zaliczyć poważną drzemkę, trochę lektury albo lania wody nad strumykiem, a później popołudnie przechodziło w późne popołudnie. Ja i Corrie miałyśmy chyba najwięcej energii. Parę razy wybrałyśmy się na spacer w stronę mostu albo innych urwisk, żeby móc pogadać na osobności. Rozmawiałyśmy o chłopakach, przyjaciółkach, szkole i o rodzicach, czyli o tym co zwykle. Postanowiłyśmy, że po ukończeniu szkoły zarobimy trochę pieniędzy i na pół roku wyjedziemy razem za granicę. Strasznie się na to napaliłyśmy.

– Chciałabym wyjechać na wiele lat – rozmarzyła się Corrie.

– Corrie! Tęskniłaś za domem na biwaku w ósmej klasie, a trwał tylko cztery dni!

– To nie była prawdziwa tęsknota za domem. Po prostu Ian i reszta dawali mi się wtedy we znaki.

– Co za dupki, nie? Nie znosiłam ich.

– Pamiętasz, jak ich przyłapali, kiedy bombardowali nas zapalniczkami? Byli stuknięci. Na szczęście ostatnio trochę im przeszło.

– Ian dalej jest kretynem.

– Już mi nie przeszkadza. Jest w porządku.

Corrie była znacznie bardziej wyrozumiała niż ja. Bardziej tolerancyjna.

– A czy rodzice pozwolą ci wyjechać za granicę? – zapytałam.

– Nie wiem. Możliwe, jeśli wystarczająco długo nad nimi popracuję. Pozwolili mi złożyć dokumenty do programu wymiany uczniów, pamiętasz?

– Twoi rodzice są tacy bezproblemowi.

– Twoi też.

– Przeważnie tak. Tylko czasami tata wpada w zły humor. I jest okropnym seksistą. Musiałam się porządnie napocić, żeby wyruszyć na tę wyprawę. Gdybym była chłopakiem, nie robiłby problemów.

– Mhmm. Mój tata nie jest zły. Doksztalcam go.

Uśmiechnęłam się. Mnóstwo osób nie doceniało Corrie. A ona po cichu ich urabiała, aż w końcu dostawała to, czego chciała.

Stworzyłyśmy plan podróży. Indonezja, Tajlandia, Chiny, Indie, a potem Egipt. Później Corrie chciała odwiedzić resztę Afryki, ale ja wolałam Europę. Corrie wymyśliła, że musi zobaczyć wszystko, a potem wróci do domu, skończy pielęgniarstwo i wyjedzie do kraju, w którym najbardziej potrzebują pielęgniarzek. Podziwiałam ją za to. Mnie bardziej interesowało zarabianie kasy.

No więc czas płynął. Nawet ostatniego dnia przed powrotem, kiedy kończyło się jedzenie, nikt nie pomyślał, żeby pójść do land-rovera i uzupełnić zapasy. Zamiast tego improwizowaliśmy i tworzyliśmy przekąski, które w innych okolicznościach wylądowałyby w najbliższym koszu na śmieci. Jedliśmy potrawy, którymi normalnie nie nakarmiłabym kur. Nie mieliśmy już masła, mleka w proszku ani skondensowanego, bo pierwszego dnia wyssaliśmy

wszystkie tubki. Nie było owoców, herbaty ani sera. Zabrakło czekolady – to poważny problem. Ale nie na tyle poważny, by nas zmusić do ruszenia tyłków.

– To sytuacja bez wyjścia – wyjaśnił Kevin. – Gdybyśmy mieli czekoladę, znalazłbym w sobie energię, żeby wyruszyć do samochodu po więcej czekolady. Ale bez czekolady nie uda mi się pokonać nawet pierwszego stopnia.

Było gorąco i tak brzmiała nasza najważniejsza wymówka.

Homer nadal zachwycał się Fi i ciągle chciał o niej ze mną rozmawiać, próbował przypadkiem być tam, gdzie ona, i robił się czerwony za każdym razem, kiedy się do niego odezwała. Ale Fi nie chciała iść na współpracę. Odmawiała rozmów na jego temat i udawała, że nie wie, o czym mówię, chociaż sprawa wydawała się oczywista dla każdego, kto akurat nie leżał w śpiączce.

Nasza siódemka wytrzymała pięć dni bez żadnej poważnej kłótni, co należało uznać za dobry wynik. Przyszynę, zdarzyło się kilka małych sprzeczek. Raz Kevin zrobił Fi awanturę, bo nie chciała gotować ani zmywać. Było to tuż po wielkim zamieszaniu z wężem. Chyba po prostu poczuł się głupio, bo cała akcja nie zapewniła mu większego uznania. Potem jego kielbasiana niespodzianka spotkała się z tak kiepskim przyjęciem, że prawdopodobnie poczuł się trochę urażony. Ale fakt, Fi słynęła z tego, że zniknęła, kiedy trzeba było popracować, więc w zasadzie Kevin miał trochę racji.

Często rozlegał się krzyk Corrie („To wcale nie jest śmieszne, Homer!”), kiedy Homer oblewał ją zimną wodą, mimo że leżała w śpiworze, kiedy robił okrutne, obrzydliwe rzeczy karaluchom, kiedy wrzucił jej pająka za koszulę, kiedy wyrwał z jej książki ostatnią stronę, żeby nie mogła się dowiedzieć, czy zakochani poszli do łóżka, czy nie. Corrie była jedną z ulubionych ofiar Homera: wystarczyło, że pomachał przed nią czerwoną perlerynką, a ona już szarżowała jak byk. Miał szczęście, że nie lubiła długo chować urazy.

Jeśli mam być szczerą, mnie też udało się parę razy kogoś zdernować. Kevin powiedział, że jestem wszystkowiedząca, kiedy podsunęłam mu kilka sugestii na temat ogniska. W zasadzie parę razy zdarzyło mi się je popsuć. Chyba trochę za bardzo lubiłam się nim bawić. Kiedy tylko ognisko trochę przygasło, dym zaczął płynąć w niewłaściwą stronę albo kociołek nie wisiał w najlepiej ogrzewanym miejscu, zawsze pędziłam z kijem, żeby to „naprawić”. W każdym razie tak to nazywałam. Pozostali nazywali to „byciem wrzodem na dupie”.

Najgorsza kłótnia była naprawdę głupia. Nie wiem, może wszystkie kłótnie są głupie. Zaczęliśmy rozmawiać o kolorach samochodów – o tym, które najmniej, a które najbardziej rzucają się w oczy. Kevin powiedział, że najbardziej rzuca się w oczy biały, a najmniej czarny. Lee stawiał na żółty i zielony. Ja na czerwony i khaki. Zapomniałam, co mówili pozostali. Nagle zawrzało.

– A niby dlaczego malują na biało karetki i radiowozy? – wrzasnął Kevin.

– A dlaczego wozy strażackie są czerwone? – krzyknęłam w odpowiedzi.

– Dlaczego większość taksówek jest żółta? – powrzeszczał trochę Lee, chociaż chyba nie wkładał w to zbyt dużo serca.

Kłóciliśmy się i kłóciliśmy. Myślałam, że jestem na bezpiecznej pozycji, jeśli chodzi o maskujące właściwości koloru khaki, którego używa przecież wojsko, ale Kevin opowiedział mi długą historię o tym, jak tydzień po zdobyciu prawa jazdy o mało nie zaliczył czołowego zderzenia z czarnym samochodem.

– To wcale nie dowodzi, że czarny kolor nie rzuca się w oczy – odparowałam. – To tylko dowód na to, że nie należało cię wypuszczać na drogę.

Nie pamiętam, jak to się skończyło, co chyba najlepiej świadczy o tym, jaka głupia była ta cała kłótnia.

Ostatniego wieczoru, kiedy siedzieliśmy wokół ogniska i graliśmy w szczerze wyznania, Robyn niespodziewanie powiedziała:

– Nie chcę wracać do domu. To najlepsze miejsce na ziemi, a ten tydzień był cudowny.

– Tak – potwierdził Lee. – Było super.

– Mimo to nie mogę się doczekać gorącej kąpieli – powiedziała Fi. – I porządnego jedzenia.

– Powtórzmy to kiedyś – zaproponowała Corrie. – Tutaj, w tym samym miejscu, w tym samym gronie.

– Jasne – powiedział Homer, myśląc oczywiście o następnych pięciu dniach podziwiania Fi.

– Zachowajmy to miejsce w tajemnicy – podsunęła Robyn. – Inaczej wszyscy zaczną z niego korzystać i raz dwa je zniszczą.

– To dobre miejsce do biwakowania – powiedziałam. – Następnym razem powinniśmy poszukać schronienia pustelnika.

– Możliwe, że mieszkał w szałasie, który już się rozsypał – powątpiewał Lee.

– Ale most zbudował doskonale, więc jego dom powinien wyglądać jeszcze lepiej.

– A może po prostu mieszkał w jaskini albo coś w tym rodzaju.

Znowu zaczęły się szczerze wyznania, ale poszłam spać, zanim zdążyli mnie zmusić do opisanie wszystkich rzeczy, jakie robiłam ze Steve'em. Doszłam do wniosku, że wyjawiałam już wystarczająco dużo, więc dałam nogę, zanim zaczęły się kłopoty. Mimo to nie mogłam zasnąć. Jak już wspomniałam, normalnie mam twardy sen, ale w ciągu kilku ostatnich nocy nie udawało mi się w niego zapaść. Ku swojemu zdziwieniu zdałam sobie sprawę, że nie mogę się doczekać powrotu do domu, sprawdzenia, co tam słychać i czy wszystko jest w porządku. Naprawdę czułam jakiś dziwny niepokój.

Wstaliśmy wcześniej rano. To zabawne: dziewięćdziesiąt procent pracy można wykonać w ciągu pierwszej godziny, ale pozostałe

dziesięć procent zajmuje co najmniej dwie następne. To prawo Ellie. Zatem kiedy w końcu się pozbieraliśmy, była już prawie jedenasta i zaczynało się robić ciepło. Po raz ostatni sprawdziliśmy, czy dobrze zasypaliśmy ognisko, z żalem pożegnaliśmy naszą sekretną polanę i ruszyliśmy w drogę.

Była to wspinaczka ostro pod górę i wkrótce zrozumieliśmy, dlaczego nikt z nas nie palił się do wycieczek na Szew Krawca. Naszym największym czynnikiem motywującym – oprócz tęsknoty Fi za kąpielami i jedzeniem – była chęć sprawdzenia, gdzie szlak bierze początek. Nie pojmowaliśmy, jak to się stało, że mogliśmy go przeoczyć – podobnie jak mnóstwo innych ludzi przez te wszystkie lata. No więc wlekliśmy się w górę, pocąc się i stękając na najgorszych odcinkach, a czasami przepychając osobę z przodu przez wąskie szczeliny w Szatańskich Schodach. Zauważyłam, że Homer trzyma się blisko Fi i pomaga jej, gdy tylko nadarza się okazja, a wtedy ona się do niego uśmiecha i Homer robi się czerwony. Może jednak jej się podoba? – zastanawiałam się. A może Fi po prostu go wkręca? Jeśli tak, dostanie to, na co zasłużył. Jedna dziewczyna zemści się za nas wszystkie.

Plecaki były lżejsze o zjedzone produkty, ale już wkrótce ciążyły nam jak nigdy przedtem. Po jakimś czasie zbliżyliśmy się jednak do szczytu i rozejrzeliśmy się, żeby sprawdzić, w którym miejscu wyszliśmy. Kiedy podeszliśmy wystarczająco blisko, dostaliśmy zaskakującą odpowiedź. Szlak nagle odbijał od Szatańskich Schodów i biegł przez osuwisko z sypanego żwiru i kamieni. Po raz pierwszy od chwili opuszczenia obozowiska znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni. Upłynęło kilka minut, zanim z powrotem znaleźliśmy szlak po drugiej stronie, bo tam był znacznie słabiej widoczny i węższy. Przypominało to skręcenie z drogi na tor dla terenówek. Szlak nie był ukryty, ale pozostawał niewidoczny dla osób stojących na grani. A każdy, kto by się na niego natknął, uznałby go za ścieżkę wydeptaną przez zwierzęta.

Potem szlak wił się dalej w górę, aż do dużego starego eukaliptusa niedaleko Wombegonoo. Ostatnie sto metrów biegło przez zarośla tak gęste, że musieliśmy iść zgięci w pół, żeby nie zgubić szlaku. Przypominało to tunel, ale było bardzo sprytnym rozwiązaniem, bo ludzie patrzący z góry, od strony Wombegonoo, widzieli jedynie nieprzebyte zarośla. Eukaliptus rósł u podstawy podłużnej skały ciągnącej się aż do szczytu Wombegonoo. Było to niezwykle drzewo: miało wiele pni, które musiały się od siebie oddzielić dawno temu i teraz rozchyły się, rosnąc jak płatki maku. W zasadzie szlak brał początek w otworze pośrodku drzewa: sprytnie zwabił nas do jego wnętrza, prowadząc pod jednym z pni. Otwór był tak duży, że wcisnęła się tam cała nasza siódemka. Wokół eukaliptusa i poniżej rozciągały się dzikie zarośla Piekła. U góry wznosiła się skalna ściana, na której, jak zauważyła Robyn, nie zostawały żadne ślady. To była idealna kryjówka.

Zrobiliśmy sobie przerwę na Wombegonoo, ale nie trwała ona długo, bo praktycznie nie zostało nam nic do jedzenia, a przez zbytne lenistwo nie zabraliśmy wody ze strumyka. Czterdziestominutowy spacer dzielił nas od wiernego land-rovera, który cierpliwie czekał w cieniu drzew, tam gdzie go zostawiliśmy. Pobieśliśmy do niego z okrzykami radości. Najpierw rzuciliśmy się na wodę, a potem na jedzenie, nawet na zdrowe produkty, które odrzuciliśmy pięć dni wcześniej. Zadziwiające, jak szybko zmienia się nastawienie. Pamiętam, że kiedyś słyszałam w radiu, że jeńcy wojenni uwalniani po zakończeniu drugiej wojny światowej byli wdzięczni za najmniejszy okruczeństwo, a już dwa dni później narzekali, bo zamiast pomidorowej dostali rosół z makaronem. Zupełnie jak my. Tamtego dnia w land-roverze marzyłam o lodach, które tydzień wcześniej wyrzuciłam z zamrażarki tylko dlatego, że przyłgnęło do nich zbyt wiele małych kryształków lodu. Oddałabym wszystko, żeby znów dostać je w ręce. Nie mogłam

uwierzyć, że tak po prostu je wyrzuciłam. Ale po paru godzinach w domu wyrzuciłabym je pewnie jeszcze raz.

Kiedy dotarliśmy do land-rovera, okazało się, że pozostali nagłe stracili ochotę na szybki powrót do domu. Był gorący, parny dzień, a po niebie płynęło sporo nisko wiszących chmur. W ogóle nie było widać wybrzeża. Taka pogoda z każdego wysysa energię. Ale nie ze mnie. Nadal czułam lekki niepokój, chciałam wracać i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Tyle że nie mogłam zmusić innych, żeby chcieli tego co ja. Pamiętałam, że rano Robyn zarzuciła mi apodyktyczność. Poczulałam się trochę zraniona, zwłaszcza że powiedziała to dziewczyna, która normalnie nie mówi niemiłych rzeczy. Siedziałam więc cicho, podczas gdy reszta wylegiwała się w plamach słońca, odsypiając skutki niedawnego obżarstwa.

Po chwili Kevin i Corrie ruszyli szlakiem w dół i zniknęli nam z oczu. Homer przysunął się do Fi najbliżej, jak się odważył, ale ona najwyraźniej nie zwracała na niego uwagi. Ja rozmawiałam trochę z Lee o prowadzeniu restauracji. Brzmiało ciekawie. Nie miałam pojęcia, że to taka ciężka praca. Powiedział, że jego rodzice nie używali kucharek mikrofalowych ani innych nowoczesnych wynalazków – nadal gotowali w tradycyjny sposób – a to oznaczało znacznie więcej pracy. Jego ojciec dwa razy w tygodniu jeździł na targ, dokąd wyruszał o trzeciej trzydzieści w nocy. Kiedy to usłyszałam, doszłam do wniosku, że prowadzenie restauracji nie jest dla mnie.

Po południu w końcu ruszyliśmy do domu i po drodze, jakiś kilometr dalej, przechwyciliśmy Kevina i Corrie. Wlekliśmy się w dół mniej więcej z taką samą prędkością, z jaką wlekliśmy się na górę. Kiedy już mieliśmy lepszy widok na równinę, z zaskoczeniem doliczyliśmy się na nich sześciu pożarów rozsianych po całym terenie. Dwa wydawały się dość duże. Było stanowczo za wcześnie na poważniejsze pożary buszu, ale za późno na wypalanie

traw. Poza tym nie zauważyliśmy niczego nadzwyczajnego, a żadne z ognisk nie paliło się w pobliżu naszych domów.

Nad rzeką odbyło się głosowanie i większość postanowiła popływać, więc znowu się zatrzymaliśmy, tym razem na ponad godzinę. Zaczynałam się denerwować, ale nie mogłam nic zrobić, żeby ich ponaglić. Pływałam tylko pięć minut, a Lee w ogóle nie wszedł do wody, więc po wyjściu z rzeki usiadłam obok niego i znowu rozmawialiśmy. Po chwili powiedziałam:

– Chciałabym, żebyśmy już pojechali. Naprawdę nie mogę się doczekać powrotu do domu.

Spojrzał na mnie i zapytał:

– Dlaczego?

– Nie wiem. Jestem w jakimś dziwnym nastroju. W złym nastroju.

– Rzeczywiście, wydajesz się trochę spięta.

– To chyba przez te pożary. Nie mam pojęcia, skąd się wzięły.

– Ale już od rana jesteś nerwowa.

– Naprawdę? Tak, pewnie masz rację. Nie wiem, co mi jest.

– Dziwne – powiedział powoli – ale ja się czuję podobnie.

– Serio? Nic po tobie nie widać.

– Staram się tego nie okazywać.

– Wierzę ci.

Po chwili znów się odezwałam:

– Może to poczucie winy. Żałuję, że opuściłam festyn. Uczestniczymy w wielu pokazach. Tata uważa, że powinniśmy wspierać tę imprezę. To trwa całe wieki: przygotowanie bydła, zawieszenie go tam, szczotkowanie, karmienie i wyprowadzanie, a potem pokazywanie na festynie. Tata nie miał nic przeciwko mojemu wyjazdowi, zresztą wcześniej pomogłam mu w przygotowaniach, ale i tak zostawiłam na jego głowie mnóstwo roboty.

– Pokazujecie bydło tylko po to, żeby wesprzeć festyn?

– Nie... To dość ważny pokaz, zwłaszcza dla rasy Charolais. Ludzie zapamiętują twoje nazwisko i uświadamiasz im, że jesteś poważnym hodowcą. W dzisiejszych czasach nie wolno zapominać o PR.

– Dokładnie tak samo jest z restauracjami... O, wychodzą.

I rzeczywiście, Robyn i Fi, które pływały najdłużej, właśnie wychodziły z wody, mokre i roześmiane. Fi wyglądała fantastycznie. Odgarnęła długie włosy z oczu i poruszała się z wdziękiem czapli. Zerknęłam na Homera. Kevin coś do niego mówił i Homer udawał, że go słucha, ale ukradkiem pozeriał Fi wzrokiem. Kiedy ponownie spojrzałam na Fi, dotarło do mnie, że ona wie. Chodziła i przystawała w słabnącym słońcu z lekkim zawstydzeniem, niczym modelka podczas sesji na plaży. Chyba wiedziała, a w dodatku bardzo jej się to podobało.

Od rzeki do domu mieliśmy jakieś pół godziny jazdy. Nie wiem, czy tamtego dnia byłam szczęśliwa – napięcie i niepokój coraz bardziej dawały mi się we znaki – ale jestem pewna, że potem już nigdy nie zaznałam szczęścia.

6

Psy były martwe. Ta myśl przyszła mi do głowy jako pierwsza. Kiedy wjeżdżaliśmy na podwórko, nie skakały wokół samochodu i nie szczekały, a kiedy do nich podbiegłam, nie skomlały z radości, tak jak miały w zwyczaju. Leżały obok swoich małych bud krytych ocynkowaną blachą, nie zważając na ostatnie ciepłe promienie słońca, a nad ich ciałami krążyły muchy. Miały czerwone, zrozpaczone oczy, a pyski oblepiała im zaschnięta piana. Zazwyczaj napinały łańcuchy do granic wytrzymałości i na mój widok odstawiały gorączkowy taniec, ale teraz łańcuchy były sflaczałe i nieruchome, a wokół szyj, pod obrożami, dostrzegłam krew. Cztery z pięciu psów były jeszcze młode. Piły wodę z jednego wiadra, które leżało teraz przewrócone, suche i puste. Przeżona obejrzałam jednego psa po drugim: wszystkie były martwe. Pobiegnęłam do Millie, ich starej matki, którą odseparowaliśmy od młodych, bo czasami ją denerwowały. Jej wiadro nadal stało z odrobiną wody w środku. Kiedy się zbliżyłam, nagle słabo machnęła ogonem i spróbowała wstać. Byłam w szoku, widząc, że nadal żyje, bo zakładałam, że ona też jest martwa.

Rozsądek nakazywałby ją zostawić i pobiec do domu, bo wiedziałam, że coś tak strasznego nie mogłoby spotkać psów, gdyby moich rodziców nie spotkało coś jeszcze gorszego. Ale nie

działałam racjonalnie. Odpięłam łańcuch Millie i stary pies chwiejnie podźwignął się na nogi, a potem osunął się do przodu. Brutalnie postanowiłam, że nie mogę poświęcić Millie więcej czasu. I tak wystarczająco jej pomogłam. Zawołałam do Corrie: „Zajmij się psem!”, i pobiegłam w stronę domu. Corrie już biegła w tę samą stronę. Jej umysł pracował szybciej niż umysły pozostałych, którzy nadal stali z przerażeniem na twarzach i zaczętnali sobie uświadamiać, że coś jest nie tak, ale w przeciwieństwie do mnie nie kojarzyli jeszcze poszczególnych faktów. Ja kojarzyłam zbyt szybko, a to tylko zwiększało moje przerażenie. Corrie zawałała się, odwróciła się w stronę psów, a potem zawołała do Kevina: „Zajmij się psami, Kev”, i pobiegła za mną.

W domu panował spokój, który najlepiej świadczył o tym, że coś jest nie tak. Nie zauważyłam żadnych oznak życia. Wszędzie było czysto i schludnie. O tej porze dnia na stole w kuchni zazwyczaj leżało mnóstwo jedzenia, w zlewie tkwiła sterta brudnych naczyń, a w tle grał telewizor. Ale tym razem wokół panowała cisza. Corrie otworzyła drzwi i cicho weszła do środka.

– Jezu, co się stało – powiedziała i nie zabrzmiało to jak pytanie.

Ton jej głosu jeszcze bardziej mnie przeraził. Stałam i patrzyłam.

– Co się stało z psami? – zapytała.

– Wszystkie są martwe oprócz Millie, a i ona ledwo żyje.

Rozglądałam się w poszukiwaniu jakiegoś liściku, zostawionej dla mnie wiadomości, ale niczego takiego nie znalazłam.

– Zadzwońmy do kogoś – powiedziała. – Zadzwońmy do moich rodziców.

– Nie. Zadzwońmy do rodziców Homera, mieszkają najbliżej. Będą wiedzieli, o co chodzi.

Podniosła słuchawkę i podała mi ją. Wcisnęłam przycisk i zaczęłam wystukiwać numer, ale po chwili zdałam sobie sprawę, że

nie słyhać sygnału. Przysunęłam słuchawkę do ucha. Nic. Poczulałam nowy rodzaj strachu – taki, jakiego dotąd nie znałam.

- Nie ma sygnału – powiedziałam do Corrie.
- O Jezu – wytrzeszczyła oczy, które robiły się coraz bielsze. Robyn i Fi weszły do kuchni, a tuż za nimi zjawiała się reszta.
- Co się dzieje? – pytali. – O co tu chodzi?
- Kevin wniósł Millie do środka.
- Daj jej coś do jedzenia ze spiżarni – powiedziałam.
- Ja to zrobię – zaproponował Homer.

Próbowałam im wszystko wytłumaczyć, ale starałam się mówić jak najszybciej, pogubiłam się i ostatecznie mówiłam zbyt długo. Dlatego urwałam i zawołałam zrozpaczona:

- Musimy coś zrobić!
- W tym momencie wrócił Homer, przynosząc miskę mielonego mięsa i brzydki zapach.
- Wysiadło zasilanie w spiżarni – powiedział. – Straszny śwęd.
- Śwęd – poprawiłam go odruchowo, ogarnięta strachem. Spojrzał na mnie bez słowa.

Robyn poszła włączyć telewizor, a Homer i Kevin próbowali nakłonić Millie do jedzenia. Patrzyliśmy, jak Robyn włącza telewizor, ale on też nie działał.

- Dziwne – powiedziała.
- Mówili, że zamierzają wyjechać? – zapytała Fi.
- Nie zadałam sobie trudu, żeby odpowiedzieć.
- Jeśli twoja babcia zachorowała... – zaczęła Corrie.
- Wyłączyliby prąd? – zapytałam z sarkazmem.
- Może to jakaś wielka awaria? – podsunął Kevin. – Może przez kilka dni nie było prądu i musieli się wynieść?
- Zostawiliby wiadomość – warknęłam. – Nie pozwoliliby psom umrzeć w taki sposób.
- Na chwilę zapadła cisza. Nikt nie wiedział, co powiedzieć.
- Nic tego nie wyjaśnia – stwierdziła Robyn.

– Normalnie jak UFO – powiedział Kevin. – Jakby porwali ich obcy. – Po chwili, widząc moją minę, pospiesznie dodał: – Nie próbuję z tego żartować, Ellie. Wiem, że stało się coś złego. Po prostu nie mam pojęcia, co to mogło być.

Lee szepnął coś do Robyn. Nie zadałam sobie trudu, żeby zapytać, o co chodzi. Kiedy zobaczyłam paniczny strach na twarzy Robyn, nawet nie chciałam wiedzieć.

Musiałam się bardzo wysilić, żeby nad sobą zapanować.

– Wracajmy do land-rovera – powiedziałam. – Weźcie psa. Pojedziemy do domu Homera.

– Zaczekaj chwilę – wtrącił się Lee. – Masz tu radio tranzystorowe? Takie na baterie?

– Hmm, tak, ale nie wiem gdzie – powiedziałam, przyglądając mu się ze zdziwieniem. Nadal nie wiedziałam, co wymyślił, ale jego mina niepokoiła mnie równie mocno jak mina Robyn. – Dlaczego pytasz?

Nie chciałam, żeby odpowiedział.

– W land-roverze zostawiłam walkmana – powiedziała Robyn. Odwrócił się do niej.

– Słuchałaś jakichś wiadomości od dnia naszego wyjazdu?

– Nie. Kilka razy próbowałam złapać jakąś stację, ale się nie udało. Pewnie przez urwiska otaczające Piekło.

– Możesz poszukać tego radia? – zapytał mnie Lee.

– Chyba tak.

Pobiegłam do swojego pokoju. Nie chciałam marnować czasu. Rozpaczliwie pragnęłam dostać się do domu Homera, pobiec do milej pani Yannis, która mnie obejmie, przytuli i wyjaśni, co się stało, obracając to wszystko w zwykłe nieporozumienie. Ale w umyśle Lee czaiło się coś okropnego i nie potrafiłam tego zignorować.

Wróciłam, niosąc radio, włączyłam je już na korytarzu i obracałam gałką w poszukiwaniu jakiejś stacji. Zanim dotarłam do

kuchni, przeszukałam już całą skalę, ale usłyszałam jedynie szum. Jak zwykle kręciłam za szybko, pomyślałam. Nigdy się tego nie oduczę. Zaczęłam od nowa, a pozostali obserwowali mnie z niepokojem, nie wiedząc, co się dzieje. Tym razem szukałam powoli i uważnie, ale wynik był taki sam: nic.

Byliśmy już porządnie wystraszeni. Spojrzeliśmy na Lee, jakbyśmy oczekiwali od niego jakiejś magicznej odpowiedzi. Ale on tylko pokręcił głową.

– Nie wiem, co się dzieje – powiedział. – Jedźmy do Homera.

Z land-roverem było podobnie jak z radiem. Tak mocno wcisnęłam gaz i tak gwałtownie puściłam sprzęgło, że Kevin, który nie zdążył jeszcze usiąść, boleśnie uderzył się w głowę i o mało nie upuścił Millie, którą cały czas się opiekował. Land-rover skoczył jak kangur, a po kilku metrach silnik zgasł. W mojej głowie rozległ się głos babci: „Śpiesz się powoli!”. Wzięłam głęboki oddech i spróbowałam ponownie, tym razem spokojniej. Udało się. Wyjechaliśmy za bramę i ruszyliśmy drogą.

– Zapomniałam zajrzeć do kur – powiedziałam do Homera.

– Nie przejmuj się, Ellie – uspokajał mnie – wszystko będzie dobrze. Dowiemy się, o co chodzi.

Ale nie patrzył w moją stronę. Siedział wyprostowany i niespokojnie gapił się przez szybę.

Dom Homera był oddalony od mojego o jakieś półtora kilometra.

Jedynie, co pragnęliśmy zobaczyć, kiedy się do niego zbliżaliśmy, to jakiś ruch.

Ale nic się nie poruszyło. Gdy podskakiwaliśmy, mijając rów otaczający zagrodę dla bydła, zaczęłam wciskać klakson i trąbić, dopóki z tyłu nie rozległ się wystraszony głos Lee.

– Nie rób tego, Ellie.

Znowu za bardzo się bałam, żeby zapytać dlaczego, ale przestałam wciskać klakson. Zatrzymaliśmy się gwałtownie niedaleko

frontowych drzwi, a Homer od razu wyskoczył z samochodu i biegł do domu. Gwałtownym ruchem otworzył drzwi i wpadł do środka, wołając:

– Mamo! Tato!

Ale jeszcze zanim wysiadłam z samochodu, pustka pobrzmiwająca w jego głosie dała mi odpowiedź.

Podeszłam do drzwi. Za moimi plecami rozległ się dźwięk uruchamianego silnika. Odwróciłam się. Za kółkiem siedział Lee. Patrzyłam na niego. Był okropnym kierowcą, ale mimo nadużywania pedału gazu udało mu się ukryć samochód w cieniu wielkiego starego drzewa pieprzowego, za cysterną. Wróciły do mnie wspomnienia beztrioskiej rozmowy w Piekło. I nagle zrozumiałam, a po chwili znienawidziłam to wspomnienie i zaczęłam się go bać. Lee wygramolił się z samochodu i ruszył w stronę frontowych drzwi. Krzyknęłam do niego:

– Lee! Mylisz się! Przestań! Przestań tak myśleć! Mylisz się!

Robyn podeszła i chwyciła mnie za rękę.

– Pewnie masz rację – powiedziała. – Ale radio... – Urwała. – Weź się w garść, Ellie. Dopóki to się nie wyjaśni.

Razem weszliśmy do domu. Kiedy przekroczyliśmy próg i ogarnęła nas ponura, głucha cisza, Robyn dodała:

– Módl się, Ellie. Módl się. Ja się modlę.

Usłyszałam jakiś ryk za domem, więc ruszyłam prosto na podwórze, gdzie zastałam Homera, który z ponurą miną próbował wydoić krowę. Z wymion ciekło mleko, a krowa niespokojnie się odsuwała i muczała, kiedy próbował ją dotknąć.

– Potrafisz wydoić krowę, Ellie? – zapytał cicho.

– Nie, przykro mi, Homer. Nigdy się tego nie nauczyłam. Zapytam pozostałych.

Kiedy weszłam z powrotem do domu, zawołał:

– Papużka na werandzie, Ellie.

– Dobra – krzyknęłam i pobiegłam

Ale Corrie znalazła już ptaszka, który nadal żył, mimo że w klatce pozostała tylko odrobina stęchłej wody. Przyniosliśmy mu świeżej, którą wypił łapczywie jak mój tata pierwsze piwo po stryżeniu owiec.

– Macie dojną krowę, prawda? – zapytałam Corrie. – Możesz pomóc Homerowi? Jest za domem.

– Jasne – powiedziała i wyszła.

Wszyscy zaczęliśmy wykazywać nienaturalny spokój. Wiedziałam, jak bardzo Corrie i pozostali muszą się teraz bać o swoje rodziny, ale na razie niewiele mogliśmy zrobić. Zniosłam papużkę do kuchni, gdzie Lee właśnie odkładał słuchawkę telefonu. Pytając uniosłam brew. Pokręcił głową. Po chwili przyszedł Homer.

– W gabinecie jest radio SP – powiedział, nie patrząc na nikogo z nas.

– Co to jest radio SP? – zapytała Fi.

Nie zauważyłam jej. Stała w drzwiach spiżarni.

– Radio systemu przeciwpożarowego – krótko wyjaśnił Homer.

– Będzie bezpieczne? – zapytała Robyn.

– Nie wiem – powiedział Homer. – Kto tu może cokolwiek wiedzieć?

Z rozpaczliwym pośpiechem, pragnąc go przekonać, powiedziałam:

– To śmieszne. Wiem, co sobie myślisz, ale to zupełnie, kompletnie niemożliwe. Kompletnie niemożliwe. Takie rzeczy po prostu się nie zdarzają, nie tutaj, nie w tym kraju. – Wtedy z nagłą nadzieją coś sobie przypomniałam. – Te pożary! Pewnie pojechali gasić pożary. Pewnie okazały się groźne i nie mogli od razu wrócić.

– Tamte pożary były inne, Ellie – powiedział Homer. – Wiesz o tym. Wiesz, jak wygląda groźny pożar.

– Nie znam się na tych sprawach – wtrącił Lee – ale czy podczas pożarów w radiu SP nie powinno być słychać jakichś głosów?

– Właśnie! – zawołał Homer, gwałtownie się odwracając.

– Ale nie ma prądu – zauważyła Fi.

– W radiu są baterie – powiedziałam. Pobiegliśmy za Homerem i wcisnęliśmy się do małego gabinetu. Homer przekręcił gałkę, nastawiając radio na cały regulator, ale bez skutku. Pokój wypełniał niekończący się monotony szum.

– Sprawdziłeś częstotliwość? – zapytałam cicho.

Zrozpaczony Homer pokiwał głową. Zapragnęłam go przytulić, rozejrzałam się w poszukiwaniu Fi, na wypadek, gdyby ona też miała taki zamiar, ale zobaczywszy, że znowu wyszła z pokoju, mocno go objęłam.

Po chwili Homer zapytał:

– Myślicie, że powinniśmy nadać jakąś wiadomość?

– Jak uważasz, Ellie? – zapytał Lee.

Wiedziałam, że należy wziąć pod uwagę każdą możliwość. Przypomniałam sobie, jak napięta była sytuacja przed naszym wyjazdem – przypomniałam sobie tych wszystkich krzyczących, skłóconych polityków. Próbując zachować spokój, powiedziałam: – Wzywanie pomocy miałoby sens tylko wtedy, gdyby mogło uratować nasze rodziny. Jeśli są w tarapatkach albo w niebezpieczeństwie. Ale jeśli rzeczywiście mają kłopoty, wszyscy jedziemy na tym samym wózku. I pewnie władze też o tym wiedzą. Wzywając pomocy przez radio, nie możemy pomóc naszym rodzinom... Poza tym istnieje jeszcze tylko jeden powód, dla którego moglibyśmy nadać wiadomość przez radio: gdybyśmy rozpaczliwie chcieli się dowiedzieć, co jest grane. Ale dobra, przyznaję, że to mogłoby nas narazić na niebezpieczeństwo... – próbowałam opanować drżenie głosu – jeśli stało się coś złego... jeśli tam są jacyś ludzie...

– A biorąc pod uwagę wszystkie za i przeciw? – zapytał Lee.

– Chyba nie powinniśmy nadawać – powiedziałam smutno.

– Zgadzam się – poparł mnie Homer.

– Ja też – powiedział Lee.

– W takim razie kolej na dom Corrie – podjął Homer. – I Kevina. Nawet nie wiem, gdzie mieszka Robyn.

– Tuż za miastem – wyjaśniłam.

– W takim razie z geograficznego punktu widzenia Corrie i Kevin mają pierwszeństwo.

Homer spojrział na Lee, który bez słowa pokiwał głową. Już wiedział, kto będzie ostatni.

Nasza siódemka zebrała się w kuchni prawie równocześnie. Corrie przyniosła wiadro mleka. Mleko śmierdziało. Wyglądało jak błada jajecznicza. Obok Corrie stał Kevin. Mocno trzymali się za ręce. Wlałam trochę mleka do miseczki i podałam Millie, która w końcu zaczęła wykazywać odrobinę entuzjazmu. Powąchała mleko, a potem łapczywie je wychleptała.

– Nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebyśmy pojechali do naszych domów? – zapytał Kevin Homera. – Pojedziemy sami, jeśli pożyczysz nam jakiś pojazd albo... – spojrział na mnie – jeśli dostaniemy land-rovera.

– Tata powiedział, że tylko ja mogę... – zaczęłam, ale urwałam, zdawszy sobie sprawę, jak słabo to brzmi. Moja zdolność logicznego myślenia wyczerpała się w gabinecie pana Yannosa.

Robyn przejęła pałeczkę.

– Musimy pomyśleć. Wiem, że wszyscy chcemy jak najszybciej ruszyć w dalszą drogę, ale akurat w tym wypadku nie powinniśmy ulegać emocjom. Mamy dużo do stracenia. Może nawet życie. Musimy założyć, że dzieje się coś naprawdę złego, bardzo złego. Jeśli się pomylimy, później będziemy mogli się z tego pośmiać, ale póki co powinniśmy założyć, że nasze rodziny nie siedzą teraz w pubie ani nie wybrały się na wakacje.

– Przecież to oczywiste, że stało się coś złego! – krzyknęłam na nią. – Myślisz, że mój tata zostawiłby psy na pastwę losu? Myślisz, że jutro będę się z tego śmiała? – wrzeszczałam i płakałam jednocześnie.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem nagle wszyscy stracili nad sobą kontrolę. Robyn zaczęła płakać i krzyczeć: „Nic takiego nie miałam na myśli, Ellie, przecież wiesz!”, Corrie wrzeszczała: „Zamknijcie się! Zamknijcie się wszyscy!”, Kevin przeczesał włosy palcami, mamrocząc: „O Boże, o Boże, co się tutaj dzieje?”, a Fi zatykała usta dłonią i wyglądała, jakby zamierzała ją zjeść. Była błada jak ktoś, kto w każdej chwili może zemdleć. Nagle półprzytomny Homer zawołał: „Fi, wszyscy słyszeliśmy o obgryzaniu paznokci, ale to już przesada!”. Spojrzeliśmy na Fi i po chwili wszyscy się śmialiśmy. Histerycznym śmiechem, ale zawsze to jednak śmiech. Po twarzy Lee pociekły łzy, ale szybko je otarł i powiedział:

– Posłuchajmy Robyn. Chodźmy.

– Przepraszam, Robyn – zaczęłam. – Wiem, że nie chciałaś...

– Ja też przepraszam – przerwała mi. – To był niewłaściwy dobór słów.

Wzięła głęboki oddech i zacisnęła pięści. Było widać, że próbuje się uspokoić jak przed niektórymi meczami netballu. Po chwili mówiła dalej:

– Słuchajcie, nie mam zbyt dużo do powiedzenia. Tylko tyle, że musimy być ostrożni. Po prostu pędzenie przez pola do siedmiu różnych domów może się okazać kiepskim pomysłem. Powinniśmy podjąć kilka decyzji, na przykład czy trzymać się razem, czy może podzielić się na małe grupki, jak chcą Kevin i Corrie. Czy korzystać z pojazdów. Czy zapuszczać się głębiej za dnia. Jest już prawie ciemno. Na początek proponuję, żeby nikt stąd nie wychodził, dopóki się nie ściemni, a kiedy już ruszymy, żebyśmy nie używali świateł.

– Jak myślisz, co się stało? – zapytałam. – Myślisz to samo co Lee?

– Nic nie wskazuje na to, by opuszczono te domy w pośpiechu, na przykład w sytuacji zagrożenia – powiedziała Robyn. – Wasze

rodziny wyszły stąd kilka dni temu. I zamierzały niedługo wrócić. Dokąd mogłyby się wybrać kilka dni temu, zakładając, że niedługo wrócą? Wszyscy znamy odpowiedź na to pytanie.

– Na obchody Dnia Pamięci – powiedziała Corrie. – Na festyn.
– Właśnie.

– Homer – odwróciłam się w jego stronę – po czym byś poznał, że twoi rodzice wrócili z festynu? Na przykład ja, gdybym wpadła na to wcześniej, sprawdziłabym, czy w zagrodzie stoją dwa byki, które tata zamierzał zawieźć na wystawę, a których nie sprzedałby za żadne skarby. I nie wróciłby bez nich z festynu. Bo wiecie, gdyby mama mu pozwoliła, trzymałby je pewnie w sypialni.

Homer się zastanowił.

– A tak – ołśniło go. – Haft mamy. Co roku wystawia nowe dzieło, a potem, bez względu na wynik konkursu, przywozi je z powrotem do domu i wiesza na swojej ścianie honorowej. Bardzo się tym przejmuje. Zaczekajcie.

Wybiegł z kuchni, a my czekaliśmy w milczeniu. Po chwili wrócił.

– Nie ma go – powiedział. – Nigdzie nie znalazłem tego haftu.

– Dobra – ciągnęła Robyn. – Załóżmy, że mnóstwo ludzi pojechało na festyn, ale stamtąd nie wróciło. I załóżmy, że od Dnia Pamięci nie ma prądu, nie działają telefony, stacje radiowe i wybuchło kilka pożarów. A ludzie, którzy pojechali na festyn, chcieli wrócić do domów, ale nie mogli. Co to oznacza?

– Zapomniałaś o czymś – zauważył Lee.

Robyn spojrzała na niego.

– Racja.

– W wieczór festynu – podjął Lee – od strony wybrzeża nadciągnęły setki, może nawet tysiące samolotów. Leciały nisko i z dużą prędkością.

– I bez świateł – dodałam, po raz pierwszy dostrzegając znaczenie tego ważnego szczegółu.

– Bez świateł? – zdziwił się Kevin. – Nie wspominałaś o tym.
– Wtedy nie zwróciłam na to uwagi – powiedziałam. – Wiecie, czasami coś zauważamy, ale nieświadomie. To był właśnie taki przypadek.

– Przyjmijmy jeszcze jedno założenie – wtrąciła się Fi. Mówiła i wyglądała, jakby była wściekła. – Załóżmy, że wszystko, co mówicie, jest kompletnie śmieszne.

Mówiła podobnie jak ja w tym samym pokoju nie tak dawno temu. Czy nie powiedziałam wtedy „kompletnie śmieszne”? Teraz jednak zaczynałam się przekonywać do sposobu myślenia Lee i Robyn. Drobnny szczegół w postaci nieoświetlonych samolotów sprawił, że zmieniłam zdanie. Żaden samolot, żaden samolot odbywający legalną misję, nie leciałby bez świateł. Powinnam była coś takiego zauważyć i byłam na siebie wściekła, że to przeoczyłam.

Fi ciągnęła dalej:

– Są dziesiątki bardziej prawdopodobnych teorii. Dziesiątki! Nie wiem, dlaczego nie bierzecie ich pod uwagę.

– Dobra, Fi, wal – powiedział Kevin. – Ale szybko. – Na jego twarzy było widać wyraźne napięcie.

– W porządku – zgodziła się Fi. – Po pierwsze, zachorowali. Pojechali na festyn i dopadło ich zatrucie pokarmowe albo coś w tym rodzaju. Leżą w szpitalu.

– Wtedy byliby tu sąsiedzi, którzy zaopiekowaliby się gospodarstwem – odparł Homer.

– Oni też się rozchorowali – ciągnęła Fi.

– To nie wyjaśnia, dlaczego nie nadaje żadna ze stacji radiowych – powiedziała Corrie.

– W takim razie wszyscy się rozchorowali – Fi nie dawała za wygraną. – To ogólnokrajowy problem, epidemia jakiejś choroby.

– A samoloty? – zapytała Robyn.

– One po prostu wracały z obchodów Dnia Pamięci, tak jak myśleliśmy wcześniej.

– Bez świateł? I w takiej liczbie? Fi, nie wiem, czy nasz kraj w ogóle ma aż tyle samolotów. Nie wiem, czy nasze siły powietrzne są aż tak duże.

– Dobra – powiedziała Fi. – W całym kraju pojawiło się jakies zagrożenie i wszyscy musieli opuścić domy, żeby ratować sytuację.

– A samoloty?

– To siły powietrzne, które przyleciały na pomoc. Albo i samoloty innych krajów, które też nam pomagają.

– Ale dlaczego leciały bez świateł? – Robyn krzyczała, coraz bardziej wściekła, całkiem jak na boisku.

– Nie wiemy tego na pewno! – Fi też krzyczała.

Krzycząca Fi? Zawsze musi być ten pierwszy raz, pomyślałam. Fi darła się dalej:

– Ellie mogła się pomylić. Był środek nocy. Chciało jej się spać. Przecież dopiero teraz nam o tym wspomniała. Sama nie jest pewna.

– Widziałam je, Fi – powiedziałam. – Jestem tego pewna. Wtedy nie zwróciłam uwagi na brak świateł. Moje oczy działały. Tylko umysł nie. Poza tym Robyn i Lee też je widzieli. Zapytaj ich.

– Nie widzieliśmy – warknęła Robyn. – Tylko słyszeliśmy.

– Uspokójcie się – przerwał nam Homer. – Uspokójcie się, bo inaczej do niczego nie dojdziemy. Mów dalej, Fi.

– Sama nie wiem – powiedziała. – Po prostu myślę, że leciały komuś na pomoc. Może na plażę wyrzuciło wieloryby.

– I dwie rodziny popędziły je ratować, nie zostawiając żadnej wiadomości? – zapytał Kevin.

– Ale jeśli pominąć samoloty – dowodziła Fi – możliwe, że nic strasznego się nie stało. Po prostu jakaś drobna lokalna awaria.

– Nie zapominaj o stacjach radiowych – dorzuciła Robyn.

Wtedy odezwał się Lee:

– Każda z tych teorii jest dobra, Fi. I wcale nie twierdzą, że się mylisz. Prawdopodobnie masz rację i samoloty to tylko zbieg

okoliczności, ciszę radiową też można jakoś wytłumaczyć i tak dalej. Ale najbardziej przeraża mnie to, że żadna teoria nie wyjaśnia wszystkich faktów i dlatego żadna z nich nie jest doskonała. Pamiętaj, o czym rozmawialiśmy tamtego ranka w Piekło? Mówiliśmy, że Dzień Pamięci byłby idealną okazją do ataku.

Oszołomiona Fi pokiwała głową i po jej policzkach popłynęły łzy. Znowu zaczęliśmy płakać. Nawet Lee, który mimo to mówił dalej:

– Być może opowieści mojej mamy sprawiły, że pomyślałem o tym wcześniej niż wy. I, jak powiedziała Robyn, jeśli się mylimy – usiłował zapanować nad głosem, a jego twarz wykrzywiła się jak u kogoś, kto właśnie doznaje udaru – jeśli się mylimy, możecie się śmiać tak długo i głośno, jak będziecie chcieli. Ale póki co... póki co uznajmy, że to prawda. Powiedzmy, że to inwazja. Chyba wybuchła wojna.



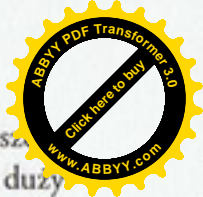
7

Czekanie na noc było prawdziwą męczarnią. Co chwila wstawaliśmy, mówiąc: „Dobra, dość tego czekania, chodźmy”, a potem ktoś z nas powstrzymywał pozostałych: „Nie, zaczekajmy, ciągle jest zbyt widno”.

Taki już urok lata – strasznie długo świeci słońce. Ale postanowiliśmy, że będziemy działać ostrożnie, i tego się trzymaliśmy.

Księżyc świecił słabo i wszedł późno, więc kiedy w końcu wyruszyliśmy, było naprawdę ciemno. Homerowi udało się znaleźć dwie latarki, ale uznaliśmy, że włączymy je tylko w razie absolutnej konieczności. Zostawiliśmy Millie na kocu w kuchni u Homera. Była zbyt słaba, żeby chodzić. Szliśmy drogą jakieś półtora kilometra, a potem przecięliśmy ostatnie pola Yannosów i ruszyliśmy na skróty ku drodze, która prowadziła do domu Kevina. Szłam obok Homera, ale w zasadzie nie rozmawialiśmy, nie licząc chwili, w której nagle sobie przypomniałam, że nie zapytałam go o psy.

– Zostały nam tylko dwa – powiedział – ale nigdzie ich nie widziałem. Nie wiem, dokąd mogły pójść. Chyba tata wspominał, że trzeba je zabrać do weterynarza. Miały paskudną egzemę. Chociaż w zasadzie nie pamiętam, czy rzeczywiście to powiedział, czy tylko to sobie uroiłem.



Kiedy wyszliśmy na drogę, Kevin zaczął biec. Zostały jeszcze dwa kilometry, ale bez słowa pobiegliśmy za nim. Kevin to duży facet, niestworzony do sprintu, i zazwyczaj człapie jak koń pociągowy, ale tym razem nie mogliśmy za nim nadążyć. Nie licząc Robyn, która zawsze była w formie. Po chwili straciłam ich z oczu, ale słyszałam rozlegające się w ciemności sapanie Kevina. Kiedy zbliżyliśmy się do domu, Lee zawołał: „Uważaj, jak będziesz tam wchodził, Kev”, nie padła jednak żadna odpowiedź.

Kevin i Robyn wyprzedzili nas o jakieś dwie, trzy minuty. Ale nie było sensu tak się spieszyć. Dom Kevina wyglądał tak samo jak mój i Homera. Trzy martwe psy na łańcuchach, martwe kakadu w klatce na werandzie, dwa martwe jagniątko obok schodów prowadzących na werandę. Na szczęście jego stary pies corgi został zamknięty w pralni z wiadrem wody i wiadrem karmy. Suczka żyła, ale w jednej z sypialni urządziła sobie toaletę, więc w domu paskudnie śmierdziało. Na widok Kevina oszalała z radości. Kiedy weszliśmy, nadal skakała i lizała go po twarzy, żałośnie skomlała, wykonywała w powietrzu radosne figury akrobatyczne i moczyła się ze szczęścia.

Corrie z ponurą miną przeszła obok mnie z mopem i garścią szmat. Kumplując się z nią, zauważyłam, że jeśli sytuacja robi się zbyt wzruszająca, Corrie zaczyna sprzątać. To dość przydatny nawyk.

Odbyliśmy następną szybką naradę. Wyglądało na to, że istnieje mnóstwo problemów i równie wiele możliwości. Robyn wpadła na świetny pomysł, żebyśmy wykorzystali szybkie i ciche rowery – idealny środek transportu. Kevin miał dwóch młodszych braci, więc w szopie znaleźliśmy trzy rowery. Homer zapytał, czy znamy kogoś, kto nie zamierzał iść na festyn. Uznał, że znalezienie osoby, która tamtego dnia została w domu, mogłoby pomóc rozwiązać zagadkę. Lee powiedział, że jego rodzice prawdopodobnie zostali w domu. Bracia i siostry Lee zwykle chodzili na festyny, ale

rodzice nie. Kevin oznajmił, że chce zabrać suczkę Flip. Nie potrafił zostawić jej samej po tym, przez co przeszła.

To była kłopotliwa prośba. Wszyscy współczuliśmy psu, który zachowywał się tak, jakby niewidzialna smycz długości metra łączyła go z piętami Kevina, ale byliśmy coraz bardziej wyczuleni na kwestie bezpieczeństwa. W końcu zgodziliśmy się zabrać suczkę do Corrie i podjąć następną decyzję w zależności od tego, co tam zastaniemy.

– Ale pamiętaj, Kevin – ostrzegł Lee – ta decyzja może być brutalna.

Kevin tylko pokiwał głową. Wiedział.

Robyn, która wpadła na pomysł z rowerami, ostatecznie pokonała większość drogi do Corrie biegiem. Jednym rowerem mogły jechać najwyżej dwie osoby, a ona uznała, że potrzebuje odrobiny aktywności fizycznej. Homer wziął na bagażnik Kevina, który trzymał Flip w ramionach. Mała corgi przez całą drogę lizala mu twarz w ekstazie miłości i wdzięczności. Byłoby to całkiem zabawne, gdyby została nam chociaż odrobina energii, żeby się pośmiać.

Obraz, który na zawsze zapamiętam z domu Corrie, to moja przyjaciółka stojąca na środku salonu i łyż pływająca jej po twarzy. Potem przyszedł Kevin, który najpierw zajrzał do pokoiów. Zobaczył Corrie, szybko do niej podszedł, objął ją i mocno przytulił. Stali tak kilka minut. Bardzo go za to polubiłam.

Pod naciskiem Robyn zgodziliśmy się coś zjeść przed podjęciem dalszych działań. Przez cały wieczór zachowywała się bardzo racjonalnie i nie zmieniła podejścia, mimo że jej dom był następny w kolejności. Ja, Robyn i Homer zrobiliśmy kanapki z czerstwego chleba, salami, sałaty i pomidorów ze słynnego ogródka pani Mackenzie. Poza tym zaparzyliśmy herbatę i kawę, wykorzystując mleko w kartonach oraz małą biwakową kuchenkę na gaz. Trudno było przepchnąć jedzenie przez wyschnięte i ściśnięte gardła, ale

męczyliśmy się, dopóki każde z nas nie zjadło przynajmniej jednej kanapki. Posilek rzeczywiście dodał nam energii i podniósł morale.

Podczas jedzenia postanowiliśmy pójść do domu Robyn, chociaż wiedzieliśmy, że pakujemy się w zupełnie nowy zestaw problemów. Tutaj, na wsi, gdzie mieszkała większość z nas, przestrzeń była nieograniczona, pola szerokie i puste i mogliśmy się prze-mieszczać w zasadzie bez problemu. Niebezpieczeństwo nie wydawało się realne. Wiedzieliśmy, że jeśli gdzieś czekają kłopoty, jeśli gdzieś czyha na nas niebezpieczeństwo, to z pewnością w mieście.

Część z nas nigdy nie była u Mathersów, więc Robyn dokładnie opisała położenie swojego domu względem Wirrawee. Doszliśmy do wniosku, że bezpiecznie będzie podejść od strony Coachman's Lane, czyli zwyczajnej pylistej drogi biegnącej za kilkoma dzielnicowoakrowymi parcelami – między innymi za domem Robyn. Ze wzgórza za domem rozciągał się widok na miasto, który mógł nam wiele wyjaśnić.

Nadeszła pora, żeby ruszać w drogę. Corrie czekała na mnie obok drzwi wejściowych. Skorzystałam z łazienki. Zapomniałam, że państwo Mackenzie nie są podłączeni do miejskiej sieci wodociągowej, a pompa ciśnieniowa jest zasilana prądem. Musiałam pójść do wanny stojącej w ogródku, zaczerpnąć wody wiadrem, a potem wrócić do domu, napełnić zbiornik i spuścić wodę. Corrie zaczynała się niecierpliwić, ale musiała jeszcze chwilę poczekać. Idąc korytarzem, zauważyłam wiadomość na faksie obok telefonu.

– Corrie – zawołałam – chcesz to zobaczyć? – Wyciągnęłam do niej kartkę, a kiedy podeszła, dodałam: – Pewnie już nieaktualne, ale nigdy nic nie wiadomo.

Wzięła kartkę i zaczęła czytać. Jej wzrok przesuwiał się po kolejnych zdaniach, a usta powoli się otwierały. Twarz wydawała się coraz dłuższa i chudsza z przerażenia. Utkwiła we mnie spojrzenie wielkich oczu, a potem wcisnęła mi kartkę do ręki i roztrzęsiona patrzyła, jak czytam.

Zobaczyłam słowa nabazgrane ręką pana Mackenziego:

Corrie, jestem w biurze sekretarza festynu. Coś się dzieje. Podobno to tylko manewry wojskowe, ale i tak postanowiłem wysłać tę wiadomość. Po powrocie do domu szybko ją porwę, żeby nikt się nie dowiedział, jaki ze mnie kretyn. Ale jeśli to przeczytasz, Corrie, uciekaj do lasu. Bardzo na siebie uważaj. Nie pokazuj się, póki nie uznasz, że jest bezpiecznie. Kocham Cię, Skarbie. Tata.

Dwadzieścia ostatnich słów było wyraźnie podkreślonych – wszystko od „uciekaj do lasu”.

Spojrzałyśmy na siebie i mocno się przytuliliśmy. Obie trochę popłakałyśmy, a potem wybiegłyśmy z domu, żeby pokazać wiadomość pozostałym.

Chyba tamtego dnia wyczerpałam cały zapas łez, bo później już nie płakałam.

Po wyjściu z domu Mackenziech poruszaliśmy się ostrożnie. Po raz pierwszy działaliśmy jak ludzie w czasie wojny, jak żołnierze, jak partyzanci.

– Zawsze się śmiałam z tej ostrożności taty – powiedziała Corrie. – Z tego, że bierze pod uwagę każde potencjalne zagrożenie. Ale jego życiowe motto to: „Czas poświęcony na rekonesans rzadko jest czasem straconym”. Może póki co warto się tego trzymać.

W domu Corrie zdobyliśmy następny rower, więc wybraliśmy sposób podróży, który naszym zdaniem był kompromisem między prędkością a bezpieczeństwem. Wyzaczyliśmy punkty orientacyjne – pierwszym z nich był stary kościół Chrystusa – i pierwsza para, Robyn i Lee, miała do niego podjechać, a potem się zatrzymać. Jeśli nie było żadnego niebezpieczeństwa, mieli zawrócić i upuścić ścierkę do naczyń na drodze, dwieście metrów przed kościołem. Druga para miała wyruszyć pięć minut po Robyn i Lee, a ostatnia pięć minut później. Ugodniliśmy,

że trzeba zachować całkowitą ciszę, więc zostawiliśmy starą F. Kevina przywiązaną w domu Mackenziech. Strach zmuszał nas do myślenia.

Mimo wszystko w drodze do domu Robyn nie zdarzyło się nic złego. Poruszaliśmy się powoli, ale spokojnie. Zastaliśmy jej dom w takim samym stanie jak dwa poprzednie: był pusty, śmierział, a gdzieś tam pojawiły się pajęczyny. Zaczęłam się zastanawiać, jak szybko rozleciałyby się domy, gdyby ludzie przestali o nie dbać. Zawsze wydawały się takie solidne, takie niezniszczalne. Moja mama często recytowała taki wiersz: „Patrzcie na moje dzieła i przed moją chwałą gińcie z rozpaczycy”*. Więcej nie pamiętałam, ale po raz pierwszy zaczęłam dostrzegać tkwiącą w nim prawdę.

Była pierwsza trzydzieści w nocy. Weszliśmy na wzgórze za domem Robyn i spojrzeliśmy na Wirrawee. Nagle ogarnęło mnie wielkie zmęczenie. Miasto spowijała ciemność, nie świeciły się nawet uliczne latarnie. Mimo to musiało działać jakieś zasilanie, bo na terenie wystawowym paliło się dość silne światło – reflektory ustawione wzdłuż toru – a poza tym oświetlono parę budynków pośrodku miasta. Usiedliśmy i cicho rozmawialiśmy o tym, co robić dalej. Nikt nie miał wątpliwości, że powinniśmy spróbować dotrzeć do domów Fi i Lee. Nie dlatego, że spodziewaliśmy się tam kogoś znaleźć, ale dlatego, że pięcioro z nas widziało swoje domy, panującą w nich pustkę, dostało szansę zrozumienia tego, co się stało, więc jedyną uczciwą decyzją było danie takiej samej szansy dwojgu pozostałym.

Jakaś ciężarówka wolno wyjechała z terenu wystawowego i ruszyła w stronę jednego z oświetlonych budynków, chyba przy Barker Street. Przestaliśmy rozmawiać i patrzyliśmy. Była to pierwsza

* P.B. Shelley, *Ozymandias*, tłum. A. Asnyk, w: *Poeci języka angielskiego*, red. H. Krzeczowski, J.S. Sito, J. Żułowski, t. 2, Warszawa 1971 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

oznaka życia istot ludzkich, którą widzieliśmy w okolicy od chwili przelotu samolotów nad Piekłem.

Wtedy Homer rzucił pomysł, który nie spotkał się ze zrozumieniem:

– Chyba powinniśmy się rozdzielić.

Rozległ się stłumiony okrzyk protestu (o ile coś takiego jest w ogóle możliwe). To nie było to samo co wcześniejsza propozycja Kevina i Corrie, którzy chcieli sami pójść do swoich domów. Oni po prostu próbowali nam oszczędzić dalszej drogi. Ale teraz Homer nie dawał za wygraną.

– Przed świtem musimy już być za miastem. Daleko za miastem. A zaczyna nam brakować czasu. Poruszanie się po tych ulicach nie będzie szybkie i łatwe. Dopada nas zmęczenie i już ono skutecznie nas spowolni, a w dodatku musimy przecież zachować ostrożność. Poza tym dwoje ludzi może się poruszać ciszej niż siedmioro. A szczerze mówiąc, jeśli naprawdę są tu żołnierze i ktoś zostanie złapany... w każdym razie powtarzam, że dwojgu będzie łatwiej niż siedmiorgu. Wolalbym tego nie mówić, ale pięcioro na wolności i dwoje schwytanych to lepsza konfiguracja niż siedmioro schwytanych i nikt na wolności. Wiecie, że zawsze byłem dobry z matmy.

Nikt nie zaprotestował. Wiedzieliśmy, że ma rację – no, może z wyjątkiem tej uwagi o matmie.

– Więc co proponujesz? – zapytał Kevin.

– Ja pójdę z Fi. Zawsze chciałem zobaczyć, jak wygląda wnętrze jednego z tych domów bogaczy na wzgórzu. To moja wielka szansa. – Fi z rezygnacją wymierzyła mu kopniaka w łydkę, którego spokojnie przyjął. – Może Robyn i Lee powinni pójść do domu Lee, jak myślicie? A pozostała trójka przyjrzy się lepiej terenowi wystawowemu. Te wszystkie światła... może to ich baza. Może nawet przetrzymują tam ludzi.

Przyswoiliśmy te wszystkie informacje, a potem Robyn powiedziała:

– Tak, to najlepsze rozwiązanie. Może ci z nas, którzy mają na sobie ciemnych ubrań, wrócą do domu i coś sobie wybiórą? Spotkamy się z powrotem na wzgórzu, powiedzmy o trzeciej?

– A jeśli ktoś nie wróci? – cicho zapytała Fi. To była okropna myśl. Po chwili milczenia Fi sama odpowiedziała na swoje pytanie. – Może, jeśli kogoś zabraknie, zaczekamy do trzeciej trzydzieści. Potem szybko się wycofamy, ale wrócimy jutro w nocy. To znaczy dzisiaj. A ci, którzy się spóźnią, przyczają się i nie będą się pokazywać w ciągu dnia.

– Tak – powiedział Homer. – Tylko tyle możemy zrobić.

Kevin, Corrie i ja nie potrzebowaliśmy ciemniejszych ubrań, więc mogliśmy od razu ruszać w drogę. Wstaliśmy, uściskaliśmy pozostałych i życzyliśmy im powodzenia. Chwilę później, kiedy się odwróciłam, już nie było ich widać. Postanowiliśmy zejść ze wzgórza w kierunku Warrigle Street. Przeszliśmy przez płot przed domem Mathersów i skradaliśmy się wzdłuż drogi, trzymając się bardzo blisko linii drzew. Kevin prowadził. Miałam nadzieję, że nie natrafi na żadne pełzające paskudztwa. Nie byłaby to odpowiednia pora na krzyki i piski.

Mimo że teren wystawowy mieścił się na skraju miasta, był to skraj przeciwny do tego, na którym się znajdowaliśmy, więc czekał nas długi spacer. Mogliśmy jednak dość szybko się przemieszczać, bo trzymaliśmy się z dala od głównych ulic. Nie żeby w Wirrawee było wiele głównych ulic. Cieszyłam się, że jesteśmy w ruchu: tylko dzięki temu nadal byłam przy zdrowych zmysłach. Trudno się skupić na chodzeniu, patrzeniu i równoczesnym zachowywaniu ciszy. Chwilami się zapominałam i trochę hałasowałam, ale wtedy pozostała dwójka odwracała się i rzucała mi gniewne spojrzenia. Wzruszałam ramionami, rozkładałam ręce, przewracałam oczami. Nadal do mnie nie docierało, że to może być kwestia życia i śmierci, że to najpoważniejsza sprawa, z jaką miałam kiedykolwiek do czynienia. Jasne, że o tym wiedziałam. Po prostu

Trudno było o tym pamiętać w każdej sekundzie. Mój umysł nie był aż tak zdyscyplinowany. Zresztą Kevin i Corrie wcale nie zachowywali się tak cicho, jak im się wydawało.

Poza tym trudno było się poruszać w ciemności. Trudno było nie potykać się o kamienie, nie deptać po trzaskających patykach albo – co też nam się zdarzyło – nie wpadać na kubły na śmieci.

Dotarliśmy do Racecourse Road i poczuliśmy się trochę bezpieczniejsi, bo stoi tam tylko kilka domów. Przechodząc obok domu pani Alexander, przystanęłam, żeby powąchać duże stare róże rosnące wzdłuż plotu. Uwielbiałam ten ogród. Co roku pani Alexander organizowała w nim przyjęcie z okazji Bożego Narodzenia. Zaledwie kilka tygodni wcześniej stałam pod jedną z jej jabłoni z talerzem biszkoptów i mówiłam Steve'owi, że nie chcę z nim dłużej chodzić. Teraz miałam wrażenie, że to wszystko wydarzyło się pięć lat temu. Strasznie trudno z kimś zerwać, a na dodatek Steve zachował się super, przez co poczułam się jeszcze gorzej. Może właśnie o to mu chodziło. A może po prostu jestem cyniczna?

Zastanawiałam się, gdzie są teraz Steve, pani Alexander, Mathersowie, mama, tata i cała reszta. Czy naprawdę zostaliśmy zaatakowani? Czy to była inwazja? Nie mogłam sobie wyobrazić, jak się teraz czują, jak na to zareagowali. Musieli być zszokowani, zaskoczeni. Niektórzy z pewnością próbowali walczyć. Część naszych przyjaciół nie należy do osób, które siedziałyby spokojnie, patrząc, jak banda żołnierzy wkracza, żeby zająć ich ziemię i domy. Na przykład pan George. Rok temu przyjechał do niego inspektor budowlany i zabronił rozbudowy szopy do strzyżenia owiec. Wkrótce potem pan George został wezwany do sądu za to, że groził temu człowiekowi łyżką do opon. Mój tata też był dość uparty. Miałam tylko nadzieję, że nie doszło do aktów przemocy. Miałam nadzieję, że ich nie poniosło.

Wlekłam się dalej, myśląc o mamie i tacie. Świat zewnętrzny nigdy nie miał większego wpływu na nasze życie. Jasne, oglądaliśmy

wiadomości w telewizji i było nam źle, kiedy pokazywali zdjęcia z miejsc, gdzie toczyły się wojny, z terenów dotkniętych głodem i powodzią. Czasami się zastanawiałam, jak bym się czuła na miejscu tych ludzi, ale nie potrafiłam sobie tego wyobrazić. Wyobrażenia ma granice. Jedyne wpływy, jakie miał na nas świat zewnętrzny, sprowadzał się do cen wełny i bydła. Parę krajów na innym kontynencie, tysiące kilometrów stąd, podpisywało traktat dotyczący rolnictwa i rok później musieliśmy zwolnić pracownika. Ale mimo tej izolacji, naszego mało efektownego życia, uwielbiałam mieszkać na wsi. Inne dzieciaki nie mogły się doczekać, kiedy prysną do miasta. Jakby zaraz po ukończeniu szkoły zamierzały pobiec na przystanek autobusowy i stanąć tam ze spakowanymi walizkami. Pragnęły tłumów, hałasu, barów szybkiej obsługi i ogromnych centrów handlowych. Marzyły o krążącej w żyłach adrenalinie. Też lubiłam takie rzeczy, w małych dawkach, i wiedziałam, że chciałabym spędzić trochę czasu w mieście. Ale wiedziałam również, gdzie najbardziej pragnę być: właśnie tutaj, nawet jeśli miałabym spędzić pół życia, ślęcząc nad silnikami traktorów, wyplątując jagnięta z drutu kolczastego albo lecząc siniaki po przypadkowym stanięciu między krową a jej cielakiem.

Na tamtym etapie nie rozumiałam jeszcze, co się stało. Nic w tym dziwnego. Tak mało wtedy wiedzieliśmy. Mieliśmy tylko wskazówki, domysły, przypuszczenia. Na przykład nie odważyłabym się przyjąć do wiadomości, że mama albo tata – albo ktokolwiek inny – mógł odnieść rany albo zginąć. To znaczy wiedziałam, że takie rzeczy to logiczne skutki inwazji, walk i wojen, ale mój racjonalny umysł zamknął się w małym pudełeczku. Wyobrażenia tkwiła w zupełnie innym pudełeczku, a ja nie pozwalałam tym pudełeczkom się ze sobą komunikować. Chyba tak naprawdę nie sposób pojąć, że rodzice kiedykolwiek umrą. To jak rozmyślanie o własnej śmierci.

Osobne pudeleczko zajmowały uczucia. Podczas tamtego marszu rozpaczliwie próbowałam trzymać je w zamknięciu.

Nie potrafiłam założyć, że moi rodzice są gdzieś przetrzymywani wbrew ich woli. Wyobraziłam ich sobie: tatę, sfrustrowanego i złego jak byk w zagrodzie, niedopuszczającego do siebie tego, co się stało, i niestuchającego cudzych rozkazów. Nawet nie próbowałby zrozumieć, co się dzieje, dlaczego ci ludzie w ogóle się zjawili. Nie chciałby się dowiedzieć, jakim mówią językiem, ani poznać ich kultury. Ja, mimo szoku i przerażenia, ciągle pragnęłam zrozumieć. Nadal szukałam odpowiedzi na te pytania.

Mama zareagowałaby inaczej. Skupiłaby się na zachowaniu przytomności umysłu, na tym, żeby nie zawładnęli jej myślami. Wyobraziłam sobie, jak patrzy na nagie wzgórza, być może zza ogrodzenia jakiegoś obozu jenieckiego, ignorując nieistotne szczegóły, głosy w tle, umyślnie stwarzane przeszkody.

Wtedy zdałam sobie sprawę, że myślę o takich rodzicach, jakimi byli w domu.

Dotarliśmy do końca Racecourse Road. Zostałam nieco w tyle za Kevinem i Corrie, musieli więc na mnie poczekać. Utworzyliśmy małą, ciemną gromadkę między drzewem a płotem. Można było nas wziąć za jakiś dziwny czarny odrost, który wykiełkował z ziemi. Robiło się zimno i kiedy przykucnęliśmy, poczułam, że Kevin i Corrie się trzęsą.

– Jesteśmy już bardzo blisko, więc musimy zachować szczególną ostrożność – szepnął Kevin. – Postaraj się nie zostawać w tyle, Ellie.

– Przepraszam. Rozmyślałam.

– Więc jaki jest plan? – zapytał.

– Podejdziemy wystarczająco blisko, żeby się przyjrzeć – powiedziała Corrie. – Nie mamy zbyt dużo czasu. Najważniejsze to zachować ostrożność. Jeśli nie uda nam się nic zobaczyć, po prostu wrócimy do domu Robyn. A jeśli ktoś się pojawi, najgłupszą

rzeczą, jaką możemy zrobić, jest dać się zauważyć i pozwolić, by nas śledzili.

– Dobra, zgoda – powiedział Kevin.

Zaczął się podnosić. Wkurzyłam się. Nigdy nie pytał mnie o zdanie. Pociągnęłam go w dół.

– Co? – zdziwił się. – Musimy ruszać, El.

– To nie znaczy, że mamy pędzić jak idioci. Co zrobimy, jeśli nas zobaczą? Albo jeśli zaczną nas gonić? Nie możemy tak po prostu pobiec do domu Robyn. Zaprowadzilibyśmy ich do naszej kryjówki.

– Chyba najlepiej będzie się wtedy rozdzielić. Trudniej im będzie gonić troje ludzi uciekających w różne strony niż całą grupę. Potem, kiedy już się upewnimy, że nikt nas nie śledzi, wrócimy do Robyn na własną rękę.

– Dobra.

– To wszystko.

– Nie! Jeśli mamy działać logicznie, tak jak powiedział Homer, nie powinniśmy się podkradać do terenu wystawowego całą grupą. Niech pójdzie jedno z nas, a reszta zaczeka tutaj. Będzie mniejsze ryzyko, że nas zobaczą, a jeśli złapią jedną osobę, będzie mniejsza strata.

Corrie wydała zduszony okrzyk:

– Nie! Przesadziłaś z tą logiką! Jesteście moimi najlepszymi przyjaciółmi! Nie chcę być aż tak racjonalna!

W sumie ja też nie chciałam.

– Dobra – powiedziałam. – W takim razie jeden za wszystkich, wszyscy za jednego, Chodźmy. Jak trzech muszkietierowie.

Przemknęliśmy jak cienie na drugą stronę drogi i przyczailiśmy się za rogiem. Światła z terenu wystawowego sięgały aż tutaj. Były słabe, ale sporo zmieniały. Zatrzymaliśmy się na ich skraju zdenerwowani. Czuliśmy się tak, jakby jeden krok w stronę światła natychmiast ukazał nas całej armii wrogich obserwatorów. To było przerażające.

Wtedy po raz pierwszy zaczęło do mnie docierać, czym jest prawdziwa odwaga. Do tamtej pory wszystko wydawało się niezeczywiste, jak nocne podchody na szkolnym obozie. Wyjście z ciemności oznaczało wykazanie się odwagą, jaką nigdy nie musiałam się wykazywać, o jakiej nawet nie miałam pojęcia. Musiałam przeszukać własny umysł i ciało, żeby sprawdzić, czy znajdę gdzieś tę nową część mnie. Czułam, że mam w sobie ducha, który jest do tego zdolny, chociaż wcześniej go nie znałam. Gdybym tylko umiała go znaleźć, mogłabym się z nim połączyć, a wtedy być może, tylko hipotetycznie, mogłabym zacząć topić strach, który zmroził mi ciało. Może naprawdę byłam w stanie wykonać tę niebezpieczną i straszliwą misję.

Kluczem do odnalezienia mojego ducha był jeden mały ruch. Mniej więcej cztery kroki dalej rosło drzewo. Stało przede mną, po lewej, w strefie światła padającego od strony terenu wystawowego. Nagle wyszłam z ciemności i podbiegłam do niego czterema szybkimi, lekkimi krokami – tańcem, który mnie zaskoczył, lecz równocześnie przyprawił o lekki zawrót głowy i nappełnił dumą. To jest to! – pomyślałam. Udało się! To był taniec odwagi. Czułam wtedy – i nadal czuję – że tamte cztery kroki zupełnie mnie odmieniły. Przystałam być niewinną nastolatką ze wsi i zaczęłam się stawać kimś innym, osobą bardziej złożoną i zdolniejszą, siłą, z którą należy się liczyć, a nie jedynie grzecznym, posłusznym dzieckiem. Nie miałam wtedy czasu przyjrzeć się tej nowej i interesującej mnie, ale obiecałam sobie, że później to zrobię.

Nadal czułam lekkie zawroty głowy, kiedy chwilę później dołączyli do mnie najpierw Kevin, a potem Corrie. Spojrzeliśmy na siebie i szeroko się uśmiechnęliśmy, dumni, przejęci i trochę niedowierzający.

– Dobra, co teraz? – zapytał Kevin. Dla odmiany zwracał się do mnie po wskazówki. Może zauważył, jak bardzo się zmieniłam w ciągu tych kilku chwil. Ale sam też musiał się zmienić, prawda?

– Kierujmy się w lewo, od drzewa do drzewa. Musimy się dostać do tego dużego eukaliptusa. Znajdziemy się naprzeciwko pola do rąbania drewna. Stamtąd będziemy mieli dobry widok.

Gdy tylko skończyłam mówić, ruszyłam przed siebie, tak nakręcona, że nie zdałam sobie sprawy, że robię Kevinowi dokładanie to samo, o co przed chwilą miałam do niego pretensje. Z nowego punktu widokowego dostrzegłam poruszających się ludzi: trzech mężczyźni w mundurach powoli wyłonili się z cienia za trybuną i miarowym krokiem okrążali teren, idąc wzdłuż drucianego płotu. Mieli jakąś broń, chyba karabiny, ale stałam zbyt daleko, by widzieć wyraźnie. Ze wszystkich dowodów, które już zgromadziliśmy, ten jako pierwszy wskazywał niezbicie, że do kraju wtargnęła obca armia, która przejęła kontrolę. To było niewiarygodne, okropne. Poczulałam, że moje ciało przepelniają strach i złość. Chciałam krzyknąć, żeby się wynosili, chciałam uciec i gdzieś się schować. Nie potrafiłam oderwać od nich oczu.

Kiedy znowu zniknęli za stajniami, usłyszałam szybki tupot stóp Kevina i Corrie, którzy do mnie podbiegli.

– Widzieliście tych facetów? – zapytałam.

– I tak, i nie – szepnęła Corrie. – To nie byli sami faceci. Widziałam przynajmniej jedną kobietę.

– Naprawdę? Jesteś pewna?

Wzruszyła ramionami.

– Chcesz wiedzieć, jakiego koloru mieli guziki?

Zrozumiałam. Corrie ma naprawdę doskonały wzrok.

Podkradaliśmy się dalej, przebiegając od drzewa do drzewa, aż w końcu zdyszani stanęliśmy pod dużym eukaliptusem. Ostrożnie wyjrzelśmy zza pnia: Corrie uklękła i patrzyła z prawej, Kevin przykucnął i wyglądał przez niskie rozwidlenie gałęzi, a ja stałam po drugiej stronie i zerkalam zza pnia. Mieliśmy dość dobry punkt widokowy, oddalony o mniej więcej sześćdziesiąt metrów od ogrodzenia, i widzieliśmy jedną trzecią terenu wystawowego.

Pierwszą rzeczą, którą zauważyłam, było kilka dużych namiotów na owalnym wybiegu. Miały różne kształty i kolory, ale wszystkie były duże. Drugą rzeczą była następna para uzbrojonych żołnierzy stojąca na torze. Nic nie robili. Stali i jeden z nich patrzył na namioty, a drugi na pawilony. Było jasne, że pełnią wartę i prawdopodobnie strzegą czegoś, co znajduje się w namiotach. Jeden z wartowników był kobietą. Corrie miała rację.

Teren wystawowy nadal był udekorowany jak na festyn, mimo że organizatorzy powinni byli posprzątać cztery dni temu. Ale karuzele i inne atrakcje, wystawy traktorów i przyczep kempingowych, pniaki do rąbania drewna i przyczepy serwujące szybkie dania nadal stały na swoich miejscach. Z lewej dostrzegliśmy cichy ocean zaparkowanych samochodów. Większość z nich przypominała ciemne, nieruchome zwierzęta, a nieliczne połykiwały w sztucznym świetle. Gdzieś wśród nich musiało stać nasze auto. W niektórych pewnie nadal leżały psy. Próbowałam nie myśleć o ich okropnej śmierci, podobnej do tej, która spotkała zwierzęta u mnie w domu. Może żołnierze mieli sumienie i gdy walka dobiegła końca, po prostu je uwolnili. Może znalazło się trochę czasu.

Patrzyliśmy przez osiem minut – liczyłam – zanim cokolwiek się wydarzyło. Kiedy Kevin wychylił się zza pnia i szepnął do mnie: „Musimy iść”, a ja pokiwałam głową, z jednego z namiotów wyrzucił się jakiś człowiek. Wyszedł z dłońmi splecionymi za głową, a później się zatrzymał. Wartownicy natychmiast się ożywili. Jeden z nich szybko podszedł do mężczyzny, a drugi się wyprostował, żeby mieć go na oku. Wartownik i mężczyzna chwilę rozmawiali, a potem mężczyzna, nadal z rękami za głową, poszedł do toalet i zniknął w budynku. Dopiero w ostatniej chwili, kiedy światło nad drzwiami oświetliło mu twarz, rozpoznałam znajome rysy. To był pan Coles, mój nauczyciel z czwartej klasy podstawówki w Wirrawee.

Więc przynajmniej poznaliśmy prawdę. Powoli załała mnie fala zimna. Poczułam na ciele szczypiącą gęsią skórę. To była nasza nowa rzeczywistość. Zaczęłam drzeć, ale nie było czasu na rozpaczanie. Musieliśmy iść. Wycofaliśmy się, ukryci w trawie, a potem zaczęliśmy wracać tą samą drogą, biegnąc od drzewa do drzewa. Przypomniałam sobie, że kilka lat wcześniej wybuchły wielkie kontrowersje, kiedy rada miejska chciała wyciąć te drzewa i powiększyć parking. Pomysł spotkał się z tak wielkim sprzeciwem, że rada musiała zrezygnować. Uśmiechnęłam się pod nosem, chociaż wcale nie czułam radości. Dzięki Bogu dobrzy ludzie wygrali. Wtedy nikt nie mógł przypuszczać, jak bardzo przydadzą nam się te rośliny.

Dobiegłam do ostatniego drzewa i delikatnie poklepałam je po pniu. Czułam do niego wielką sympatię. Corrie była tuż za mną, a potem dołączył Kevin.

– Już prawie jesteśmy w domu – powiedziałam i znów puściłam się biegiem.

Powinnam była jeszcze raz odpukać w niemalowane drewno. Gdy tylko wychyliłam nos zza drzewa, za moimi plecami rozległo się terkotanie karabinu. Obok mnie śmignęły kule, wylupując wielkie kawały drewna z pnia po lewej stronie. Usłyszałam zduszony okrzyk Corrie i wrzask Kevina. Czułam się tak, jakbym ze strachu straciła grunt pod nogami. Przez chwilę nie miałam kontaktu z podłożem. To było dziwne uczucie – jakbym przestała istnieć. Potem padłam na ziemię, przeturlałam się po trawie i pełzałam jak skorek w poszukiwaniu schronienia. Odwróciłam się, żeby zawołać Kevina i Corrie, ale kiedy to zrobiłam, wylądowali prosto na mnie, na chwilę pozbawiając mnie tchu.

– Uciekaj co sił w nogach – powiedział Kevin, podnosząc mnie. – Nadchodzą.

Jakimś cudem mimo braku powietrza w płucach zaczęłam biec. Przez sto metrów słyszałam jedynie charczenie w płucach i miękkie uderzanie stóp o nawierzchnię drogi. Chociaż wcześniej

podjęliśmy bardzo racjonalną decyzję o rozdzieleniu się w razie pościgu, wiedziałam, że tego nie zrobię. W tamtej chwili jedynie kula mogła mnie oddzielić od przyjaciół. Nagle stali się moją rodziną.

Kevin cały czas oglądał się za siebie.

– Zejdźmy z drogi – wydyszał, akurat kiedy zaczęłam odzyskiwać siły.

Skręciliśmy na czyjś podjazd. Wtedy usłyszałam krzyk. Seria pocisków ścięła gałęzie z ogromną siłą, niczym nagła gwałtowna wichura. Zdałam sobie sprawę, że biegniemy po podjeździe pani Alexander.

– Znam to miejsce – powiedziałam do pozostałych. – Za mną.

Nie żebym miała jakiś plan. Po prostu nie chciałam biec w ciemności za kimś, kto nie wiedział, gdzie się znajduje. Nadal kierowała mną czysta panika. Poprowadziłam ich przez kort tenisowy, rozpaczliwie próbując coś wymyślić. Nie wystarczyło biec. Ci ludzie byli uzbrojeni, szybko się przemieszczali, z łatwością mogli wezwać posiłki. Nam sprzyjał jedynie fakt, że nie mogli mieć pewności, czy przypadkiem nie jesteśmy uzbrojeni. Mogli nawet pomyśleć, że prowadzimy ich w zasadzkę. Miałam nadzieję, że właśnie tak pomyślą. Szkoda tylko, że żadnej zasadzki nie było.

Pobiegliśmy na tyły domu – tam było ciemniej. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że myśląc o zasadzkach, sama wpakowałam Kevina i Corrie w pułapkę. Nie było tam płotu ani tylnej bramy, a jedynie rząd starych budynków. W ubiegłym wieku mieszkała w nich służba, a poza tym mieściły się tam kuchnia i pralnia. Teraz zrobiono z nich garaże, szopy na narzędzia ogrodnicze, magazyny. Zatrzymałam Corrie i Kevina. Zszokował mnie wyraz totalnego przerażenia na ich twarzach. Byłam wstrząśnięta, bo wiedziałam, że wyglądam tak samo. Widziałam ich błyszczące zęby i wpatrzony we mnie oczy, a ich niekontrolowane dyszenie wypełniało noc jak jakiś demoniczny wiatr. Mój umysł rozpadał się na kawałki. Potrafiłam myśleć tylko o tym, że arogancja, która kazała mi objąć

dowodzenie, poczuć pewność, że znam drogę, może nas kosztować życie. Nie byłam jeszcze pewna, czy Corrie i Kevin zauważyli, jaka ze mnie ignorantka. Mimo szczękania zębami próbowałam się zmusić, żeby coś powiedzieć. Nie miałam jednak pojęcia co, więc wściekłość na samą siebie przerodziła się w złość skierowaną przeciwko nim. Nie jestem zbyt dumna ze swojego zachowania tamtej nocy.

– Zamknijcie się! Zamknijcie się i słuchajcie – syknęłam. – Chryste Panie, mamy tylko parę minut. To duży ogród. Nie będą go przetrząsać po ciemku. Nie są do końca pewni, z kim mają do czynienia.

– Zraniłam się w nogę – jęknęła Corrie.

– Co? Ale chyba cię nie postrzelili?

– Nie, wpadłam na coś, o tam.

– To traktorek do trawy – powiedział Kevin. – Też o mało się o niego nie uderzyłem.

Przerwała nam seria z karabinu. Była przerażająco głośna. Widzieliśmy iskry sypiące się z luf. Patrzyliśmy na to i trzęsąc się, zrozumieliśmy ich taktykę. Trzymali się razem, poruszali się po ogrodzie i strzelali do wszystkiego, co mogło skrywać człowieka: do krzaków, ogrodowego grilla, góry kompostu. Prawdopodobnie zobaczyli wystarczająco dużo, by uznać, że nie jesteśmy uzbrojeni, ale mimo to byli ostrożni.

Próbowałam zaczerpnąć powietrza, oddychać. W końcu zaczęłam myśleć. Ale mój mózg działał tak jak płuca – nieregularnymi, łapczywymi zrywami.

– Tak, benzyna... możemy ją przyciągnąć... nie, to da im za dużo czasu... ale gdybym tam usiadła... zapalki... i jakieś dłuto albo coś w tym rodzaju...

– Ellie, o czym ty do cholery bredzisz?

– Znajdźcie jakieś zapalki albo zapalniczkę. I dłuto. I młotek. Szybko. Bardzo szybko. Zajrzyjcie do tych szop.

Rozdzieliliśmy się i popędziliśmy do spowitych mrokiem budynków. Corrie utykała. Znalazłam się w garażu. Pomacałam wokół i wyczułam gładką karoserię samochodu, a potem szybko szarpnęłam za klamkę po stronie pasażera. Drzwi były otwarte. Podobnie jak większość mieszkańców Wirrawee pani Alexander nie trudziła się zamykaniem drzwi. Tutaj wszyscy ufali ludziom. To miało się raz na zawsze zmienić. Kiedy drzwi się otworzyły, ku mojemu przerażeniu rozbłysło wewnętrzne światelko. Znalazłam wyłącznik i przesunęłam go, a potem siedziałam i dygocząc, czekałam na kule, które przedrą się przez ściany budynku. Nic się nie stało. Otworzyłam schowek na rękawiczki, który też miał światelko, ale ono dla odmiany było małe, a poza tym potrzebne. W środku znalazłam błogosławione pudełko zapalek. Dzięki Bogu, pani Alexander była nałogową palaczką. Chwyciłam zapalki, zatrzasnęłam schowek i wybiegłam z garażu. Z radości zapomniałam, że mogę napotkać żołnierzy. Na szczęście ich tam nie było. Czekał tylko Kevin.

– Masz?

– Znalazłem młotek i dłuto.

– Och, Kevin, kocham cię.

– Wszystko słyszałam – w ciemności rozległ się szept Corrie.

– Zaprowadźcie mnie do kosiarki – powiedziałam.

Wcześniej wpadły na nią dwie osoby, chociaż wcale jej nie szukały. Teraz, kiedy wszyscy troje jej potrzebowaliśmy, nigdzie nie było jej widać. Minęły dwie rozpaczliwe minuty. Czułam, że robi mi się coraz zimniej. Jakby lodowate owady wpełzły mi na skórę. W końcu pomyślałam: to nie ma sensu, musimy się poddać.

Ale szukałam dalej, uparta jak idiotka.

Wtedy znów rozległ się szept Corrie:

– Tutaj!

Kevin i ja podbiegliśmy do niej w tej samej chwili. Dokładnie w tym momencie dostrzegłam błysk latarki w pobliżu frontowej werandy.

– Idą – powiedziałam. – Szybko. Pomóżcie mi ją popchnąć. Ale cicho.

Zepchnęliśmy kosiarkę na drugą stronę podjazdu, niedaleko ceglanej ściany pracowni pani Alexander.

– Po co ci młotek i dłuto? – niecierpliwie zapytał Kevin.

– Żeby zrobić dziurę w baku – wyjaśniłam. – Ale teraz myślę, że narobimy tym za dużo hałasu.

– Po co ci dziura? – zdziwił się. – Nie wystarczy odkręcić zakrętki?

Od razu zrobiło mi się głupio. Potem zdałam sobie sprawę, że byłam podwójnie głupia, bo młotek i dłuto wywołałyby iskrę, od której wszyscy wylecielibyśmy w powietrze.

Kevin domyślił się, o co mi chodziło, i odkręcił zakrętkę.

– Musimy się schować za murem – szepnęłam – ale wcześniej trzeba zrobić „lont” z benzyny.

Pokiwał głową i zdjął podkoszulkę, którą wepchnął do baku i zamoczył w benzynie. Następnie odłożył zakrętkę na miejsce i wykorzystał podkoszulkę, żeby zostawić ślad z benzyny biegnący aż za mur. Pozostało nam zaledwie kilka sekund. Dobiegał nas chrzęst żwiru pod miękkimi, groźnymi butami i mamrotane od czasu do czasu słowa. Usłyszałam jeden głos męski i jeden żeński. Znowu rozbłysła latarka, tym razem tuż za rogiem podjazdu.

W moim uchu rozległ się szept Kevina.

– Musimy poczekać, aż staną obok siebie.

Pokiwałam głową. Właśnie zdałam sobie sprawę z istnienia tego problemu. Widziałam dwie ciemne postacie, ale zakładałam, że ściga nas troje wartowników, których widzieliśmy wcześniej. Kevin to potwierdził, szepcząc mi na ucho jeszcze raz:

– Na drodze było ich troje.

Znowu pokiwałam głową, a potem wzięłam głęboki oddech i wydałam z siebie krótki, cichy jęk bólu. Zrobiło to piorunujące wrażenie na dwóch żołnierzach. Odwrócili się w naszą stronę,

jakby mieli czułki. Wydałam zduszony okrzyk i udałam łkanie. Jeden z żołnierzy, mężczyzna, zawołał coś nagłym tonem w języku, którego nie znałam, i po chwili zza linii drzew wyłonił się trzeci żołnierz, który dołączył do dwóch kolegów. Przez chwilę rozmawiali, pokazując w naszym kierunku. Pewnie już wiedzieli, że nie jesteśmy uzbrojeni: bez wątpienia oddalibyśmy kilka strzałów, gdybyśmy mieli z czego. Mimo to trochę się rozproszyli i powoli ruszyli w naszą stronę. Czekałam i czekałam, aż w końcu znaleźli się mniej więcej trzy metry od kosiarki. Mały przysadzisty kształt tkwił tam, jakby domagał się zainteresowania. Po raz pierwszy dostrzegłam twarz żołnierzy. Potarłam zapalną.

— Nie zapaliła się.

— Moja dłoń, która aż do tamtej chwili była bardzo spokojna, zaczęła się trząść. Zginiemy tylko dlatego, że nie potrafię zapalić zapalniczki, pomyślałam. To było niesprawiedliwe, wręcz śmieszne. Spróbowałam jeszcze raz, ale za bardzo się trzęsłam. Żołnierze już prawie minęli kosiarkę. Kevin chwycił mnie za nadgarstek. „Zrób to!” – syknął mi do ucha. Żołnierze musieli go usłyszeć, bo ich skupione twarze znowu zwróciły się w naszą stronę. Potarłam zapalną po raz trzeci, prawie pewna, że nie zostało na niej wystarczająco dużo siarki. Mimo to zapaliła się z cichym trzaskiem i rzuciłam ją na ziemię. Rzuciłam ją za szybko. Nie mam pojęcia, jakim cudem nie zgasła. Powinna była zgasnąć i prawie tak się stało. Na chwilę zmalala do małego punkcika światła, a ja znowu pomyślałam, że już po nas i to wszystko moja wina. Wtedy z cichym, szybkim sykiem zapaliła się benzyna.

— Płomienie biegły po nitce benzyny nieregularnymi podskokami, jak czkający wąż, tyle że bardzo szybko. Żołnierze oczywiście je zobaczyli. Odwrócili się, spojrzeli i na ich twarzach pojawił się grymas. Ale zaskoczenie spowolniło ich ruchy, tak samo jak spowolniłoby moje. Jeden z nich uniósł rękę, próbując coś pokazać. Drugi odchylił się do tyłu, jakby w zwolnionym tempie. I takimi

widziałam ich po raz ostatni, bo Kevin odciągnął mnie od płotu, z którego ceglany mur, a chwilę później kosiarka przemieniła się w eksplodującą bombę. Miałam wrażenie, że wybuchła cała noc. Mur zakołysał się i zadrżał, a po chwili znów znieruchomiał. Mała pomarańczowa kula ognia rozdarła ciemność, rozsiewając wokół pociski smugowe ognia. Odgłos był przenikliwy, głośny i przerażający. Bolały mnie uszy. Widziałam odłamki pędzące w stronę drzew, a potem usłyszałam i poczułam kolejne, sypiące się na mur, za którym się ukryłam. Po chwili Kevin pociągnął mnie za rękę, mówiąc:

— Szybko, uciekajmy.

W tej samej chwili po drugiej stronie muru rozległy się krzyki.

Pobiegliśmy przez sad, a potem w dół, skręciliśmy za kurnikiem, dotarliśmy do płotu przed domem pani Alexander, w miejscu, gdzie stykał się z ogrodzeniem sąsiedniej posiadłości. Krzyki za naszymi plecami rozdzierały noc. Miałam nadzieję, że im szybciej i dalej uciekniemy, tym szybciej ucichną, ale wcale tak nie było. Nie wiedziałam, czy słyszę je tylko uszami, czy może rozlegają się też w mojej głowie.

— Najwyższa pora – wydyszała Corrie za moimi plecami. Dopiero po chwili zrozumiałam, o co jej chodzi: nadszedł czas, by spotkać się z resztą.

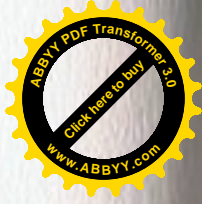
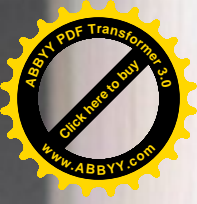
— Możemy od razu tam pobiec – zawołał Kevin.

— Jak twoja noga, Corrie? – zapytałam, bezskutecznie próbując wrócić do normalnego świata.

— W porządku – odpowiedziała.

Zobaczyliśmy zbliżające się reflektory, więc daliśmy nura do ogrodu. Minął nas pojazd jadący z dużą prędkością. To była ciężarówka z otwartą paką należąca do sklepu żelaznego w Wirrawee, ale tym razem nie wiozła narzędzi ogrodniczych, lecz żołnierzy. Na szczęście tylko dwóch.

Biegiem dotarliśmy do Warrigle Street, a potem pognaliśmy stromym podjazdem Mathersów, zapominając o wszystkich



środkach ostrożności. Z trudem łapaliśmy oddech. Moje nogi wydawały się stare i powolne. Naprawdę mnie bolały. Zatrzymałam się i czekałam na Corrie, a dalej poszliśmy już razem, trzymając się za ręce. Na nic więcej nie miałyśmy siły – nie mogłyśmy iść szybciej ani dłużej walczyć.

Homer i Fi już tam byli, otoczeni rowerami, których uzbierało się już siedem. Jeżdżenie na bagażniku odeszło do przeszłości, ale jak na ironię, kiedy udało nam się zgromadzić siedem rowerów, zostało nas tylko pięcioro. Nigdzie nie było widać Robyn i Lee. Była trzecia trzydzieści pięć i ze wzgórza widzieliśmy inne pojazdy opuszczające teren wystawowy i sunące w stronę Racecourse Road. Była wśród nich karetką z Wirrawee. Nie mogliśmy dłużej czekać. Zmęczeni zamieniliśmy ledwie kilka słów – głównie po to, aby się dowiedzieć, że w domu Fi też było pusto – a potem wsiedliśmy na zimne rowery i ruszyliśmy w dół wzgórza. Nie wiem jak inni, ale ja miałam wrażenie, że cały czas pedałuje w miejscu. Zatrzymałam się, a potem zmusiłam nogi do cięższej, szybszej pracy. Kiedy się rozgrzaliśmy, zaczęliśmy przyspieszać. To niesamowite, że w ogóle udało nam się wykrzesać więcej energii. Mnie napędzała zwyczajna potrzeba dotrzymania kroku pozostałym i niezostawiania w tyle. Mijając tablicę z napisem „Witamy w Wirrawee”, pędziliśmy już jak nietoperze z Piekła.

8

Dotarliśmy do domu Corrie kilka minut przed świtem. Właśnie zaczynało się rozjaśniać. Mieliśmy za sobą okropną podróż. Przy każdym drzewie obiecywałam sobie, że za chwilę dojedziemy do zjazdu, ale już kiedy zaczęłam to sobie obiecywać, wątpiłam, czy pokonaliśmy chociaż połowę drogi. Czułam ból w każdej części ciała, najpierw w nogach, potem w piersi, w plecach, w rękach, w gardle, w ustach. Byłam rozpalona, było mi niedobrze, cierpiałam z bólu. Moja głowa coraz bardziej opadała i w końcu utkwiłam wzrok w kole roweru kogoś, kto jechał przede mną – chyba Corrie. Zmęczony chór w mojej głowie śpiewał bezsensowną piosenkę:

Patrzę na twe zdjęcie i co na nim widzę?

To twarz anioła, wyznać się nie wstydzę...

Śpiewałam to z tysiąc razy. Słowa piosenki obracały się w mojej głowie jak koła roweru, aż w końcu krzyknęłam z bezradnej wściekłości, ale nawet to nie zdołało ich stłumić. Nie chciałam myśleć o tym, co się stało za domem pani Alexander, o losie trzech żołnierzy, którzy nas ścigali, ani o tym, co spotkało Lee i Robyn, więc ostatecznie nie pozostało mi nic innego, jak tylko nucić:

Widzę twarz anioła z samiuśkiego nieba,
Tyś moim aniołem i kochać cię trzeba.

Próbowałam sobie przypomnieć coś więcej niż tylko refren, ale nie potrafiłam.

W pewnej chwili ktoś zapytał: „Co powiedziałaś, Ellie?“, i zdałam sobie sprawę, że śpiewałam na głos. Byłam jednak zbyt zmęczona, żeby odpowiedzieć na pytanie – nawet nie wiem, kto je zadał. Zresztą możliwe, że je sobie wyobraziłam. Poza tym chyba nikt się odzywał. Nawet decyzja o powrocie do domu Corrie została podjęta jakby przez osmozę.

Dopiero kiedy byliśmy w połowie podjazdu, pozwoliłam sobie uwierzyć, że dotarliśmy do celu, że się udało. Chyba wszyscy byliśmy w podobnym stanie. Zatrzymałam się przed werandą Mackenziech i stałam, próbując znaleźć siłę, żeby podnieść stopę i zsiąść z roweru. Długo tak stałam. Wiedziałam, że ostatecznie będę musiała tę nogę podnieść, ale nie miałam pojęcia, kiedy mi się to uda. W końcu Homer powiedział czułym głosem: „Chodź, Ellie“, i wtedy ogarnął mnie wstyd z powodu takiej słabości. Zdołałam się zgramolić z roweru, a nawet zaprowadzić go do szopy.

W domu Flip skakała wokół Kevina jak zakochany kundel, Corrie przygotowywała kawę na kuchence turystycznej, Fi siedziała przy stole, trzymając się za głowę, a Homer wyjmował talerze i sztućce. Niesamowicie, jak wiele zmieniała nieobecność Lee i Robyn. Czułam się tak, jakby w kuchni było pusto.

– Co mam zrobić? – zapytałam głupio, bo nie byłam już w stanie samodzielnie myśleć.

– Po prostu usiądź i jedz – powiedział Homer. Znalazł płatki zbożowe, cukier i trochę mleka w kartonie. Prawie się udławiłam kilkoma pierwszymi łyżkami, ale po chwili odzyskałam umiejętność jedzenia i mleko popłynęło do żołądka.

Powoli zaczęliśmy rozmawiać, a potem nie mogliśmy przestać. Byliśmy zmęczeni, ale jednocześnie tak nakręceni, że rozmowa przemieniła się w bitwę bełkoczących głosów. Nikt nikogo nie słuchał i w końcu wszyscy krzyczeliśmy. Wreszcie Homer wstał, chwycił pusty kubek po kawie i cisnął nim w obudowę kominka, gdzie kubek roztrzaskał się na wielkie białe kawałki.

– To taki grecki zwyczaj – wyjaśnił, widząc zdumienie na naszych twarzach. Potem znowu usiadł. – Dobra – ciągnął – mówmy po kolei. Ellie, ty pierwsza. Co się z wami działo?

Wzięłam głęboki oddech i pokrzepiona mieszanką muesli i ryżowych kuleczek, które właśnie zjadłam, zaczęłam opowiadać, co widzieliśmy na terenie wystawowym. Od czasu do czasu, kiedy zapytałam o jakimś szczególe, wtrącali się Kevin i Corrie, ale gdy dotarłam do wydarzeń w ogrodzie pani Alexander, zaczęły się prawdziwe kłopoty. Nie potrafiłam na nikogo spojrzeć, gapiałam się tylko na stół, na kawałek opakowania po płatkach, które wykręcałam, zwijałam i tarnosiłam w palcach. Trudno mi było uwierzyć, że ja, zwyczajna, poczciwa Ellie, która nie ma w sobie niczego wyjątkowego, przeciętna pod każdym względem, prawdopodobnie właśnie zabiłam troje ludzi. Nie byłam w stanie tego ogarnąć. Na samą myśl sformułowaną w tak odważny sposób ogarniało mnie przerażenie. Czułam, że moje życie uległo trwałemu zniszczeniu, że już nigdy nie będę normalna, że resztę życia spędzę jak w skorupie. Ellie mogła chodzić, mówić, jeść i pić, ale wewnątrz Ellie, jej uczucia, było skazane na to, by zwiędnąć i umrzeć. W zasadzie nie myślałam o tamtych żołnierzach jak o zwykłych ludziach: nie umiałam, bo tak naprawdę nie docierało do mnie ich istnienie. Nawet za dobrze nie widziałam ich twarzy. Nie wiedziałam, jak mieli na imię, ile mieli lat, z jakich pochodzili rodzin ani co robili wcześniej, jak podchodzili do życia. Nadal nie wiedziałam, z jakiego byli kraju. A ponieważ nie wiedziałam nic, co trzeba wiedzieć, żeby naprawdę kogoś poznać, tamci żołnierze w zasadzie nie byli dla mnie prawdziwymi ludźmi.

Dlatego próbowałam opowiedzieć wszystko tak, jakbym była kimś z zewnątrz, widzem, osobą czytającą o tym w książce. W książce historycznej o innych ludziach, ale nie o mnie. Miałam poczucie winy i było mi wstyd z powodu tego, co się stało.

Poza tym bałam się odwrotnej sytuacji: że jeśli opowiem historię o kosiarce z choćby odrobiną dramatyzmu, pozostali, zwłaszcza chłopcy, zaczną zgrywać macho i zachowywać się tak, jakbym dokonała wielkiego bohaterskiego czynu.

Nie chciałam być Rambo, ale sobą: zwyczajną Ellie.

Zareagowali jednak inaczej, niż się obawiałam. W połowie opowieści Homer położył na mojej dłoni jedną ze swoich wielkich brązowych łap, co utrudniło mi dalsze tarמושenie opakowania po muesli, a Corrie przysunęła się i objęła mnie ramieniem. Fi słuchała ze wzrokiem utkwionym w mojej twarzy i z otwartymi ustami, jakby nie mogła uwierzyć własnym uszom. Kevin siedział z ponurą miną. Nie wiem, o czym myślał, ale na pewno nie wydawał wojennych okrzyków ani nie robił nacięć na pasku, czego w głębi duszy się obawiałam.

Kiedy skończyłam, zapadła cisza, a potem odezwał się Homer:

– Dobrze się spisaliście. Nie przejmujcie się. Jest wojna i normalne zasady przestały obowiązywać. Ci ludzie napadli na nasz kraj, uwięzili nasze rodziny. Skazali twoje psy na śmierć, Ellie, i próbowali zabić was troje. Grecka część mnie rozumie takie sprawy. Kiedy ci żołnierze opuszczali swój kraj, żeby tu przyjechać, wiedzieli, co robią. To oni złamali zasady, nie my.

– Dzięki, Homer – powiedziałam.

Naprawdę mi pomógł.

– A co się działo z wami? – zapytał Kevin.

– Na początku przebiegliśmy kawał Honey Street – zaczął Homer. – Ale im bardziej wbijaliśmy się w miasto, tym bardziej musieliśmy uważać i tym wolniej się posuwaliśmy. Pierwszą atrakcję odkryliśmy na skrzyżowaniu Maldon z West. Wcześniej coś się

tam wydarzyło. Chyba rozegrała się jakaś bitwa: dwa radiowozy leżały przewrócone na bok, a kawałek dalej zobaczyliśmy ciężarówkę, która wjechała w drzewo. Poza tym wszędzie leżały łuski po nabojach, były ich setki. Ale żadnych ciał ani nic w tym rodzaju.

– Tylko krew – powiedziała Fi. – Mnóstwo krwi.

– Tak, w każdym razie myślimy, że to była krew. Pełno ciemnych plam. Ale poza tym widzieliśmy też plamy ropy i tego typu rzeczy. Ogólnie straszny bałagan. Ostrożnie przeszliśmy obok, a potem przecięliśmy park Jubilee. Chcieliśmy przejść wzdłuż Barker Street, ale szczerze mówiąc, cała ulica wyglądała jak obszar klęski żywiołowej. Jak sceneria po tych amerykańskich rozruchach, które pokazywali w telewizji. Wszystkie witryny sklepowe były potłuczone, a na ulicy i na chodnikach wałało się mnóstwo gratów. Ci koleśie urządzili sobie chyba wielką imprezę.

– Pewnie myśleli, że to Boże Narodzenie.

– Raczej nie przejmują się czymś takim jak Boże Narodzenie. Ale i tak nie mogliśmy się powstrzymać od śmiechu: dokładnie naprzeciwko nas, w witrynie sklepu ogrodniczego, wisiała wielka tablica z napisem: „Uwaga na kieszonkowców”. Wyglądało na to, że w końcu doczekali się kieszonkowców. Całej armii. W każdym razie postanowiliśmy ruszyć wąską uliczką za sklepem. Była zupełnie ciemna i to nam odpowiadało. Zabawne, jak szybko można się przyzwyczaić do nocnego trybu życia. No więc poszliśmy tamtędy, przecięliśmy parking i dotarliśmy do Glover Street. Wtedy Fi, która ma słuch nietoperza, usłyszała jakieś głosy, więc schowaliśmy się w szalecie. Oczywiście w męskim. Nie chciałem ryzykować, że zostanę przyłapany w damskim. W zasadzie nie było to zbyt mądre posunięcie. Wy dość szybko przestawiliście się na właściwy tryb myślenia, ale my musieliśmy trochę potrenować. Gdyby ktoś zauważył, że tam wchodzimy, albo gdyby znaleźli nas w środku, byłoby już po nas. Kible to idealna pułapka. Ktoś się zbliżał. Ja też słyszałem głosy. Zamierzałem się odpryskać, ale

kiedy człowiek się przestraszy... W zasadzie nie wiem, jak to jest u dziewczyn, ale facet może wtedy stać pół godziny, a i tak nie wyciśnie ani kropelki...

– Daj spokój, Homer, mów dalej. Chce mi się spać.

– Dobra, dobra. Czekaliśmy i czekaliśmy. Kimkolwiek byli ci ludzie, wcale im się nie spieszyło.

– Homer umiłał sobie czas pisaniem po ścianach – wtrąciła Fi.

– Tak, to prawda – bezwstydnie przyznał Homer. – Doszedłem do wniosku, że to jedyna okazja w życiu, kiedy coś takiego ujdzie mi na sucho. Gdy to wszystko się skończy, ludzie będą mieli inne zmartwienia niż przejmowanie się moimi tekstami na ścianach w kiblu. Poza tym skupiłem się na hasłach patriotycznych.

– Nie wiem, co jest patriotycznego w „Grecy rządzą” – znowu wtrąciła Fi.

– Ale pisałem też inne rzeczy.

– Jesteś debilem, Homer – mruknął Kevin. – Niczego nie bierziesz na serio.

Ale ja przypominałam sobie dłoń Homera na mojej, kiedy mówiłam o krzykach trojga żołnierzy, których trafił mój domowej roboty szrapnel. I przypominałam sobie, co powiedział, żeby mnie pocieszyć. Uśmiechnęłam się do niego i puściłam oczko. Wiedziałam, co próbuje zrobić.

– W każdym razie ci ludzie się zbliżali. A mówiąc ludzie, mam na myśli mieszankę. Byli tam mężczyźni i kobiety, tak jak w naszym patrolu. W sumie chyba sześć albo siedem osób. Najbardziej się baliśmy, że zachce im się skorzystać z toalety. Myślałem, żeby wejść do kabiny i zaryglować drzwi od środka, żeby pokazał się napis „zamknięte”. Jestem pewien, że by go uszanowali. Ale Fi nie dała się przekonać, więc zamiast tego ukryliśmy się w schowku na szczotki, wczolgując się do niego przez szczelinę pod drzwiami. To jedyne miejsce, do którego nie zajrzeli jeszcze szabrownicy. W środku nie było miejsca i okropnie śmierdziało, ale poczuliśmy

się bezpieczniej, chociaż jak już wspomniałem, zachowaliśmy się jak samobójcy. Całe to miejsce było śmiertelną pułapką. I oczywiście dwie minuty później rozległo się skrzypienie butów. Prawdopodobnie weszło trzech facetów. Dwaj skorzystali z pisuarów, a trzeci zasiadł na tronie. Całe szczęście, że się schowaliśmy, bo nie chciałbym, żeby Fi to zobaczyła. Facet w kabinie siedział tuż obok nas i jeśli smród był paskudny wcześniej, to teraz, fee, stał się przerażający. Chyba próbowali zaoszczędzić na amunicji i zagazować nas na śmierć. A te efekty dźwiękowe...

Homer zaczął je naśladować. Mała Flip, która siedziała na kolanach Kevina, nadstawiła uszu i szczerknęła. Nawet Fi się rozśmiała.

– Dobrze, że nie było z nami Flip – skomentował Homer. Potem ciągnął dalej: – Nie dowiedzieliśmy się zbyt wiele, poza tym że jedzą mnóstwo jajek i sera. Dużo mówili, ale nie w języku, który umiałbym rozpoznać. Chociaż w zasadzie nie jestem poligłotą. Mogę jedynie powiedzieć, że nie byli z Grecji. Ale Fi uczy się języków obcych... chyba sześciu, prawda, Fi?... i też nie wie, co to za jedni.

Zauważyłam, że po wspólnie spędzonej nocy Homer czuł się swobodniej w towarzystwie Fi. Znalazł odpowiedni styl i ton. A jej najwyraźniej sprawiało to przyjemność. Śmiała się z jego dowcipów, a kiedy na niego patrzyła, w jej twarzy widać było więcej życia i koloru. Znikął chłód, który okazywała mu wcześniej.

– No tak – ciągnął Homer. – W końcu skończyli to, czym się zajmowali, i usłyszeliśmy, jak wychodzą. Daliśmy im pięć minut i z powrotem przeczolgaliśmy się pod drzwiami schowka. Na zewnątrz zobaczyliśmy żołnierzy, którzy znikali na końcu Glover Street. Zabawna gromadka. W sumie było ich sześcioro, w tym chyba trzy kobiety. Ale dwóch facetów wyglądało dość starawo, a dwóch całkiem młodo. Byli w naszym wieku, albo i młodszy. Mieli na sobie stare, zniszczone mundury.

– Żeby najechać na kraj tej wielkości – powiedziała Corrie – musieli chyba powołać wszystkich, którzy mają dwie ręce i dwie nogi.

– W pobliżu nie było żadnych kosiarek – podjął Homer – więc na paluszkach oddaliliśmy się w przeciwną stronę. W drodze do domu Fi w zasadzie nic więcej się nie wydarzyło...

– Jak to nie? – przerwała mu Fi. – Zapomniałeś o cieniach?

– A tak – przyznał Homer. – Opowiedz im o nich. Ja tego nie widziałem.

– Mniej więcej dwie przecznice od mojego domu – zaczęła Fi – jest bar mleczny, a za nim mały park. Bar mleczny został splądrowany, podobnie jak inne sklepy. Skradaliśmy się przez park i kątem oka zauważyłam dwa cienie wychodzące z baru mlecznego. Mam na myśli cienie ludzi. Chociaż w sumie to nie były cienie. Po prostu tak je nazwałam, bo było ciemno i wyglądały jak cienie. Na początku pomyślałam, że to żołnierze, więc chwyciłam Homera za rękę i schowaliśmy się za drzewem. Kiedy wyrzalam zza pnia, cienie skręciły w Sherlock Road, ale zauważyłam, że to nie żołnierze, bo zupełnie inaczej się zachowywali. Krzyknęłam do nich, a wtedy przystanęli i rozejrzeli się. Przez chwilę rozmawiali i w końcu uciekli. To wszystko.

– Ja ich nie widziałem – wyjaśnił Homer. – O mało nie umarłem, kiedy Fi zaczęła krzyczeć. Pomyślałem, że za bardzo się nawdychała lizolu w schowku na szczotki. Ale jak się nad tym zastanowić, to logiczne, że w mieście są jeszcze jacyś ludzie na wolności. Przecież nie mogli schwytać wszystkich mieszkańców w tak krótkim czasie. Tak czy siak, wdrapaliśmy się na wzgórze. Dotarliśmy do domu Fi. Był zamknięty, ale Fi wiedziała, gdzie znaleźć zapasowy klucz. Teraz ja też wiem i pewnego dnia mogę to wykorzystać. Fi wpuściła mnie do środka i wydała rozkazy: pierwszy włącznik światła był mniej więcej sto metrów od drzwi wejściowych, po drugiej stronie ogromnego hallu, więc Fi siedziała na schodach, a ja skradałem się w tych egipskich ciemnościach. Mówię wam,

ciarki przechodziły po plecach. Wiecie, że mam zdolności paraneuralne, więc czułem tam czyjąś obecność. Byłem pewny, że nie jestem sam. Dotarłem mniej więcej do połowy i nagle na górze rozległ się dziki wrzask, a po chwili zostałem zaatakowany. Wbiły się we mnie diabelskie szpony, a czyjs upiorny głos zawył mi do ucha. Właśnie w taki sposób się dowiedzieliśmy, że kot Fi nadal żyje i pomieszkuje na krokwiach. Rodzice Fi remontowali sufit.

– Boże, Homer, jesteś beznadziejny – ziewnął Kevin. – Mów dalej.

– Nie będę się wdawał w przygnębiające szczegóły. Jak już wspomnieliśmy, w domu Fi też nikogo nie było. Ale wszystko pozostało nietknięte. Jestem pewien, że nic im się nie stało, że nasze rodziny są całe i zdrowe. Wygląda na to, że są przetrzymywane na terenie wystawowym, a kiedy najeźdźcy opanują sytuację, być może zaczną ich stamtąd wypuszczać. Poza tym mają tam mnóstwo jedzenia. Na pierwszy ogień poszedł tort udekorowany przez moją mamę, który pewnie wygrał w konkursie.

Na chwilę zapadła cisza, a potem Corrie zapytała:

– Mielście jakieś kłopoty w drodze powrotnej do domu Robyn? Homer spoważniał i zaczął mówić trochę ciszej.

– Znacie Andersenów?

– Tego pana Andersena, który trenuje drużynę piłki nożnej?

– Tak. Kojarzycie ich dom? No więc wróciliśmy inną drogą, żeby ominąć centrum handlowe i minęliśmy dom Andersenów. A raczej to, co z niego zostało. Moja mama zawsze powtarza, że mój pokój wygląda, jakby wybuchła w nim bomba. Teraz wiem, co ma na myśli. Myślę, że w dom Andersenów uderzyła bomba. W niego i w dwa inne domy niedaleko torów kolejowych. Tamta część miasta została trochę zniszczona. – Siedział i wpatrywał się w stół, jakby nadal miał przed oczami ruiny domów. Potem podniósł głowę, wyprostował się i ciągnął dalej: – To w zasadzie wszystko. Wróciliśmy do domu Robyn mniej więcej za piętnaście

trzecia. Liczyliśmy, że po drodze spotkamy Lee i Robyn, ale nie było po nich śladu. Mieliśmy wrażenie, że czekanie u Robyn trwa godzinami. Byliśmy przerażeni, że żadne z was nie wraca, że wszyscy zostaliście złapani. Wtedy usłyszeliśmy strzały od strony terenu wystawowego. Okropnie mnie wystraszyły. Potem jakieś krzyki, a w końcu wybuch przy Racecourse Road. Mój Boże, wyglądało to jak ogień piekielny. Zdobyłoby piątkę w skali Richtera. Byłem pod wrażeniem. Trzeba przyznać, że umiecie zorganizować pokaz fajerwerków. Ale oczywiście stanie i patrzeć na to, bez żadnych informacji, co się dzieje, wcale nie było przyjemne. Nie chciałbym tego powtórzyć.

On też ziewnął.

– Chyba powinniśmy się przespać. Nie ma sensu tu siedzieć i się zastanawiać, co spotkało Lee i Robyn. Tylko byśmy się zdołowali. A taktykę opracujemy później. Teraz musimy zgromadzić trochę energii. Jeśli będziemy pełnić wartę na zmianę, raczej nic złego nam się nie stanie. Nie wydaje mi się, żeby mieli wystarczająco dużo ludzi na przeszukanie całej okolicy w ciągu jednego dnia.

– Brzmi dość sensownie – powiedziałam. – Ale trzeba opracować drogę ucieczki, na wypadek, gdyby jednak tu przyszli. To, z czego zdałeś sobie sprawę, ukrywając się z Fi w schowku na szczotki, nadal jest aktualne.

– Te małe żółte kuleczki – powiedziała Fi, marszcząc nos. – Musiały ich tam być tysiące. Dlaczego we wszystkich męskich toaletach jest pełno tych małych żółtych kuleczek?

– Skąd wiesz, że we wszystkich? – zapytał Homer.

– A gdybyśmy tak poszli spać do domku postrzygaczy? – podsunęła Corrie. – Ten, kto będzie miał wartę, usiądzie w domku na drzewie. Jeśli zaparkujemy za domkiem postrzygaczy, będziemy mogli wskoczyć do samochodu, przejechać przez pole i zniknąć w lesie, zanim ktokolwiek zdąży się zbliżyć.

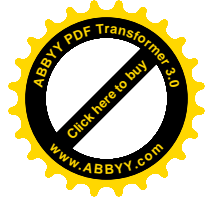
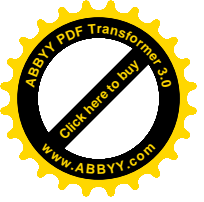
– A jeśli nas zauważą albo usłyszą? – zapytał Homer.

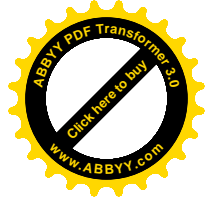
Corrie się zastanowiła.

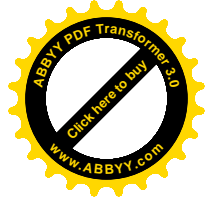
– Jest takie ryzyko. Ale jeśli wartownik dostrzeże ich wystarczająco wcześnie i jeśli będziemy szybcy, nie powinni się połapać.

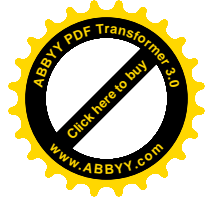
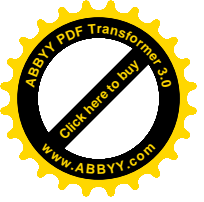
– W takim razie zaprowadźmy tam też rowery, żebyśmy w razie czego mogli skorzystać z cichej opcji. I posprzątajmy w kuchni, żeby nie zostawić żadnych śladów.

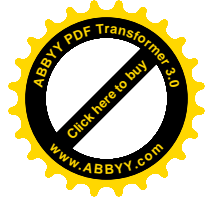
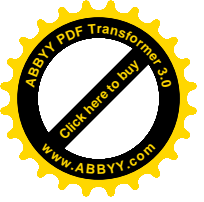
Z każdą mijającą godziną Homer coraz bardziej mnie zaskakiwał. Trudno było sobie wyobrazić, że ten szybko myślący koleś, który przez piętnaście minut nas rozśmieszał, zabawiał rozmową i poprawiał nam humor, cieszył się w szkole tak małym zaufaniem, że nauczyciele nie pozwalali mu nawet rozdawać książek.

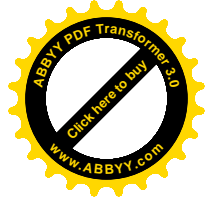


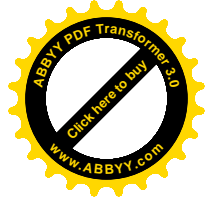


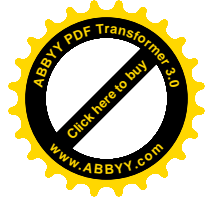
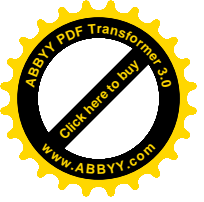


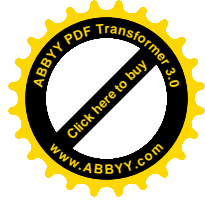
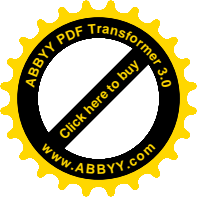


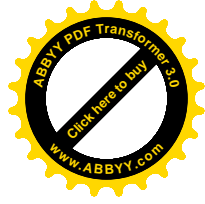
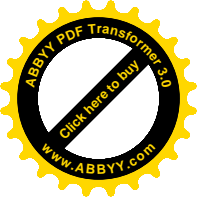


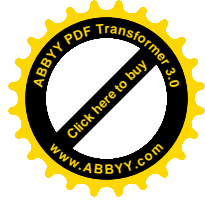
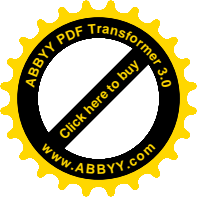


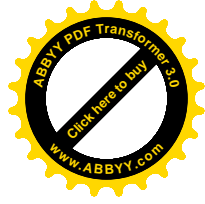
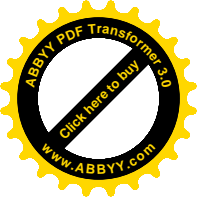


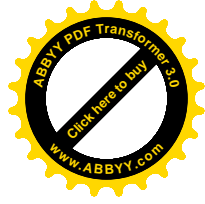
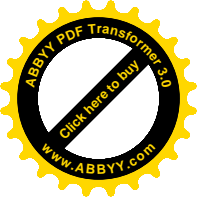


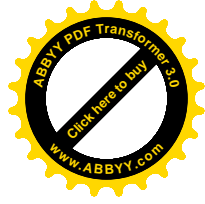
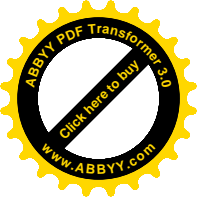


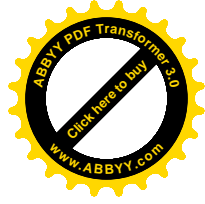
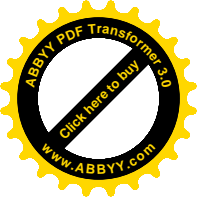


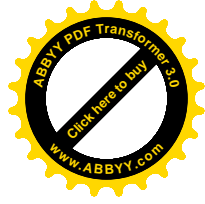
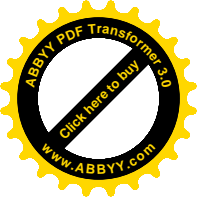


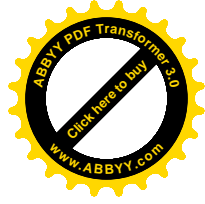
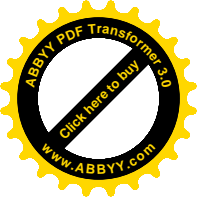


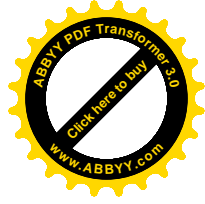


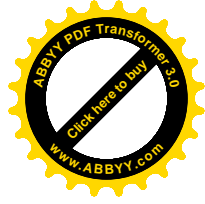


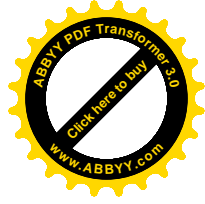


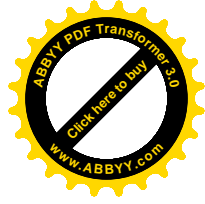


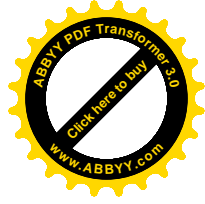


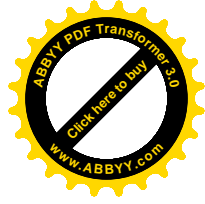


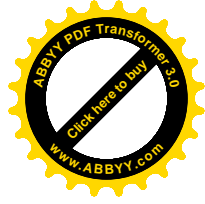












12

Podczas naszej krótkiej nieobecności dom odwiedziło kilku gości. Przyszli szabrownicy i podobnie jak u Chrisa zabrali biżuterię i parę innych drobiazgów. Mój zegarek, kilka srebrnych ramek na zdjęcia, mój szwajcarski szczyryk. Nie wyrządzili większych szkód. Poczułam się okropnie, ale byłam tak zmęczona, że nie do końca to do mnie dotarło. Corrie, Kevin i Fi też tam byli – zabrali wszystkie rzeczy z listy, a na lodówce zostawili wiadomość: „Poszliśmy tam, gdzie trafiają źli ludzie. Do zobaczenia!”. Roześmiałam się, a potem pocierałam napis, dopóki całkiem nie zniknął. Naprawdę zaczęłam się przejmować kwestiami bezpieczeństwa.

Homer i Robyn zdjęli opatrunek z nogi Lee i oglądali ranę – u Robyn dostrzegano się jej nowo odkrytą fascynację krwią. Zerknęłam im przez ramię. Nigdy wcześniej nie widziałam rany postrzałowej u człowieka. Ale nie wyglądało to najgorzej. Jak na dentystę pan Clement spisał się całkiem nieźle. Było tylko kilka szwów, ale ranę otaczał ciemny siniak z mnóstwem ciekawych odcieni błękitu, czerni i fioleto. Spod rzędu szwów wyciekało trochę świeżej krwi. To pewnie ją widziałam na bandażu.

- Wygląda na spuchniętą – zauważyłam.
- Szkoda, że nie widziałas jej wczoraj – powiedział Lee. – Dziś jest znacznie lepiej.

– Pewnie dzięki tej fizjoterapii, którą ci zafundowałam w dożerze.

– Jakie to uczucie, kiedy ktoś cię postrzeli? – zapytał Chris.

Lee przechylił głowę i chwilę się zastanowił.

– Jakby ktoś ci przebił nogę wielkim rozgrzanym kawałkiem drutu kolczastego. Ale nie wiedziałem, że to kula. Myślałem, że coś spadło w sklepie i mnie zraniło.

– Bolało? – zapytałam.

– Na początku nie. Ale nagle poczułem, że nie mogę dalej iść. To wtedy Robyn zarzuciła mnie sobie na plecy. Zabolało dopiero, kiedy dotarliśmy do restauracji i się położyłem. Wtedy noga bolała, jakby się paliła. Myślałem, że umrę.

Homer przemył ranę spirytusem i zaczął znowu owijać nogę Lee bandażem. Robyn obejrzała mi twarz i nad linią włosów znalazła rozcięcie, które zakleiła plastrem z opatrunkiem. Wyglądało na to, że nie odnieśliśmy więcej ran. Kiedy skończyła, poszłam poszukać land-rovera i znalazłam go starannie wyładowanego pakunkami i ukrytego tam, gdzie uzgodniliśmy, mniej więcej pół kilometra dalej, w starym sadzie, gdzie moi dziadkowie zbudowali pierwszy dom na tej ziemi.

Mieliśmy do zmarnowania cały dzień, zanim mogliśmy ruszyć w góry i dołączyć do pozostałych. Wszyscy najbardziej pragnęli się wyspać – z wyjątkiem Chrisa, który w porównaniu z nami był nieźle wypoczęty. Dlatego stanął na warcie jako pierwszy. A także drugi, trzeci i czwarty. Spanie w domu było zbyt niebezpieczne, więc wzięliśmy koce i ulokowaliśmy się w najstarszym i najdalszym stogu siana. Zestresowałam wszystkich, przynosząc z land-rovera broń, ale ciągle miałam przed oczami to, co się stało z domem Corrie, i pamiętałam, jak Homer powiedział, że powinniśmy się jeszcze wiele nauczyć. Musieliśmy się nauczyć nowego sposobu życia.

Potem spaliśmy, spaliśmy i spaliśmy.

Podobno nastolatki potrafią przespać cały dzień. Dawniej często patrzyłam na psy i dziwiłam się, że z radością śpią po dwadzieścia godzin na dobę. Jednocześnie im zazdrościłam. Mnie też odpowiadałby taki styl życia.

Wprawdzie nie spaliśmy dwadzieścia godzin, ale staraliśmy się spać jak najdłużej. Rano trochę się powierciłam, odwróciłam się na drugą stronę, zerknęłam na Lee, który wydawał się niespokojny, spojrzałam na leżącą obok mnie Robyn, która spała jak aniołek, i z powrotem zapadłam w głęboki sen. Dla odmiany dobrze zapamiętałam tamte sny. Nie śniła mi się strzelanina, taranowanie samochodów ani krzyczący i umierający ludzie, chociaż później często mi się to zdarzało. Tamtego ranka śnił mi się tata, który grillował dla całej chmary gości. Nie widziałam, co przygotowywał, ale szybko operował widelcem, nakłuwając kielbasę albo coś w tym stylu. Miałam wrażenie, że zjechało do nas całe miasto. Ludzie przechadzali się po domu i po ogrodzie. Przywitałam się ze stojącym przy grillu ojcem Croninem, ale mi nie odpowiedział. Poszłam do kuchni, ale tam też było pełno ludzi. Potem przyszła Corrie i zapytała, czy się z nią pobawię. Nie miałam nic przeciwko temu, tyle że Corrie znowu miała osiem lat. Poszłam za nią, dotarliśmy nad rzekę i wsiadliśmy do łódki. Okazało się, że siedzi w niej już większość mieszkańców miasta, a mama i tata pełnią obowiązki kapitana, więc gdy tylko weszliśmy na pokład, łódka odpłynęła. Nie wiem, dokąd zmierzaliśmy, ale było gorąco, wszyscy się pocili, ludzie zdejmowali ubrania. Spojrzałam na brzeg, a tam stał ojciec Cronin i machał nam na pożegnanie – a może groził pięścią, bo wszyscy się rozbieraliśmy? Poza tym nie wiedziałam już, czy się rozbieramy dlatego, że jest gorąco, czy może z innego powodu. Corrie siedziała spokojnie, ale przestałyśmy być ośmiolatkami. Potem musiała gdzieś z kimś pójść i na jej miejscu pojawił się Lee. On też się rozbierał, bardzo poważnie, jakby to był jakiś święty rytuał. Położyliśmy się obok siebie, nadal bardzo

poważni, i zaczęliśmy się dotykać, delikatnie i czule. Kiedy się obudziłam, cała spocona, i zauważyłam, że leżę w pełnym słońcu. Robiło się naprawdę gorąco. Odwróciłam się, spojrzałam na pozostałych i mój wzrok od razu padł na Lee, który przyglądał mi się tymi swoimi ciemnymi oczami. Sen sprawił mnie w takie zakłopotanie, że zrobiłam się czerwona i zaczęłam szybko mówić:

– O, temperatura podskoczyła z dziesięć stopni. Zaraz się tutaj ugotuję. Muszę się ruszyć. Chyba spałam dłużej, niż mi się wydawało. – Wzięłam koc i ułożyłam się po drugiej stronie Lee, ale mniej więcej w takiej samej odległości jak wcześniej. Paplałam dalej: – Potrzebujesz czegoś? Coś ci przynieść? Wyspałeś się? Bardzo cię boli?

– Nic mi nie jest – powiedział.

Kiedy znalazłam się w cieniu, trochę się uspokoiłam. Z nowego miejsca widziałam całe pola aż do zarośli, a jeszcze wyżej góry.

– Pięknie tu, prawda? – zapytałam. – Mieszkam w tym miejscu przez całe życie, a czasami nawet nie zauważam, jak tu ładnie. Nadal trudno mi uwierzyć, że możemy to wszystko stracić. Ale dużo dzięki temu zobaczyłam: każde drzewo, każdą skałę, każde pole, każdą owcę. Chcę to zapisać w pamięci, na wypadek gdyby... na wszelki wypadek.

– Tak, pięknie tu – potwierdził Lee. – Masz szczęście. W restauracji nie ma nic pięknego. A mimo to czuję do niej to samo co ty do tej ziemi. Pewnie dlatego, że wszystko zrobiliśmy sami. Kiedy ktoś tłucze szybę w oknie, tłucze szybę, którą przycinał tata, szkło, które pucowałem tysiące razy, a potem rwie zasłony uszyte przez mamę. Człowiek przywiązuje się do miejsca, a wtedy ono staje się dla niego wyjątkowe. Chyba nawet rzeczywiście zyskuje coś w rodzaju piękna.

Przysunęłam się trochę bliżej.

– Czuleś się okropnie, kiedy zobaczyłeś, że restauracja została zniszczona?

– Było tak wiele powodów, żeby czuć się okropnie, że nie wiedziałem, od którego zacząć. Ale chyba jeszcze to do mnie nie dotarło.

– Do mnie też. Kiedy przyjechaliśmy tu rano i zobaczyłam, że byli w domu... Sama nie wiem. Spodziewałam się tego, ale i tak poczułam się paskudnie, chociaż z drugiej strony niewystarczająco paskudnie. Potem ogarnęło mnie poczucie winy, że nie poczułam się gorzej. Chyba masz rację, tego jest po prostu za dużo. Zbyt wiele się wydarzyło.

– Tak.

Było to tylko jedno słowo, ale nigdy nie zapomnę tonu, jakim je powiedział, jakby naprawdę rozumiał wszystko, o czym mówiłam. Przeturlałam się kawalek, żeby być jeszcze bliżej Lee, i ciągnęłam dalej:

– Jednocześnie myślę o Corrie i o tym, jakie to musiało być dla niej straszne, znacznie gorsze niż dla mnie. Myślę o tym, że macie młodszych braci i siostry. To też musi być okropne. Pomyśl, jak się czują rodzice Chrisa: są za granicą, prawdopodobnie nie mogą wrócić do kraju, nie mają pojęcia, co się stało z ich synem. Nie znamy skali tego, co się dzieje. Możliwe, że uczestniczy w tym wiele krajów. Pamiętasz, jak żartowaliśmy w Piekło o trzeciej wojnie światowej? Może mieliśmy rację.

Objął mnie ramieniem, a potem leżeliśmy i patrzyliśmy na stare drewniane krokwie stodoly.

– Śniłeś mi się – powiedziałam po chwili.

– Kiedy?

– Teraz, dzisiaj rano, tutaj, na sianie.

– Naprawdę? O czym był ten sen?

– No... o tym, że robiliśmy mniej więcej to co teraz.

– Naprawdę? Cieszę się, że się spełnił.

– Ja też.

Naprawdę się cieszyłam, ale gubiłam się w uczuciach do Lee i do Homera. Wczoraj wcześniej trzymałam Homera za rękę i było

mi z tym tak ciepło i dobrze, a teraz leżałam obok Lee. Pocałował mnie lekko w nos, potem już nie tak lekko w usta, później jeszcze kilka razy i w dodatku namiętnie. Też go całowałam, ale po chwili przestałam. Nie zamierzałam zostać lokalną zdzirą i kręcenie z dwoma facetami naraz nie wydawało mi się najlepszym pomysłem. Westchnęłam i odsunęłam się.

– Lepiej pójdę zobaczyć, jak sobie radzi Chris.

Chris radził sobie aż za dobrze. Spał. Wpadłam we wściekłość. Krzyczałam, wrzeszczałam, a potem go kopnęłam, i to mocno. Już kiedy to robiłam, byłam wstrząśnięta własnym zachowaniem. I teraz, kiedy o tym myślę, też jestem wstrząśnięta. Najbardziej przeraziła mnie świadomość, że być może wszystkie brutalne rzeczy, które robię, łącznie z wysadzeniem kosiarki i jazdą buldożerem, przemieniły mnie w ciągu dwóch nocy w rozszalałego potwora. Ale z drugiej strony, idąc spać, Chris postąpił niewybaczalnie. Przez swoje niedbalstwo mógł narazić na niebezpieczeństwo nas wszystkich. Pamiętam, jak podczas lunchu w szkole przetrwania ktoś powiedział, że w wojsku karą za zaśnięcie na warcie jest śmierć. Wszyscy byliśmy w szoku. Widzieliśmy w tym pewną logikę i chyba to właśnie ona najbardziej nami wstrząsnęła: kara była całkiem logiczna. Wymierzana z zimną krwią, bezwzględna, ale logiczna. Nikt nie oczekuje czegoś podobnego od normalnego życia, nie w takiej skrajnej postaci. Mimo to przez chwilę naprawdę czułam, że mogłabym zamordować Chrisa. Wydawał się wyraźnie wystraszony. Przeturlał się na bok i wstał.

– Jezu, Ellie, spokojnie – wymamrotał.

– Spokojnie? – wrzasnęłam mu w twarz. – Jasne, ty przez całą noc jesteś spokojny. Jeśli pobędziemy spokojni trochę dłużej, będziemy martwi. Nie rozumiesz, że wszystko się zmieniło, Chris? Nie rozumiesz tego? Jeśli nie, równie dobrze możesz od razu wziąć strzelbę i nas zastrzelić. Bo ten twój spokój będzie miał identyczny skutek.

Chris odszedł czerwony jak burak, mruczając coś pod nosem. Zajęłam jego miejsce. Po paru minutach przeżyłam chyba coś w rodzaju spóźnionego szoku. Wcześniej zablokowałam wszystkie emocje, bo nie było czasu ani miejsca na takie luksusy. Ale jak mówią, „za stłumione emocje w końcu trzeba zapłacić”. Ja tłumiałam je bardzo długo i teraz bank zażądał spłaty. Większości tamtego popołudnia nie pamiętam. Znacznie później Homer mi powiedział, że godzinami siedziałam owinięta kocem w kącie sto- doły, trzęsłam się i powtarzałam wszystkim, żeby uważali. Chy- ba zaliczyłam tę samą drogę co Corrie, tyle że w nieco inny spo- sób. Wyraźnie pamiętam, że odmawiałam jedzenia i byłam coraz bardziej głodna, ale nic nie jadłam, bo czułam, że wszystko zwy- miotuję. Homer powiedział, że dopadł mnie wilczy apetyt i jad- lam tak dużo, że zaczęli się obawiać, że się pochoruję, i nie chcieli mi dać więcej jedzenia. Dziwne.

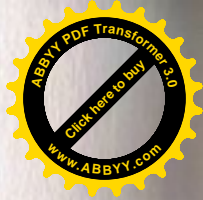
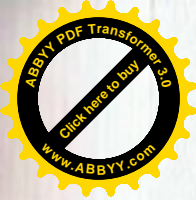
Byłam bardzo przybita, kiedy nie pozwolili mi prowadzić land- rovera. Przecież obiecałam tacie, że nikomu nie pozwolę się za- kółkiem. Mimo to nagle zmęczyły mnie te wszystkie spory, wgra- moliałam się obok Lee na zapakowaną tylną kanapę i zasnęłam. Homer dojechał aż do Szwu Krawca. Gdybym wiedziała o tym wcześniej, nie poddałabym się tak łatwo i tak całkowicie.

Jakoś zdołałam dotrzeć do Piekła późnym wieczorem, wpełz- lam do namiotu obok Corrie, która na mój widok oszalała z ra- dości, a potem spałam trzy dni, budząc się tylko na sporadyczne posiłki, spacerki do toalety i krótkie, belkotliwe rozmowy. Pamię- tam, że pocieszałam Chrisa, który był przekonany, że doprowadził do mojego załamania nerwowego. Nie przyszło mi do głowy, żeby zapytać, jak Lee dostał się do Piekła, ale kiedy powoli wracałam do siebie, dowiedziałam się, że zrobili nosze z gałęzi i po prostu go wnieśli. Robyn i Homer nieśli na zmianę z jednej strony, a szczup- ły Chris z drugiej, przez całą drogę, w ciemności.

Więc chyba Chris odpokutował.

W ciągu tych trzech dni gnębiły mnie koszmary, których nie miałam tamtego ranka na sianie. Demoniczne postacie uciekały przede mną z krzykiem, czułam, jak pod moimi stopami kruszą się czaszki. Płonące ciała wyciągały ręce, błagając o litość. Zabija- lam wszystkich, nawet ludzi, których najbardziej kochałam. Nie uważałam z butlą gazową i spowodowałam wybuch, który rozsa- dził mój dom z rodzicami w środku. Podłożyłam ogień pod stóg siana, na którym spali moi przyjaciele. Przejechałam kuzyna i nie zdołałam uratować swojego psa, którego porwała powódź. I cho- ciaż biegałam i błagałam o pomoc, wołałam, żeby ktoś zadzwonił po karetkę, nikt nie zareagował. Ludzie wydawali się obojętni. Nie byli okrutni, tylko zbyt zajęci albo nieczuli. Stałam się de- monem śmierci, a na świecie nie został ani jeden anioł, nikt, kto mógłby mnie zmienić w lepszą osobę albo ocalić przed krzywdami, jakie wyrządzałam.

Potem się obudziłam. Było wcześniej rano, bardzo wcześniej. Za- powiadał się piękny dzień. Leżałam w śpiworze, patrząc na niebo i drzewa. Dlaczego w naszym języku jest tak mało słów na określe- nie zieleni? Każdy listek i każde drzewo mają swój własny odcień. To kolejny przykład tego, jak bardzo natura wyprzedza człowieka. Jakiś ptaszek cichutko śmigał z gałęzi na gałąź na czubku jedne- go z drzew – był mały, czerwono-czarny, miał długie skrzydelka i oglądał każdy skrawek kory. Jeszcze wyżej para białych kakadu sunęła po niebie. Ich nawoływania świadczyły o tym, że gdzieś poza moim polem widzenia jest stado, a te dwa ptaki to tylko jego zbląkani członkowie, outsiderzy. Usiadłam, żeby sprawdzić, czy jeśli się pochylę, uda mi się dostrzec resztę stada, ale nadal było poza moim zasięgiem. Wygramoliłam się z namiotu, tuląc do sie- bie śpiwór jak jakiś owad, który wylania się z kokonu. Kakadu były rozsiane po całym niebie jak wrzaskliwe anioły. Sunęły na- przód, niezliczone, aż w końcu zniknęły mi z oczu, ale nadal sły- szałam ich przyjazne skrzeczenie.



Wyszłam ze śpiwora i poszłam nad strumyk. Robyn właśnie myła włosy.

– Cześć – powiedziała.

– Cześć.

– Jak się czujesz?

– Dobrze.

– Jesteś głodna?

– Tak, trochę.

– Nic dziwnego. Nic nie jadłaś od przedwczorajszego podwieczorka.

– Aha. Serio?

– Chodź. Coś ci przygotuję. Lubisz jajka?

Zjadłam zimne jajka na twardo – za dnia nie mogliśmy rozpaść ogniska – a do tego herbatniki z dżemem i miseczkę muesli z mlekiem w proszku. Nie wiem, czy to zasługa kakadu, Robyn, czy może muesli, ale po śniadaniu poczułam, że chyba w końcu doszłam do siebie.

13

Jednym z małych rytuałów, które towarzyszyły nam w Piekle codziennie, było testowanie tranzystora przez Corrie – ponura ceremonia, która odbywała się zawsze, gdy Corrie poczuła taką potrzebę. Wstawała, spoglądała na namiot, mruzczyła coś w stylu: „Chyba dam radyjku jeszcze jedną szansę”, a potem wchodziła do namiotu. Po chwili wyłaniała się z drogocennym urządzeniem w rękach, szła na najwyższe wzniesienie na polanie, przystawiała tranzystor do ucha i ostrożnie kręciła gałką. Nikomu nie pozwalała dotykać radia, bo należało do jej ojca i tylko ona mogła je trzymać. Była to jedyna rzecz, jaka jej po nim została. Trochę się z niej śmialiśmy, ale kiedy wyjmowała radio, zawsze wyczuwało się jakieś napięcie. Mijały jednak kolejne dni, kręcenie gałką nic nie dało, a w końcu Corrie oznajmiła, że powoli wyczerpują się baterie.

Pewnego wieczoru, kiedy rozpoczęła kolejne bezowocne poszukiwanie sygnału, przypadkiem siedziałam niedaleko niej. Jak zwykle słychać było tylko szum. Z westchnieniem wyłączyła radio. Potem o czymś rozmawialiśmy i nagle jakby nigdy nic zapytała:

- Do czego służą pozostałe?
- Jakże pozostałe?
- Te wszystkie pozostałe ustawienia.
- Co masz na myśli?

Zaczęła rozwlekle wyjaśniać, że kiedy ojciec pożyczał jej radio, zawsze mówił, że stacje będą na PO albo FM.

– Na PO albo FM? O czym ty mówisz? Pokaż.

Z lekkim ociąganiem podała mi radio. Po napisach poznałam, że jest francuskie. Zaczęłam dla niej tłumaczyć:

– „Récepteur mondial a dix bandes” to „dziesięciopasmowy odbiornik światowy”. FM to oczywiście FM, a PO to pewnie AM. „OC Etendue”... „étendue” znaczy rozciągnięty, rozszerzony albo coś w tym rodzaju. – Powoli zaczęło do mnie docierać, co to wszystko oznacza. – To nie jest zwykłe radio tranzystorowe, Corrie. Ono odbiera fale krótkie.

– Czyli?

– Czyli można nim złapać stacje z całego świata. Chcesz powiedzieć, że szukałaś tylko lokalnych rozgłośni, Corrie?

– No tak, PO i FM. Tak mówił tata. Nic nie wiedziałam o tych innych ustawieniach, a nie chciałam wyczerpać baterii, kręcąc bez sensu. Już prawie się wyczerpały, a nie mamy zapasowych.

Ogarnęła mnie dzika radość i zawołałam pozostałych:

– Chodźcie tu, szybko!

Przybiegli natychmiast, słysząc mój przejęty głos.

– Radio Corrie łapie fale krótkie, ale ona o tym nie wiedziała. Chcecie posłuchać? Baterie już prawie wykitowały, ale nigdy nic nie wiadomo. – Wybrałam „OC Etendue I” i oddałam małe czarne radio Corrie. – Do dzieła, Corrie. Po prostu pokręć galką tak jak poprzednio.

Zebraли się wokół Corrie, która z wysuniętym z boku językiem powoli zaczęła obracać pokrętłem. I po chwili usłyszeliśmy pierwszy od kilku dni głos dorosłej osoby. Należał do kobiety, która mówiła bardzo szybko pośród trzasków, ale posługiwała się językiem, którego nie rozumieliśmy.

– Kręć dalej – szepnął Homer.

Rozległa się egzotyczna muzyka i głos z amerykańskim akcentem powiedział: „Powitajcie Go w swoich sercach, a dopiero

wtedy poznać, czym jest doskonała miłość”, potem złapaliśmy dwie inne zagraniczne stacje („Ta jest tajwańska” – powiedziała Fi o jednej z nich, czym bardzo mnie zaskoczyła), a potem, kiedy radio zaczęło cichnąć, słaby głos przemówił po angielsku. Należał do mężczyzny. Udało nam się usłyszeć tylko tyle:

Amerykę, żeby się nie angażowała. General powiedział, że jeśli Ameryka spróbuje interweniować, wpłacie się w najdłuższą, najdroższą i najkrwawszą wojnę w swojej historii. Oznajmił, że jego wojska okupują kilka najważniejszych miast na wybrzeżu. Większość lądu została już zajęta, a straty okazały się niższe, niż się spodziewano. Pojmano wielu cywilów i żołnierzy, którzy są przetrzymywani w humanitarnych warunkach. Ekipy Czerwonego Krzyża będą mogły ich zbadać, gdy sytuacja się ustabilizuje. General powtórzył, że inwazja miała na celu „zniwelowanie nierówności w regionie”. Rośnie międzynarodowe oburzenie, a Stowarzyszenie Korespondentów Zagranicznych donosi o sporadycznych walkach oraz o co najmniej dwóch dużych bitwach...

I tyle. Głos szybko cichł. Usłyszeliśmy jeszcze kilka oderwanych słów: „Organizacja Narodów Zjednoczonych”, „Nowa Zelandia”, „od dwudziestu do dwudziestu pięciu samolotów”, a potem radio padło. Spojrzeliśmy na siebie.

– Niech wszyscy wezmą długopisy i kartki i napiszą to, co zapamiętali – spokojnie powiedział Homer. – Potem porównamy notatki.

Dziesięć minut później spotkaliśmy się ponownie. Zdziwiająco, jak bardzo różniły się poszczególne wersje. Co do najważniejszych informacji byliśmy jednak zgodni. A co równie istotne, dzięki słowom tamtego mężczyzny zyskaliśmy dość wyraźny obraz sytuacji.

– Po pierwsze – powiedział Homer, siadając na piętach – wiemy, że to nie jest trzecia wojna światowa. W każdym razie jeszcze nie. Wygląda na to, że zaatakowano tylko nas.

- Ważna była ta część o jeńcach – wtrąciła Corrie.
- Wszyscy pokiwaliśmy głowami. Słowa spikera brzmiały wiarygodnie. Trochę nas to podniosło na duchu, ale okropny strach nadal mocno nas trzymał i atakował nasze umysły.
- Ten generał próbował przypomnieć Amerykanom o Wietnamie – powiedziała Fi. – To ich narodowy koszmar czy coś w tym rodzaju.
- Na pewno mniejszy niż koszmar Wietnamczyków – skomentował Chris.
- Zerknęłam na Lee, ale jego twarz nawet nie drgnęła.
- Amerykanie nie lubią się angażować w sprawy innych krajów. – Przypomniałam sobie coś, co przerabialiśmy na historii XX wieku. – Woodrow Wilson a izolacjonizm. Chyba mieliśmy to omawiać po przerwie świątecznej?
- Mhmm, przypomnij mi, żebym o tym poczytał dziś wieczorem. – To oczywiście Kevin.
- „Międzynarodowe oburzenie” brzmi obiecująco – powiedziała Robyn.
- To pewnie nasza największa nadzieja. Ale jakoś nie mogę sobie wyobrazić tych wszystkich krajów, które przybiegną, żeby przelać za nas krew – powiedziałam.
- Przecież są traktaty i inne takie rzeczy, nie? – zapytał Kevin. – Myślałem, że właśnie tym zajmują się politycy. No bo za co im płaciliśmy przez te wszystkie lata?
- Nikt nie wiedział, co odpowiedzieć. Może reszta myślała o tym samym co ja – że powinniśmy byli się tym zainteresować już dawno temu, zamiast czekać, aż będzie za późno.
- Co to znaczy: „zniwelowanie nierówności w regionie”? – zapytał Kevin.
- Pewnie miał na myśli równy podział dóbr – powiedziała Robyn. – My dostaliśmy całą tę ziemię i jej bogactwa, a o rzut beretem leżą kraje, w których ludzie żyją upakowani jak kurczaki z chowu bateryjnego. Nic dziwnego, że mają do nas żal. Poza

- tym nie zrobiliśmy nic, żeby im pomóc. Siedzieliśmy na tłustych tyłkach, cieszyliśmy się z pieniędzy i byliśmy zadowoleni z siebie.
- No wiesz, takie jest życie – stwierdził Kevin bez większego przekonania.
- A teraz oni wzięli sprawy w swoje ręce i to życie się zmieni – prychnęła Robyn. – Wygląda na to, że chcą tu zaprowadzić zupełnie nowe porządki.
- Nie rozumiem cię – zdziwił się Kevin. – Mówisz tak, jakbyś nie miała nic przeciwko temu. Uważasz, że to sprawiedliwe? Niech wejdą i zabiorą wszystko, czego chcą, wszystko, na co pracowali twoi rodzice. Częstujcie się, chłopaki, nie zwracajcie na nas uwagi. Czy właśnie o tym czytasz w Biblii? Kochaj bliźniego jak siebie samego, tak? Przypomnij mi, żebym nie chodził do twojego kościoła.
- To ci raczej nie grozi – wtrąciła się Corrie i z uśmiechem położyła rękę na kolanie Kevina, próbując go uspokoić. Ale Robyn nie dała się zbyć.
- Jasne, że mam coś przeciwko temu – powiedziała. – Może gdybym była święta, nie stawiałabym oporu, ale nie jestem święta, więc bardzo mi się to nie podoba. Poza tym oni nie wydają się zbyt religijni. Nie znam religii, która nakazywałaby ludziom napadać na innych, kraść i mordować, żeby dostać to, czego chcą. Potrafię zrozumieć, dlaczego to robią, ale zrozumienie to nie to samo co poparcie. Tylko że jeśli przez całe życie mieszkasz w slumsach, jesteś głodny, nie masz pracy i ciągle chorujesz, a po drugiej stronie ulicy widzisz ludzi, którzy się opalają i codziennie zajadają lody, po jakimś czasie nabierasz przekonania, że zabranie im bogactwa i podzielenie się nim z sąsiadami wcale nie byłoby takie straszne. Parę osób ucierpi, ale wielu na tym zyska.
- To po prostu nie w porządku – upierał się Kevin.
- Może i nie. Ale twoje podejście do sprawy też nie jest w porządku. Nie musi istnieć dobra i zła strona. Obie mogą być dobre albo obie mogą być złe. Myślę, że tym razem oba kraje są po złej stronie.

– Nie wydaje mi się, żeby stosowali tortury albo masowe egzekucje. Świat się zmienia i każdy kraj, który stosuje takie metody, wie, że narobi dużo smrodu. Jasne, takie rzeczy ciągle jeszcze się zdarzają, ale nie tak często jak kiedyś. W dzisiejszych czasach wolą to robić dyskretnie, mniej gwałtownie. Żołnierze w Wirrawee chętnie chwytają za broń, ale istnieje ogromna różnica między strzelaniem pod wpływem impulsu a strzelaniem z zimną krwią. Przekonał się, że pod wpływem impulsu strzelają jak szaleni: przez to wydają się nieobliczalni, czego najlepszym dowodem jest dziura w mojej nodze. Ale w czasie wojny to właściwie normalne, zresztą często strzela się w obronie własnej. To nie oznacza, że będą tworzyć obozy koncentracyjne. Te dwie sprawy niekoniecznie idą w parze.

– Nienawidzę ich – powiedział Kevin. – Nie wiem, dlaczego wszyscy jesteście tacy wyrozumiali. Ja po prostu ich nienawidzę, chcę ich wszystkich pozabijać, a gdybym miał bombę atomową, od razu bym ją na nich spuścił.

Był naprawdę przybity i zakończył rozmowę tak gwałtownie, jakby to na niego spadła bomba. Ale po chwili niezręcznego milczenia znowu odezwał się Homer.

– No to jak? – zapytał. – Chcemy przyjrzeć się lepiej terenowi wystawowemu? Zrobimy to ze sprytem i dyskrecją, tak jak ja i Fi, czy może wparujemy do miasta jak heavymetalowa kapela do kręgielni?

– Moglibyśmy zrobić podkop – podsunęłam.

– Jasne, albo przeskoczyć przez płot o tyczce. Czy ktoś ma jakąś poważną propozycję? I jak bardzo nam zależy, żeby to zrobić?

– Bardzo – powiedziałam.

– Nie będę udawać, że ta myśl mnie nie przeraża – cicho wyznała Corrie – ale musimy to zrobić. Jeśli nie, już nigdy nie będziemy mogli spokojnie spać.

– Nigdy nie będziemy mogli spokojnie spać, jeśli będziemy martwi – zauważył Chris. – Słuchajcie, moi rodzice są za granicą, więc nie zależy mi na tym tak bardzo jak wam. Mimo to chyba spróbuję,

– Wiem, co by powiedzieli nasi rodzice – mruknęła Fi. – Powiedzieliby, że dla nich najważniejsze jest nasze bezpieczeństwo. Nie chcieliby, żebyśmy zginęli po to, aby oni mogli przeżyć. W pewnym sensie to my nadajemy ich życiu sens. Ale to nie może nas ograniczać. Musimy zrobić to, co uważamy za słuszne. Musimy odnaleźć sens własnego życia i możliwe, że to jest jeden ze sposobów. Zgadza się z Corrie: strasznie się boję, ale zrobię to, bo inaczej nie potrafiłabym sobie wyobrazić reszty życia.

– Popieram – powiedziała Robyn.

– Modłę się dniami i nocami – wtrącił Lee – żeby rana na mojej nodze się zagoiła i żebym mógł pójść zobaczyć moją rodzinę.

– Zgadza się z większością – powiedział Kevin.

Spojrzelismy na Homera.

– Nigdy nie przypuszczałem, że będę musiał krzywdzić innych ludzi, żeby móc żyć – powiedział. – Ale mój dziadek tak robił, podczas wojny domowej. Jeśli okaże się to konieczne, mam nadzieję, że znajdę w sobie tyle siły co Ellie. Cokolwiek zrobimy, mam nadzieję, że uda nam się uniknąć krzywdzenia innych. Ale jeśli nie... trudno.

– Miękniez, stary – powiedział Kevin.

Homer nie zwrócił na niego uwagi. Ciągnął z przejęciem:

– Ciągle myślę o tym motcie, o którym jakiś czas temu wspomniała Corrie: „Czas poświęcony na rekonesans rzadko jest czasem straconym”. Najgłupszą rzeczą, jaką moglibyśmy zrobić, byłoby wpadnięcie tam jak zgraja Rambo i nawałanie do nich z naszych małych dwudziestek dwójek. Fi ma rację. Nasze rodziny nie chcą, żebyśmy wylądowali sztywni na stole w kostnicy. Ale jeśli będziemy zwlekać jeszcze kilka dni, tak to się pewnie skończy. Powinniśmy podjąć duże ryzyko, tylko jeśli się okaże, że nasze rodziny czeka coś strasznego. Oczywiście może być już za późno, ale wtedy i tak niczego nie działamy. Myślę, że potrzebujemy jakiegoś punktu obserwacyjnego, osłoniętego i bezpiecznego,

skąd będzie można obserwować teren wystawowy. Im więcej będziemy wiedzieli, tym lepsze decyzje podejmiemy i tym skuteczniej będziemy działać. Z tego, co usłyszeliśmy w radiu, wynika, że w niektórych częściach kraju nie poszło im tak łatwo i nadal dużo się dzieje. Powinniśmy porozmawiać z kimś, kto ukrywa się w mieście, na przykład z panem Clementem, albo nawet spróbować dołączyć do armii lub do ludzi, którzy nadal walczą w innych okręgach. Powinniśmy stworzyć prawdziwy oddział partyzancki, samowystarczalny, mobilny, szybki i twardy. Możliwe, że będziemy musieli tak żyć miesiącami, a nawet latami. Mój pomysł może się wam nie spodobać (jeśli tak, mówcie), ale uważam, że powinniśmy wysłać dwoje, troje ludzi do Wirrawee na czterdzieści osiem godzin. Ich zadanie polegałoby na zdobyciu informacji, na niczym więcej. Jeśli będą naprawdę ostrożni, nikt nie powinien ich zauważyć. Powinni działać tylko w nocy i sprawdzać trzy razy, zanim wykonają jakiś ruch. Reszta z nas może się zająć lepszym zorganizowaniem życia w Piekło. Nigdy nie znajdziemy wspanialszej bazy, ale powinniśmy zgromadzić więcej zapasów i urządzić tu porządną siedzibę. To straszne, jak szybko kończy nam się jedzenie. Powinniśmy zacząć je racjonować. Chciałbym też znaleźć więcej kryjówek w górach. Zmagazynować w nich jedzenie i inne rzeczy, na wypadek, gdybyśmy stracili to miejsce. Jak już powiedziałem, musimy być bardziej mobilni. I korzystać z tego, co oferuje matka natura, to bardzo ważne. Ci, którzy tu zostaną, powinni się zająć tym tematem. Gdzie w tych górach są źródła? Czy możemy zastawić sidła na króliki, kangury albo nawet oposy? Rodzina Ellie, podobnie jak moja, zawsze sama zabijała zwierzęta na mięso, więc możemy się zająć mokrą robotą.

– Ja też – powiedział Kevin.

– Ja mogę przyrządzić pysznego oposa w sosie słodko-kwaśnym – zaoferował Lee. – Albo złapcie mi dzikiego kota. Zrobię pierożki dim sum.

Rozległ się jęk obrzydzenia. Lee oparł się o skałę i posłał mi szeroki uśmiech.

– Moglibyśmy tu ściągnąć zwierzęta – powiedziała Corrie. – Kurczęta, może parę jagniąt. Kozy.

– Dobrze – powiedział Homer. – Właśnie nad takimi sprawami powinniśmy się zastanowić.

Na wspomnienie kóz Kevin spochmurniał. Wiedziałam, o czym myśli. Wychowywano nas na hodowców owiec i pierwszą rzeczą, jakiej nas nauczono, była pogarda dla kóz. Owce są dobre, kozy złe. W zasadzie bez żadnego konkretnego powodu – zwykły, nieodłączny element naszego życia. Ale teraz musieliśmy zapomnieć o wielu elementach dawnego życia.

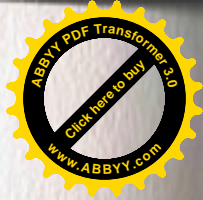
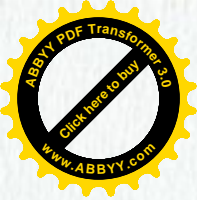
– Myślisz długofalowo – pochwaliłam Homera.

– Tak – przyznał. – Bardzo długofalowo.

Rozmawialiśmy jeszcze dwie godziny. Ostatecznie radio Corrie odniosło zwycięstwo. Wyrwało nas z szoku, z rozpacz. Kiedy rozmowa się skończyła, byliśmy wyczerpani, ale podjęliśmy kilka decyzji. Następnego dnia wieczorem do miasta wyruszały dwie pary: Robyn i Chris oraz Kevin i Corrie. Uzgodniliśmy, że będą działać niezależnie, ale pozostaną w kontakcie. Mieli spędzić w mieście całą następną noc i większość kolejnej, a potem wrócić przed świtem. Zatem ich misja powinna trwać mniej więcej sześćdziesiąt godzin. Kevin i Corrie mieli się skupić na terenie wystawowym. Zadanie Robyn i Chrisa polegało na krążeniu po mieście, szukaniu ukrywających się ludzi, użytecznych informacji, a nawet sprzętu.

– Zaczniemy odbijać Wirrawee – podsumowała Robyn.

Dograliśmy mnóstwo skomplikowanych szczegółów, na przykład gdzie będą mieli bazę (w domu nauczycielki muzyki Robyn), gdzie będą zostawiali wiadomości (pod budą dla psa), jak długo będą czekali w środę rano, jeśli druga para się nie zjawi (ani chwili), oraz jak będzie brzmiała historyjka kryjąca nas i Piekło, jeśli zostaną złapani („Od inwazji ukrywamy się w miejskiej sali



bankietowej i wychodzimy tylko nocą”). Doszliśmy do wniosku, że takie miejsce nie narazi nikogo na kłopoty, a patrole raczej tam nie zaglądały. Robyn i Chris zgodzili się urządzić tam sztuczne obozowisko, żeby uwiarygodnić naszą przykrywkę.

Reszta z nas miała robić w Piekle mniej więcej to, o czym wspomniał Homer – przemyścić więcej zapasów, zrobić z Piekła prawdziwą bazę, zorganizować przydziały jedzenia i znaleźć nowe kryjówki.

To trochę dziwne, ale na myśl o następnych paru dniach czułam prawdziwą radość. Po części dlatego, że bałam się wracać do miasta, więc ulżyło mi, że zostałam wybawiona od tego zadania. A po części dlatego, że kilka dni mogłam odpocząć od Kevina, który zaczynał mi działać na nerwy. Ale przede wszystkim ciekawiły mnie potencjalne relacje, jakie mogły połączyć czwórkę, która zostawała w Piekle. Homer i Lee budzili we mnie silne i dziwne uczucia, ale komplikowało je widoczne zauroczenie Homera osobą Fi. Najwidoczniej nadal był zbyt onieśmielony, żeby cokolwiek z tym zauroczeniem zrobić, chociaż wykazywał w towarzystwie Fi trochę więcej pewności siebie niż na początku. Z kolei Fi straciła ostatnio chłodne opanowanie: w pobliżu Homera stawała się nieco nerwowa i plątał jej się język, chociaż nadal trudno było uwierzyć, że naprawdę mogłaby go polubić – polubić w tym sensie. Lee ciągle patrzył na mnie oczami oposa, jakby tylko zraniona noga powstrzymywała go od rzucenia się na mnie i złapania mnie w objęcia. Głębia uczucia malującego się w tych pięknych oczach trochę mnie przerażała.

Miałam poczucie winy, że w ogóle myślę o miłości, gdy w naszym świecie panuje chaos, a zwłaszcza kiedy moich rodziców spotkał taki okropny los. Znowu przypomniały mi się woły w ubojni. Moje serce ustanawiało jednak własne zasady i nie chciało się poddać kontroli sumienia. Dopuściłam je do głosu, rozmyślając o wielu fascynujących możliwościach.

14

W poniedziałek rano ciemna rzeka samolotów płynęła nad naszymi głowami przez godzinę, albo i dłużej. Niestety, samoloty nie były nasze. Nigdy nie widziałam aż tylu naraz. Wyglądały jak duże, grube transportowce i nikt nie stał im na drodze, chociaż pół godziny wcześniej tą samą trasą przemknęło sześć odrzutowców należących do naszych sił powietrznych. Pomachaliśmy do nich z nadzieją.

Bardzo wcześnie rano znowu wybraliśmy się do mojego domu i przynieśliśmy następny ładunek: więcej jedzenia, narzędzi, ubrań, przyborów toaletowych, pościeli i kilka drobiazgów, o których zapomnieliśmy wcześniej, takich jak akcesoria do grillowania, plastikowe pojemniki, zegar i – aż wstydzę się przyznać – termofory. Robyn poprosiła o Biblię. Wiedziałam, że gdzieś ją mamy, i w końcu ją znalazłam, wytarłam z kurzu i dodałam do kolekcji.

Musieliśmy uważać, bo nie mogliśmy zabrać za dużo rzeczy – inaczej patrole od razu by się domyśliły, że ktoś jest na wolności. Dlatego poszliśmy do Gruberów, mniej więcej kilometr dalej, i pomęczowaliśmy się mnóstwem jedzenia. Poza tym zabrałam z korbórki w ogrodzie pana Grubera kolekcję nasion i sadzonek. Zaczynałam myśleć tak jak Homer: długofalowo.

Na końcu zabraliśmy sześć kur – nasze najlepsze nioski – trochę desek, drut do ogradzania i metalowe tyczki. O świcie wolno

sunęliśmy w górę szlaku, a zdziwione kury szemrały do siebie na tylnym siedzeniu. Tym razem pozwoliłam Homerowi prowadzić. Uznałam, że przyda mu się trochę praktyki. Żeby rozweselić Fi, zamknęłam oczy, sięgnęłam po Biblię, otworzyłam ją na chybił trafił, zaznaczyłam miejsce palcem, otworzyłam oczy i szykując się do przeczytania fragmentu, oznajmiłam:

– Mój paranormalny palec znalazł zdanie odpowiednie do naszej sytuacji: „Nienawidzę ich pełnią nienawiści; stali się moimi wrogami”.

– Kurczę – zdziwiła się Fi. – Myślałam, że Biblia jest pełna miłości, przebaczenia i tego typu rzeczy.

Czytałam dalej:

– „Wybaw mię, Panie, od człowieka złego, strzeż mnie od gwałtownika: od tych, którzy w sercu knują złe zamiary, każdego dnia wzniecają spory”.

Pozostali byli naprawdę pod wrażeniem. Ja też, ale nie zamierzałam dać tego po sobie poznać.

– A nie mówiłam? – zapytałam. – Naprawdę mam paranormalny palec.

– Spróbuj jeszcze raz – powiedział Homer.

Nie zamierzałam tak łatwo zniszczyć sobie reputacji.

– Nie, usłyszeliście słowa mądrości – powiedziałam. – Na dzisiaj wystarczy.

Fi chwyciła Biblię i spróbowała odprawić podobny rytuał. Za pierwszym razem trafiła na pustą stronę na końcu rozdziału. Za drugim razem przeczytała:

– „Potem król obdarzył zaszczytami Szadraka, Mészaka i Abed-Nega w prowincji Babilonu”.

– Kiepsko – powiedziałam. – Z paranormalnym palcem trzeba się po prostu urodzić.

– Może fragment, który przeczytałaś, pocieszy Robyn, kiedy będzie musiała zastrzelić paru żołnierzy – powiedział do mnie Homer.

– Mhmm, zaznaczyłam tę stronę. Pokażę jej, kiedy wrócę.

Nikt nie dopuszczał myśli, że mogą nie wrócić. Ludzie tacy już chyba są. Wydaje im się, że jeśli powiedzą coś złego, ich słowa zyskają czarodziejską moc i obrócą to w rzeczywistość. Osobiście wątpię, żeby słowa były aż tak potężne.

Dotarliśmy na górę, ukryliśmy land-rovera, a potem wzięliśmy kury i wszystko, co byliśmy w stanie zanieść do Piekła. Reszta musiała poczekać do zmroku. Niebezpiecznie było chodzić po Szwie Krawca, kiedy się rozjaśniało i wokół latało tyle samolotów. Zanosilo się na upalny dzień. Nawet w Piekło, gdzie normalnie było chłodno, robiło się gorąco jak w piecu. Ku mojemu zaskoczeniu znaleźliśmy Lee opartego o drzewo po drugiej stronie polany, a nie tam, gdzie go zostawiliśmy.

– Proszę, proszę! – powiedziałam. – Powstałeś z martwych.

– Powinienem być wybrać chłodniejszy poranek – odpowiedział z szerokim uśmiechem. – Ale miałem już dość tego siedzenia. Pomyślałem, że pora na odrobinę ruchu, skoro już doszedłem do siebie po przejazdźce buldożerem.

Uśmiechał się, był bardzo zadowolony z siebie, ale jednocześnie obficie się pocił. Zamoczyłam ręcznik w strumyku i wytarłam mu twarz.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł? – zapytałam.

Wzruszył ramionami.

– Poczulem się lepiej.

Przypomniało mi się, że kiedy któreś z naszych zwierząt było chore albo ranne, często wlaźło w jakąś dziurę – psy przeważnie wybierały szparę pod szopą do strzyżenia owiec – i siedziało w niej całymi dniami, aż w końcu albo umierało, albo wyskakiwało świeże, zdrowe i machające ogonem. Może z Lee było podobnie. Odkąd go postrzelili, zachowywał się bardzo spokojnie, leżał między skalami i rozmyślał w milczeniu. Jeszcze nie merdał ogonem, ale na jego twarz wracały kolory.

– W dniu, kiedy uda ci się przebiec z jednego końca tej polany na drugi – oznajmiłam – odrąbiemy kurze głowę i zjemy kurzy obiad.

– Po powrocie z Wirrawee Robyn będzie mogła zdjąć mi szwy – powiedział. – Noszę je już wystarczająco długo.

Pomogłam mu przejść w bardziej zacienione miejsce nad strumykiem, gdzie mogliśmy posiedzieć w wilgotnym, ciemnym wgłębieniu w skale, prawdopodobnie najchłodniejszym miejscu w całym Piekło.

– Ellie – zaczął Lee. Nerwowo odchrząknął. – Chciałem cię o coś zapytać. Tamtego dnia w twoim domu, na sianie, kiedy do mnie podeszłaś, położyłaś się i...

– Dobra, dobra – przerwałam mu. – Wiem, co zrobiliśmy.

– Myślałem, że zapomniałaś.

– Wydaje ci się, że robię takie rzeczy tak często, że nawet ich nie pamiętam? Wiesz, raczej nie zdarza mi się to codziennie.

– Ale od tamtej pory nawet na mnie nie spojrzełaś. Prawie się do mnie nie odzywasz.

– Na kilka dni wypadłam z gry. Ciągle tylko spałam i spałam.

– Tak, ale później.

– Później? – westchnęłam. – Później nie wiedziałam, co się dzieje. Nie wiem, co o tym myśleć.

– Ale kiedyś się dowiesz?

– Gdybym umiała odpowiedzieć na takie pytanie, pewnie wiedziałabym wszystko.

– Powiedziałem coś, co cię uraziło? Albo zrobiłem?

– Nie, nie. Chodzi o mnie. W połowie wypadków nie wiem, co robię, więc robię różne rzeczy i nie zawsze mam na myśli to, co myślę, że mam na myśli. Rozumiesz, co mam na myśli? – zapytałam z nadzieją, bo sama nie byłam pewna.

– Więc próbujesz powiedzieć, że to nie miało żadnego znaczenia?

– Nie wiem. Miało, wtedy, i teraz też ma jakieś znaczenie, ale nie wiem, czy to oznacza to, co najwyraźniej chcesz, żeby oznaczało. Może po prostu powiedzmy, że zachowałam się jak zdzira, i na tym poprzestańmy.

Wyglądał na naprawdę urażonego i pożałowałam swoich słów. Właściwie nawet tak nie myślałam.

– Trochę niezręcznie tu tak razem siedzieć – powiedział. – Jeśli chcesz się mnie pozbyć, będziesz musiała stąd wyjść.

– Och, Lee, nie chcę się ciebie pozbywać. Nie chcę się nikogo pozbywać. Wszyscy musimy się jakoś dogadać, mieszkać tu razem i być sobą Bóg wie jak długo.

– Tak – powiedział. – To miejsce, Piekło, czasami naprawdę przypomina piekło. Na przykład teraz.

Nie wiem, dlaczego się tak zachowywałam. Wszystko działo się zbyt szybko. Nie byłam gotowa na taką rozmowę. Chyba lubię mieć kontrolę nad sytuacją, a Lee zmusił mnie do mówienia w czasie i miejscu, które wybrał bez mojej zgody. Żałowałam, że nie ma z nami Corrie. Mogłabym do niej pójść i o tym porozmawiać. Lee tak bardzo się zaangażował, że ogarniał mnie strach, ale kiedy był w pobliżu, naprawdę coś czułam – po prostu nie wiedziałam, co to jest. W jego towarzystwie zawsze się ożywiałam. Robiło mi się ciepło, obserwowałam go kątem oka, zagadywałam go, śledziłam jego reakcje, słuchałam jego słów uważniej niż słów pozostałych. Jeśli wyrażał jakąś opinię, analizowałam ją uważniej, przypisywałam jej większe znaczenie niż, powiedzmy, opinii Kevina albo Chrisa. Często o nim rozmyślałam nocą, w śpiworze, a ponieważ snułam te myśli, zapadając w sen, zazwyczaj mi się śnił. Doszło do tego – to zabrzmiało głupio, ale taka jest prawda – że kojarzyłam go z moim śpiworem. Patrząc na jedno, myślałam o drugim. Co wcale nie znaczy, że chciałam go zobaczyć w swoim śpiworze. Po prostu w moim umyśle stali się nierozłączni. Prawie się uśmiechnęłam, zastanawiając się, jaką Lee miałby minę, gdyby nagle zaczął czytać w moich myślach.

– Nadal myślisz o Stevie? – zapytał.

– Nie, nie o Stevie. To znaczy myślę o nim tak samo jak o mnóstwie innych ludzi, zastanawiam się, czy nic im się nie stało, i mam nadzieję, że nie, ale nie myślę o nim w ten sposób, o który ci chodzi.

– Więc skoro niczym cię nie uraziłem i nie jesteś już ze Steve'em, to w czym problem? – zapytał, coraz bardziej zniecierpliwiony. – Po prostu nie lubisz mnie jako człowieka?

– Nie – zaprzeczyłam, przerażona takim pomysłem.

Ale ja też byłam coraz bardziej wkurzona, bo próbował mnie przymusić, żebym została jego dziewczyną. Faceci ciągle to robią. Żądają konkretnych odpowiedzi (pod warunkiem że są dla nich korzystne) i myślą, że jeśli pognębią cię wystarczająco długo, to w końcu usłyszą to, na co czekają.

– Słuchaj – powiedziałam – wybaczone, że nie mogę ci dać listy moich uczuć do ciebie w punktach i w porządku alfabetycznym. To po prostu niemożliwe. Jestem zupełnie zamotana. Tamten pocałunek na sianie to nie był żaden przypadek. On coś znaczył. Ale jeszcze nie wiem co.

– Kiedy zapytałem, czy mnie nie lubisz, zaprzeczyłaś – powiedział powoli, jakby próbował to zrozumieć. Nie patrzył mi w oczy i był bardzo zdenerwowany, ale najwyraźniej zmierzał do jakiegoś ważnego pytania. – Czy to oznacza, że mnie lubisz?

– Tak, Lee, bardzo cię lubię. Ale teraz doprowadzasz mnie do szału.

Zabawne: często sobie wyobrażałam tę rozmowę, ale teraz, gdy ją prowadziliśmy, wcale nie byłam pewna, czy mówię to, co chcę powiedzieć.

– Zauważyłem, że patrzysz na Homera jakoś tak... szczególnie, odkąd tutaj jesteśmy. Czujesz coś do niego?

– Nawet jeśli tak, to moja sprawa.

– Bo według mnie to nie jest facet dla ciebie.

– Och, Lee, jesteś dzisiaj strasznie upierdliwy! Może nie powinienś był forsować tej nogi. Szczerze, uważam, że padło ci na

mózg. Zrzućmy winę na przemęczenie, na pogodę albo na coś w tym stylu, bo nie jestem twoją własnością i nie masz prawa decydować, kto do mnie pasuje, a kto nie. Zapamiętaj to sobie.

Wściekła pomaszero wałam na drugą stronę polany, gdzie Fi i Homer budowali zagrodę dla kur. Kury siedziały już w środku i wyglądały na zszokowane – może dlatego, że słyszały mój wybuch złości, ale najprawdopodobniej dlatego, że były piekielnie ciekawe, co robią w tym nowym miejscu.

O, „piekielnie ciekawe”. Niechcący udało mi się zażartować.

Przez chwilę obserwowałam kury, a potem jeszcze raz przecięłam polanę i ruszyłam tam, gdzie strumyk wpływał w gęste zarośla i znikał w ciemnym tunelu krzaków. Od kilku dni zastanawiałam się, czy nie spróbować się tam zapuścić, chociaż zadanie wyglądało na niewykonalne, a trasa wydawała się nie do pokonania. Może nadeszła właściwa pora. Mogłam dać upust złości i skupić się na czymś innym. Poza tym w tunelu było całkiem fajnie. Zdjęłam buty, wepchnęłam do nich skarpetki i powiesiłam taki zestaw na szyi. Potem się pochyliłam i zaczęłam udawać wombata, wodnego wombata. Mam odpowiednią figurę, a poza tym tylko tak można było wejść pod zarośla. Traktowałam strumyk jak ścieżkę, ale czułam się jak w tunelu. Rośliny pochylały się tak nisko, że drapały mi plecy, mimo że prawie całowałam wodę. Było chłodno – pewnie słońce nie przenikało przez te pnącza od lat – i miałam nadzieję, że nie spotkam zbyt wielu węży.

Strumyk był tutaj węższy niż obok naszej polany, miał mniej więcej półtora metra szerokości i z sześćdziesiąt centymetrów głębokości. Całe dno było wyłożone kamieniami, ale głównie starymi i gładkimi. Tylko niektóre miały ostre krawędzie, a poza tym ostatnio moje stopy się uodporniły. Minęłam kilka ciemnych, nieruchomych kałuż, które wyglądały na bardzo głębokie, więc starałam się ich unikać. Strumyk płynął dalej, niczym się nie przejmując, nie zważając na moje podchody. Płynął tędy od dawna.

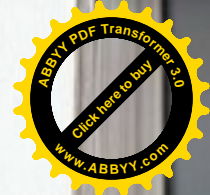
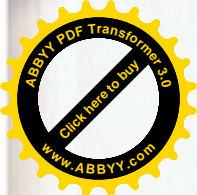
Szłam jakieś sto metrów, mijając wiele zakrętów. Początek podróży był uroczy – jak chyba większości podróży nowym szlakiem – i istniała nadzieja na równie uroczne zakończenie, ale środkowa część zrobiła się uciążliwa. Bolały mnie plecy i miałam dość mocno podrapane ręce. Znowu było mi gorąco. Ale baldachim z roślin wydawał się coraz wyższy i cieńszy – tu i tam w wodzie odbijały się promienie słońca, a sekretny chłód tunelu ustępował miejsca zwykleszemu suchemu gorącu, które panowało na polanie. Odrobinę się wyprostowałam. Daleko w oddali strumyk zdawał się rozszerzać, biegł tak mniej więcej dziesięć metrów, a potem skręcał w prawo i znowu znikał w zaroślach. Przechodził w szerszy tunel, bo brzegi nie były już pionowe. Odchylały się lekko na boki, odsłaniając czarną glebę, czerwone skały i łaty mchu na małej cienistej przestrzeni niewiele większej niż salon w moim domu. Brnęłam w tamtą stronę, nadal pochylona. Wzdłuż brzegu rosły drobne błękitne kwiatki. Kiedy podeszłam bliżej, w pewnej odległości dostrzegłam mnóstwo różowych kwiatów. Spojrzałam jeszcze raz i zdałam sobie sprawę, że to róże. Nagle moje serce zabiło jak szalone. Róże! Tutaj, pośrodku Piekła! Niemożliwe!

Rozpryskując wodę, pokonałam kilka ostatnich metrów do miejsca, w którym brzegi zaczynały się rozchyłać, i wyskoczyłam ze strumyka na omszałą skałę. Wpatrując się w dzikie krzaki, próbowałam odróżnić cienie od roślin. Pewna byłam tylko krzewu róż, którego kwiaty łapały zza jeżyn wystarczająco światła, by jaśnieć jak klejnoty delikatnej biżuterii. Ale stopniowo zaczęłam rozpoznawać inne kształty. Naprzeciwko miałam długą poziomą belkę czarnego butwiejącego drewna, obok słupek służący za wspornik i ciemną przestrzeń drzwi. Patrzyłam na zarośnięty szkielet chatki.

Ruszyłam powoli, na paluszkach. Było zupełnie cicho i ogarnęło mnie coś w rodzaju nabożnego uczucia, podobnego do tego, które miewałam w salonie babci w Stratton, pośród starych, ciężkich

mebli i wiecznie zaciągniętych zasłon. Te dwa miejsca nie mogłyby się bardziej różnić – opuszczona chatka w lesie i stary, ponury dom z piaskowca – ale obydwa wydawały się dawno wykluczone z życia. Moja babcia nie chciałaby zostać porównana do mordercy, ale tak jak mężczyzna, który tutaj mieszkał, wycofała się ze świata i stworzyła sobie wyspę. Jakby żyli życiem pozagrobowym, mimo że byli jeszcze na ziemi.

Na progu chatki musiałam odsunąć mnóstwo pnączy i kilka długich gałązek jeżyn. Nie byłam do końca pewna, czy chcę tam wejść. To było trochę jak wchodzenie do grobu. Co jeśli pustelnik nadal tam był? Co jeśli jego ciało leżało na podłodze? Albo jeśli jego duch czekał, żeby pożywić się pierwszym człowiekiem, jaki przekroczy próg? Wokół chatki, w całym tym miejscu, panowała złowroga atmosfera – nie było tam spokojnie ani miło. Jedyne róże wnosily na polankę odrobinę ciepła. Ale moja ciekawość była silna. Nie wyobrażałam sobie, żebym zaszła tak daleko i nie odważyła się pójść dalej. Weszłam do ciemnego wnętrza i rozejrzałam się, próbując rozpoznać czarne kształty, tak jak zaledwie kilka minut wcześniej rozpoznawałam zarys samej chatki, wyodrębniając go z dzikiego otoczenia. Dostrzegłam łóżko, stół i krzesło. Stopniowo wyłaniały się także mniejsze, mniej oczywiste obiekty. Na ścianie było kilka półek, obok nich prosta szafka, kominek, w którym nadal wisiał czajnik. W rogu stał jakiś ciemny kształt, który przyprawił mnie o chwilowe palpacje. Przypominał śpiącą bestię. Zrobiłam kilka kroków i spojrzałam na niego. Wyglądał jak metalowa skrzynia, kiedyś pomalowana na czarno, ale teraz oblażąca rdzą. Wszystko było takie jak ta skrzynia – w stanie rozkładu. Klepisko, na którym stałam, usiane było gałązkami i grudami gliny ze ścian, sierścią oposów i piórami ptaków. Czajnik był zardzewiały, dolna półka przekrzywiona, a sufit zdobity pajęczynami. Ale nawet pajęczyny wyglądały staro i martwo, zwisając jak włosy panny Havisham.



Oczy zdążyły się już przyzwyczaić do słabego światła. Zauważyłam z ulgą, że na posłaniu nie leży żadne ciało, ale były tam zgnile pozostałości szarych koców. Samo łóżko zostało zбите z kawałków tarcicy i nadal wyglądało dość solidnie. Na półkach stało tylko kilka starych patelni. Odwróciłam się, żeby jeszcze raz spojrzeć na skrzynię, i uderzyłam głową w wentylowaną szafkę do przechowywania mięsa zwisającą z krokwi. Trafiła rogiem prosto w moją skroń.

– Do diabła – powiedziałam, mocno pocierając głowę. Okropnie bolało.

Uklęknęłam, żeby zajrzeć do skrzyni. Wyglądało na to, że poza tym, co już zobaczyłam, nie znajdę w chatce niczego ciekawego. Tylko wewnątrz tej skrzyni nadal było tajemnicą. Spróbowałam podnieść wieko. Stawiało opór, unieruchomione przez kurz i rdzę, więc musiałam ciągnąć, a potem potrząsać, żeby w końcu uchylić je o kilka centymetrów. Kiedy powoli unosiłam wieko, metal tarł o metal. Podczas otwierania skrzynia odkształciła się tak bardzo, że nie miała szans na ponowne zgrabne zamknięcie.

Moją pierwszą reakcją po zajrzeniu do środka było rozczarowanie. Znalazłam tam bardzo niewiele: tylko jakieś żalodne rozpadające się drobiazgi na dnie. Głównie skrawki papieru. Wyjęłam to wszystko i wyniosłam na zewnątrz, żeby obejrzeć przedmioty w lepszym świetle. Był tam pasek z plecionej skóry, złamany nóż, widelec oraz kilka figur szachowych: dwa pionki i złamany skoczek. Jeśli chodzi o papiery, przeważały stare gazety, ale także jakieś kartki i pół książki z opowiadaniem Josepha Conrada w twardej oprawie. Kiedy ją otworzyłam, ze środka wylazł wielki karaluch. Trafiłam na piękną kolorową ilustrację, która przedstawiała łódkę płynącą przez dżunglę. Były tam dwa opowiadania: jedno nosiło tytuł *Jądro ciemności*, a drugie *Młodość*. Ale pozostałe papiery były zbyt zniszczone, brudne i wyblakłe, by mogły mnie czymś zainteresować. Wyglądało na to, że życie pustelnika pozostanie tajemnicą nawet teraz, wiele lat po jego zniknięciu.

Myszkowałam jeszcze przez dziesięć minut w chatce i na zewnątrz, ale niewiele znalazłam. Właściciel podejmował inne próby uprawy roślin: oprócz róż była tam jabłoń, biała stokrotka o słodkim zapachu i duża kępa dzikiej mięty. Próbowałam sobie wyobrazić mordercę, który starannie sadi i pielęgnuje te piękne rośliny. Próbowałam, ale się nie udało. Mimo to chyba nawet mordercy muszą lubić pewne rzeczy i wypełniać czymś wolny czas. Nie mogą po prostu siedzieć do końca życia i rozmyślać o popełnionych zbrodniach.

Po jakimś czasie wzięłam pasek i książkę i weszłam z powrotem do strumyka, ruszając w przygarbioną drogę tunelem do naszego obozowiska. Z ulgą wyszłam ponownie na słońce po wizycie w tym ponurym miejscu. Zupełnie zapomniałam o upale, ale prawie się ucieszyłam, wchodząc w ten oślepiający żar.

Gdy tylko się zjawiłam, podbiegł do mnie Homer.

– Gdzie byłaś? – zapytał. – Zaczynaliśmy się martwić.

Był wyraźnie wkurzony. Mówił jak mój ojciec. Widocznie nie było mnie dłużej, niż myślałam.

– Przeżyłam bliskie spotkanie z pustelnikiem z Piekła – odparłam. – Wkrótce wyruszy tam wycieczka z przewodnikiem. To znaczy kiedy tylko znajdę lukrowane herbatniki. Umieram z głodu.

Po wizycie w chatce pustelnika pracowaliśmy aż do wieczora. Lee jako najmniej mobilny z nas dostał papierkową robotę, a konkretnie zadanie opracowania systemu racjonowania jedzenia, dzięki któremu starczyłoby nam pożywienia na blisko dwa miesiące, o ile oczywiście wykazalibyśmy wystarczającą samokontrolę, żeby się tego systemu trzymać. Ja, Fi i Homer zrobiliśmy kilka małych ogródków warzywnych, a kiedy po długim dniu w końcu zaczęło się ochładzać, zasialiśmy trochę nasion: sałatę, buraki liściowe, kalafior, brokuły, groszek i fasolkę. Nie zachwycała nas perspektywa jedzenia ich do końca życia, ale „potrzebowaliśmy zieleniny”, jak stanowczo oznajmiła Fi, a dzięki kulinarnym umiejętnościom Lee brokuły mogły się zamienić w lody z kawałkami czekolady, a kalafior w czarodziejską karocę.

Dzień był długi, upalny, ciężki i męczący. Zaczęliśmy bardzo wcześnie. Moja rozmowa z Lee też niczego nie ułatwiła. Teraz wisiło między nami lekkie napięcie, które doprowadzało mnie do rozpacz, i ogólnie atmosfera była dość gęsta, bo przez ostatnie godziny dnia wszyscy na siebie warczeliśmy. Jedynym wyjątkiem był Homer, który nie warczał na Fi. Mnie ochrzanił za to, że zbyt obficie podlewam nasiona warzyw, a z Lee pokłócił się o to, czy futbol australijski jest lepszy niż zwykła piłka nożna. Ale Fi była

nietykalna. Tylko że Homer nie był nietykalny dla Fi. Kiedy odebrał wielki kawał placka owocowego (od pani Gruber) i zaczął go jeść, obsypała go gradem takich słów jak „łakomy”, „samolubny” i „świnia”. Homer był przyzwyczajony do takich wyrzutów i zazwyczaj nie robiły na nim najmniejszego wrażenia – równie dobrze można było mieć pretensję do skały, że jest osadowa – ale kiedy napadła na niego Fi, stał jak małe dziecko, zrobił się czerwony i nie wiedział, co powiedzieć. Zjadł tamten kawałek ciasta, ale wątpię, żeby mu smakował. Cieszyłam się, że Fi nie widziała, jak pożeram lukrowane herbatniki.

Tak, znalezienie chatki pustelnika było jedyną atrakcją popołudnia.

Pod nieobecność Corrie Fi przeniosła się do mojego namiotu i wieczorem, kiedy już leżeliśmy w śpiworach, zapytała:

- Co ja mam zrobić z Homerem, Ellie?
- Chodzi ci o to, że mu się podobaś?
- Tak!
- Mhmm, to pewien problem.
- Gdybym tylko wiedziała, co zrobić.

To moja specjalność: rozwiązywanie problemów sercowych moich przyjaciół. Po ukończeniu szkoły zamierzałam zająć się tym zawodowo, otworzyć firmę, do której ludzie mogliby przychodzić prosto z ulicy, żeby mi opowiadać o swoich problemach z chłopakami albo dziewczynami. Szkoda tylko, że nie potrafiłam doradzić samej sobie.

Odwrociłam się na drugi bok, żeby widzieć drobną twarz Fi w ciemności. Jej duże oczy były szeroko otwarte i zmartwione.

- Lubisz go? – Od czegoś trzeba było zacząć.
- Tak! Jasne!
- Ale mam na myśli...
- Wiem, co masz na myśli! Tak, chyba go lubię. Tak, lubię go. W szkole go nie lubiłam, ale szczerze mówiąc, zachowywał się

tam jak kretyn. Gdyby ktoś mi wtedy powiedział, że zacznę go lubić, zatrzymałabym taksówkę i zamówiłabym mu kurs do psychiatry. Homer był wtedy taki niedojrzały.

– Tak, pamiętasz tamtą bitwę wodną na imprezie z okazji Halloween?

– Och, nie przypominaj mi.

– Więc skoro teraz go lubisz, co cię powstrzymuje?

– Nie wiem. Właśnie w tym problem. Nie wiem, czy lubię go tak bardzo jak on mnie, to po pierwsze. Za nic nie chciałabym zacząć takiego związku, gdyby Homer zakładał, że jestem zaangażowana równie mocno jak on. Chyba nigdy nie byłabym w stanie go aż tak polubić. Jest taki...

Nie mogła znaleźć słowa, żeby dokończyć zdanie, więc je podsunęła:

– Grecki?

– Tak! To znaczy wiem, że urodził się tutaj, ale jeśli chodzi o dziewczyny, nadal zachowuje się jak Grek.

– Przeszkadza ci to, że jest Grekiem, pół-Grekiem czy jak ty to tam nazywasz?

– Nie! To mi się podoba! Grecy są seksowni.

Słowo „seksowni” dziwnie brzmiało w ustach Fi. Była tak dobrze wychowana, że normalnie nie mówiła w ten sposób.

– W takim razie jedyne, co cię powstrzymuje, to to, że twoje uczucia nie są tak silne jak jego?

– Tak jakby. Mam wrażenie, że muszę go trzymać na dystans, bo inaczej on przejmie kontrolę. To tak, jakbyś budowała tamę na rzece, żeby uchronić wioskę przed powodzią. Ja jestem wioską i buduję tamę, traktując go chłodno, jakbym niczego nie zauważała.

– To może jeszcze bardziej rozbudzić jego namiętność.

– Och, tak myślisz? Nigdy nie przyszło mi to do głowy. Ojej, to takie skomplikowane. – Ziewnęła. – Co byś zrobiła na moim miejscu?

To było trudne pytanie, bo w zasadzie w pewnym sensie byłam na jej miejscu. To właśnie uczucia do Homera powstrzymały mnie od rzucenia się w ramiona Lee. Tylko ja mogłam mieć takiego pecha, żeby zostać rozbitkiem na bezludnej wyspie z dwoma facetami i polubić ich obu. Ale słowo „seksowni” w ustach Fi uświadomiło mi, że moja słabość do Homera jest czysto fizyczna. Nie chciałam godzinami rozmawiać z nim o życiu. Chciałam, żebyśmy godzinami wydawali zwierzęce odgłosy, takie jak stękanie, jęki i „mocniej, mocniej” albo „dotknij mnie tam jeszcze raz”. Z Lee było inaczej. Fascynowały mnie jego pomysły, sposób, w jaki podchodził do różnych spraw. Czułam, że im dłużej z nim rozmawiam, tym bardziej zmienia się moje spojrzenie na życie. Że może mnie czegoś nauczyć. Niewiele wiedziałam o jego przeszłości, ale kiedy patrzyłam na jego twarz i oczy, czułam się tak, jakbym patrzyła na Atlantyck. Chciałam się dowiedzieć, co można znaleźć w głębi, chciałam odkryć jego tajemnice.

Więc odpowiadając na pytanie Fi, powiedziałam tylko:

– Nie zwódź go w nieskończoność. Homer lubi, kiedy coś się dzieje. Lubi działać. Nie należy do najcierpliwszych facetów na świecie.

– Więc uważasz, że powinnam spróbować? – zapytała zasparym głosem.

– „Lepiej kochać i stracić, niż nie kochać nigdy”. Jeśli spróbujesz i nie wyjdzie, co masz do stracenia? Ale jeśli on straci zainteresowanie i nigdy niczego między wami nie będzie, przez resztę życia będziesz się zastanawiała, co cię ominęło.

Fi zasnęła, ale ja leżałam rozbudzona i słuchałam odgłosów nocy, szumu lekkiego wiatru w rozgrzanych drzewach, wycia dzikich psów w oddali, a od czasu do czasu gardłowych nawoływań ptaków. Zastanawiałam się, jak bym się poczuła, gdyby Fi poderwała Homera. Nadal nie mogłam uwierzyć, że nagle Homer tak bardzo mi się spodobał. Tak długo był sąsiadem, bratem.

Próbowałam sobie przypomnieć, jaki był miesiąc, rok, pięć lat temu, w dzieciństwie. Chciałam znaleźć moment, w którym stał się atrakcyjny, albo się dowiedzieć, dlaczego nie zauważyłam tego wcześniej, ale nie czułam niczego szczególnego do Homera z tamtych dni. Zupełnie jakby przeszedł metamorfozę. Z dnia na dzień zrobił się seksowny i interesujący.

Znowu zawył pies i zaczęłam rozmyślać o pustelniku. Może to on był, wracając do swojego zbezczeszczonego domu, nadchodząc, by odnaleźć ludzi, którzy naruszyli jego sekretne schronienie. Przysunęłam się bliżej do Fi, porządnie wystraszona. Dziwnie było znaleźć tę małą chatkę, tak zręcznie ukrytą. Musiał naprawdę nienawidzić ludzi, żeby zadać sobie tyle trudu. W głębi serca podejrzewałam, że to miejsce będzie pełne zła, szatańskich mocy, jakby ukrywał się tu przez lata i urządzał czarne msze. Bo jaki człowiek mógł zrobić coś tak okropnego jak on? Jak mógł z tym żyć? Ale w chatce wcale nie czuło się zła. Panowała tam dziwna atmosfera, którą trudno było określić. To miejsce było smutne, ponure, ale na pewno nie złe.

Zapadając w sen, skupiłam się na moim wieczornym rytuale, który odprawiałam teraz bez względu na to, jak bardzo byłam zmęczona. Było to coś w rodzaju filmu, który co wieczór rozgrywał się w mojej głowie. Oglądałam rodziców i ich codzienne życie. Dbałam o to, aby jak najczęściej widzieć ich twarze, i wyobrażałam ich sobie w przeróżnych codziennych sytuacjach: tatę rzucającego owcom bele siana, czekającego za kierownicą, aż otworzę bramę, przeklinającego podczas naciągania paska klinowego w traktorze, w moleskinie na polu. Mamę w kuchni – moja mama była prawdziwą królową kuchni. Być może dzięki feminizmowi częściej mówiła, co myśli, ale w zasadzie jej codzienne zajęcia niewiele się zmieniły. Wyobraziłam sobie, jak szuka książek z biblioteki, wykopuje ziemniaki, rozmawia przez telefon, przeklina, rozpalając w kuchni na drewno i przysięgając, że jutro wymieni ją na

kuchenkę elektryczną. Nigdy nie wymieniła. Twierdziła, że trzyma starą Agę ze względu na letników zachwyconych sielskim widokiem. Słyszac to, tylko się uśmiechałam.

Nie byłam pewna, czy próbując poprawić sobie humor myśleniem o rodzicach, przypadkiem się nie dołuję, ale tak wyglądał mój sposób na utrzymanie ich przy życiu, w pamięci. Bałam się tego, co się może stać, gdybym przestała, gdybym pozwoliła im odpłynąć, tak jak sama odpływałam teraz w sen. Zazwyczaj myślałam też o Lee, mniej więcej o tej porze, przytulając go do siebie, wyobrażając sobie jego gładką brązową skórę i jędrne usta, ale dzisiaj byłam zbyt zmęczona, a poza tym myślałam o nim wystarczająco dużo w ciągu dnia. Zamiast tego zasnęłam i śniłam o nim.

Tamte dwa dni z Homerem i Fi zapowiadały się interesująco i takie właśnie były. Nawet za bardzo, bo okazały się dużym obciążeniem dla moich emocji. Zresztą i tak wszyscy byliśmy podminowani, zastanawialiśmy się, jak pozostała czwórka radzi sobie w mieście. Następny poranek był już chłodniejszy i cały wtorek okazał się chłodniejszy pod wieloma względami. To był intrygujący dzień – dzień, którego nigdy nie zapomnę.

Znowu uzgodniliśmy, że wstaniemy wcześniej rano. Zauważyłam, że im dłużej jesteśmy w Piekło, tym bardziej poddajemy się naturalnym rytmom: szliśmy spać o zmroku i wstawaliśmy o świcie. Zupełnie inaczej niż w domu. Stopniowo zaczęliśmy funkcjonować w taki sposób, nawet tego nie zauważając. Ale nie zawsze było tak łatwo. Często nie szliśmy spać mimo ciemności, bo trzeba było rozpalić ognisko, ugotować coś na następny dzień albo przynajmniej napić się herbaty – kilkorgu z nas brakowało herbaty w ciągu dnia. Wkrótce jednak zaczynaliśmy ziewać, przeciągać się, wyrzucaliśmy fusy z kubka, a potem szliśmy do namiotów.

W tamten nadal jeszcze zimny i wilgotny wtorkowy poranek zebraliśmy się przy wygasłym ognisku, trochę rozmawialiśmy i słuchaliśmy cichych głosów strok i zdumionego szmeru kur. Jak

zwykle zjedliśmy zimne śniadanie. Wieczorami przeważnie moczyłam suszone owoce w wodzie, w szczelnie przykrytym kociołku, żeby nie mogły się do nich dostać opsy. Rano owoce były soczyste i smaczne, a my jedliśmy je z muesli albo innymi płatkami zbożowymi. Fi zazwyczaj jadła mleko w proszku, które także rozpuszczaliśmy poprzedniego wieczora, żeby rano było już gotowe. Podczas wyprawy do Gruberów podprowadziliśmy kilka dodatkowych tubek mleka skondensowanego, ale i tym razem nie starczyły na długo: opróżniliśmy je w ciągu doby, pracując na cukrzycę w przyszłości.

Naszym najważniejszym zadaniem tamtego dnia było zdobycie drewna na opał. Chcieliśmy zebrać dużą stertę, a potem ją ukryć. Byliśmy w samym środku dziczy, ale choć trudno to sobie wyobrazić, w tak gęstych zaroślach wcale nie było łatwo o drewno. Poza tym czekało na nas wiele innych zadań: rąbanie drewna, okopywanie namiotów, kopanie nowej latryny (pierwsza była już pełna), przygotowanie dobrze zabezpieczonych pakunków z jedzeniem, które moglibyśmy przechowywać w górach, jak zasugerował Homer. Ponieważ Lee nadal miał ograniczoną możliwość poruszania się, dostał to ostatnie zadanie, a do tego miał pozmywać naczynia i wyczyścić strzelby.

Plan polegał na tym, żeby większość poranka poświęcić na ciężką pracę, zrobić przerwę po lunchu, a wieczorem wyruszyć po więcej zapasów czekających w land-roverze. I rzeczywiście udało nam się sporo zrobić, zanim upał zaczął się dawać we znaki. Uzbieraliśmy stertę drewna wysoką na mniej więcej metr i szeroką na trzy, a do tego oddzielną stertę chrustu na rozpałkę. Okopaliśmy namioty i przygotowaliśmy latrynę, potem ulepszyliśmy schronienie dla kur. Zdziwiająco, ile roboty potrafiło wykonać czworo ludzi w porównaniu z tym, co mogłam zdziałać w parze z tatą. Martwiło mnie jednak, że nadal jesteśmy bardzo uzależnieni od zapasów przywożonych terenówką. To było krótkoterminowe rozwiązanie.

Nawet z własnymi warzywami, nawet z kurami byliśmy dalecy od samowystarczalności. A gdyby nam przyszło ukrywać się przez trzy miesiące... albo sześć... albo przez dwa lata. Brzmiało to nieprawdopodobnie – ale było całkiem możliwe.

Podczas lunchu, kiedy Homer i Fi byli czymś zajęci, Lee cicho mnie zapytał:

– Mogłabyś mi pokazać chatkę pustelnika dzisiaj po południu? Zdziwiłam się.

– Przecież wczoraj, kiedy tam szliśmy... powiedziałaś, że twoja noga...

– Tak, wiem. Ale dzisiaj sporo chodziłem. Chyba się zagoiła. Poza tym wczoraj byłem na ciebie trochę zły.

Szeroko się uśmiechnęłam.

– Dobra, zaprowadzę cię. A w razie potrzeby zamienię się w Robyn i przyniosę cię z powrotem.

Coś musiało wisieć w powietrzu, bo kiedy powiedziałam Homerowi i Fi, że noga Lee się zagoiła i znikniemy na parę godzin, Homer szybko puścił oczko do Fi. Najwidoczniej rano Fi musiała go jakoś ośmielić, bo nie było to mrugnięcie pod tytułem: „Aaa, Lee i Ellie”, ale raczej: „Super, będziemy mieli trochę czasu dla siebie”. Bardzo przebiegle z ich strony. Jestem pewna, że gdybyśmy nie dali im tej okazji, wymyśliliby jakieś kłamstwo, żeby gdzieś prysnąć. Mimo to poczułam się zazdrosna i żalowałam, że nie mogę odwołać naszej wyprawy, żeby zostać i robić za przyzwoitkę. W głębi serca naprawdę nie chciałam, żeby Homer i Fi byli razem.

Ale nic nie mogłam na to poradzić. Wpadłam w sprytnie zastawioną pułapkę. Więc około drugiej ruszyłam w stronę strumyka z kuśtykającym Lee u boku. Tym razem podróż była zaskakująco krótka, bo znałam już drogę i szłam z większą pewnością, a Lee poruszał się sprawniej, niż przypuszczałam. Woda w strumyku płynęła, bulgocząc, odświeżająco zimna, a my po prostu szliśmy z prądem.

– Idealna ścieżka – skomentował Lee. – Nie zostawiamy śladów.
– Mhmm. Wiesz, po drugiej stronie Piekła jest rzeka Holloway i Risdon. Stamtąd też musi być jakieś dojsście. Dobrze byłoby je znaleźć. Może trzeba iść wzdłuż tego strumyka.

Dotarliśmy do chatki, ale Lee chciał przede wszystkim porozmawiać. Usiadł na mokrym pieńku nad brzegiem strumyka.

– Dam odpocząć nodze – wyjaśnił.

– Boli?

– Trochę. Ale tylko dlatego, że znowu jej używam. Myślę, że ruch to dla niej najlepsze lekarstwo. – Zamilkł. – Wiesz, Ellie, w zasadzie jeszcze ci nie podziękowałem za to, że tamtej nocy przysłaś mnie wyciągnąć z restauracji. Zachowaliście się jak bohaterowie. Naprawdę się dla mnie naraziliście. Nie jestem mistrzem porywających mów, ale nigdy tego nie zapomnę, do końca życia.

– Nie ma sprawy – powiedziała speszona. – Już raz mi podziękowałeś. Poza tym zrobiłbyś dla nas to samo.

– I przepraszam za wczoraj.

– Za co tu przepraszać? Powiedziałeś, co chciałeś powiedzieć. Powiedziałeś, co myślałeś. To więcej, niż zrobiłam ja.

– Więc powiedz to teraz.

Uśmiechnęłam się.

– Może rzeczywiście powinnam. Chociaż nie planowałam nic więcej dodawać. – Zastanowiłam się chwilę, a potem postanowiłam zaryzykować. Denerwowałam się, ale było to dość przyjemne zdenerwowanie. – W porządku, powiem, co myślę, że myślę, ale pamiętaj, to niekoniecznie to, co naprawdę myślę, bo nie wiem, co naprawdę myślę.

Jęknął.

– Oj, Ellie, jesteś taka dobijająca. Jeszcze nie zaczęłaś, a już mnie wnerwiasz. Tak samo jak wczoraj.

– Chcesz, żebym była szczerą, czy nie?

– W porządku, mów. Postaram się zapanować nad ciśnieniem.

– Dobra. – Zgodziłam się mówić, ale nie miałam pojęcia, od czego zacząć. – Lee, naprawdę cię lubię, bardzo. Myślę, że jesteś interesujący, zabawny, bystry i masz najładniejsze oczy w całym Wirrawee. Po prostu nie jestem pewna, czy lubię cię w taki sposób. Wiesz, co mam na myśli. Tamtego dnia na sianie moje uczucia wzięły górę. Ale masz w sobie coś, nie wiem, co to jest, co trochę wytrąca mnie z równowagi. Nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak ty. Zastanawiam się, co by było, gdybyśmy zaczęli ze sobą chodzić i nic by z tego nie wyszło. Jest nas tu siedmioro, nie, już ośmioro, mieszkamy na tym odludziu w naprawdę dziwnych czasach, kiedy cały świat stanął na głowie, a mimo to całkiem nieźle się dogadujemy. Przeważnie. Nie chciałabym tego zepsuć, gdybyśmy nagle się pokłócili i doszli do wniosku, że nie chcemy się więcej widzieć albo czujemy się ze sobą niezręcznie. To byłoby okropne. Przypominalibyśmy Adama i Ewę kłócących się w Edenie. Z kim by później rozmawiali? Z jabłonią? Z wężem?

– Oj, Ellie – westchnął Lee. – Dlaczego zawsze musisz wszystko analizować? Przyszłość to przyszłość. Sama o siebie zadba. Możesz tu siedzieć cały dzień i snuć domysły, ale co ci to da? Mnóstwo niepotwierdzonych domysłów. A w międzyczasie nie zrobisz nic, nie będziesz żyła, bo za bardzo cię pochłonie roztrząsanie rzeczywistości.

– Nieprawda – powiedziałam. Zaczynał mnie wnerwiać. – Ukradliśmy buldożer i uratowaliśmy cię właśnie dzięki analizowaniu. Gdybyśmy wcześniej nie przemyśleli wszystkich możliwości, nigdy by się nam nie udało.

– Ale mnóstwo decyzji podjęliście już w trakcie – zauważył. – Pamiętam, jak powiedziałaś, że zmieniłaś plan, chyba trasę ucieczki. I nie tylko to. Na przykład ostre hamowanie, żeby zatrzymać pościg... To wszystko podpowiedział ci instynkt.

– Więc uważasz, że w życiu należy się kierować instynktem, a nie rozumem?

Roześmiał się.

– Nie ująłbym tego w taki sposób. Myślę, że jest miejsce na jedno i drugie. Powiem ci, z czym mi się to kojarzy. Z muzyką. – Lee miał wielki talent. Był już w szóstej klasie fortepianu, najwyżej w całym Wirrawee jak na swój wiek. – Kiedy uczę się jakiegoś utworu albo go gram, muszę się zaangażować sercem i umysłem. Umysł myśli o technice, a serce czuje żar muzyki. W życiu jest chyba tak samo. Trzeba używać jednego i drugiego.

– Myślisz, że ja używam tylko rozumu i nie mam serca?

– Nie! Przestań przekręcać moje słowa. Ale pomyśl o człowieku, który tutaj mieszkał. Jego serce musiało stopniowo wysychać, aż w końcu zaczęło przypominać małą suszoną morelę i został mu tylko rozum. Mam nadzieję, że było to dla niego duże pocieszenie.

– Więc jednak uważasz, że używam tylko rozumu i nie mam serca! Myślisz, że skończę w tej małej chatce, jak pustelniczka z Piekła, bez przyjaciół, przez nikogo niekochana. Przepraszam, skoczę do ogródka i trochę nad sobą popłaczę.

– Nie, po prostu uważam, że w niektórych sprawach, na przykład kiedy chodzi o lubienie kogoś, na przykład o lubienie mnie, jesteś zbyt ostrożna i analityczna. Powinnaś po prostu iść za głosem serca.

– Ale serce mi mówi, że kompletnie się zamotałam – powiedziałam zrezygnowana.

– Prawdopodobnie dlatego, że rozum miesza ci w uczuciach. Możliwe, że twoje uczucia są jasne i wyraźne, ale zanim się wydostaną na powierzchnię, na ich drodze staje rozum, który wszystko gmatwa.

– Więc jestem jak telewizor postawiony za blisko komputera? Zakłócam sobie odbiór?

Nie byłam pewna, czy rzeczywiście w to wierzę, czy może Lee zwyczajnie mnie urabia. Faceci powiedzą wszystko, żeby dopiąć swego.

– Właśnie! – zawołał Lee. – Pytanie tylko, co leci w telewizji. Debata na temat sensu życia czy może namiętne *love story*?

– Wiem, czego ty byś chciał – powiedziałam. – Porno z nami w roli głównej.

Uśmiechnął się.

– Jak po tym wszystkim, co właśnie powiedziałem, mógłbym teraz twierdzić, że kocham cię za twój umysł? Ale naprawdę cię kocham.

Po raz pierwszy użył tego słowa i trochę mnie to otrzeźwiło. Nasz związek mógł z łatwością przerodzić się w coś poważnego. Problem w tym, że unikałam wspomniania o Homerze i jednym z powodów, dla których Lee nie był w stanie mnie zrozumieć, było to, że nie miał pojęcia o moich rozterkach (mimo że dzień wcześniej zaczął się czegoś domyślać). Chyba byłby mniej dezorientowany, gdybym się odważyła na szczerość. Tylko że ja wiedziałam o Homerze i nadal miałam mętlik w głowie. Westchnęłam i wstałam.

– Choć, kaleko, rzućmy okiem na chatkę.

Była to moja trzecia wycieczka do kryjówki pustelnika, więc chatka powoli zaczynała mnie nudzić. Ale Lee dość długo w niej myszkował. Tym razem w środku było widniej. Pewnie wszystko zależało od pory dnia, a teraz przenikało tu trochę słońca, które rozjaśniało ciemność w głębi pomieszczenia. Lee podszedł do jedyne go okna, kwadratowego otworu bez szyb w tylnej ścianie. Wystawił przez nie głowę i spojrzał na rosnącą pod nim miętę, a potem obejrzał spróchniałą ramę okna.

– Piękna robota – powiedział. – Spójrz na te łączenia. Zaczekaj, widzę tu jakiś metal.

– Jak to?

Podszłam do niego, a on zaczął się mocować z parapetem. Wtedy zauważyłam, o czym mówił: parapet był już spróchniały, a pomiędzy zbutwiały drzazg wyzierała czarna matowa

powierzchnia. Nagle Lee po prostu podniósł cały parapet. Widać specjalnie został po to zbudowany, bo pod spodem znajdował się starannie wycięty otwór niewiele większy niż pudełko po butach. A w nim spoczywała idealnie wpasowana kasetka z szarego metalu wielkości właśnie takiego pudełka.

– *Wow!* – byłam zaskoczona i przejęta. – Niesamowite! Pewnie jest pełna złota.

Lee, nie odrywając oczu od kasetki, wyjął ją z dziury w parapecie.

– Dość lekka – powiedział. – Zbyt lekka jak na złoto.

Na pudełku pojawiały się pierwsze ślady rdzy i przecinało je parę pomarańczowych smug, ale ogólnie kasetka była w dobrym stanie. Nie została zamknięta na zamek i otworzyła się z łatwością. Zajrzałam Lee przez ramię i zobaczyłam same papiery i zdjęcia. Rozczarowałam się, ale później zdałam sobie sprawę, że złoto i tak na niewiele by się przydało ludziom żyjącym w górach jak partyzanci. Lee wyjął papiery i zdjęcia. Pod nimi leżało małe niebieskie etui przypominające portfel, ale wykonane ze sztywniejszego materiału i zamknięte na mały złoty zatrzask. Lee ostrożnie je otworzył. W środku, owinięta w bibułkę, na kawałku białego płótna leżała jaskrawa, krótka i szeroka wstążka przyczepiona do ciężkiego medalu z brązu.

– Niesamowite – szepnęłam. – Był bohaterem wojennym.

Lee wyjął medal z etui. Na awersie widniała podobizna króla – nie jestem pewna którego – i słowa: „*He who would valiant be*”. Lee odwrócił medal na drugą stronę. Z tyłu wygrawerowano napis: „Dla Bertrama Christiego za waleczność, bitwa nad Marną”, i datę, której nie można już było odczytać. Wstążka była czerwono-żółto-niebieska. Wzięliśmy medal do ręki, zważyliśmy go w dłoni, obejrzelśmy, a potem ostrożnie zawinęliśmy z powrotem i odłożyliśmy do pudełka, skupiając się na papierach.

Było ich kilka: notes, parę listów, kilka wycinków z gazet i parę oficjalnie wyglądających dokumentów. Były też trzy zdjęcia: jedno

przedstawiało poważną młodą parę w dniu ślubu, drugie samotną kobietę stojącą przed drewnianym domem, a trzecie kobietę z dzieckiem. Kobieta była młoda, ale wydawała się smutna. Miała długie ciemne włosy i szczupłą, gładką twarz. Możliwe, że była Hiszpanką. W skupieniu wpatrywałam się w zdjęcia.

– To pewnie ci, których zamordował – szepnęłam.

– Dziwne, że zatrzymał zdjęcia, skoro ich zabił – powiedział Lee.

Spojrzał na twarz mężczyzny na zdjęciu ślubnym. Bertram Christie wyglądał młodo, może nawet młodziej niż kobieta. Uparcie wpatrywał się w obiektyw. Miał jasne oczy o przenikliwym spojrzeniu i wyraźnie zarysowaną, gładko ogoloną brodę. Jego twarz w niczym nie przypominała twarzy mordercy, a w obliczach jego żony i dziecka nie było niczego z ofiary.

Lee zaczął otwierać dokumenty. Pierwszy był artykułem prasowym na temat jakiegoś kazania. Przeczytałam tylko jeden akapit. Kazanie było oparte na wersecie z Biblii: „Usta głupiego są jego zgubą, a wargi – pułapką na jego życie”. Artykuł wyglądał na długi i nudny, więc dalej nie czytałam. Drugi wycinek z gazety był krótszy i nosił tytuł: *Ofiary tragedii w Mount Tumbler złożone na wieczny spoczynek*. Treść artykułu brzmiała tak:

W ubiegły poniedziałek mała grupka żałobników wzięła udział w mszy w kościele anglikańskim w Mount Tumbler, na której wielebny Horace Green odprawił ceremonię pochówku. Na wieczny spoczynek złożono Imogen Mary Christie z Mount Tumbler i jej trzyletniego synka Alfreda Bertrama Christie.

Rodzina Chriestiech była słabo znana. Przyjechała tu niedawno, mieszkała dość daleko od miasta i najwyraźniej wiodła samotniczy tryb życia, ale tragedia wstrząsnęła mieszkańcami całego okręgu, na co z ogromnym współczuciem zwrócił uwagę wielebny Green w swoim kazaniu, mówiąc, że „człowieka zrodzonego z niewiasty

czeka życie krótkie i pełne zgrzyzot. Człowiek bowiem rozkwita i zostaje ścięty niczym kwiat”.

Następnie zmarli zostali pochowani na cmentarzu w Mount Tumbler.

W najbliższy poniedziałek w szkole plastycznej w Mount Tumbler odbędzie się otwarte spotkanie pod przewodnictwem sędziego pokoju pana Donalda McDonalda, poświęcone ponowieniu starań o zapewnienie okręgowi Mount Tumbler opieki lekarza. Tragedia rodziny Christiech dała początek wznowieniu starań o wprowadzenie w okręgu usług medycznych.

Dochodzenie w sprawie śmierci pani Christie i jej dziecka odbędzie się przy okazji najbliższej wizyty okręgowego sędziego pokoju dnia 15 kwietnia. Tymczasem posterunkowy Whykes zaapelował, aby powstrzymać się od jałowych spekulacji dotyczących tej sprawy, co żarliwie popiera także niżej podpisany korespondent.

To było wszystko. Przeczytałam to, zaglądając Lee przez ramię.

– Więcej tu pytań niż odpowiedzi – powiedziałam.

– Autor ani razu nie wspomina o mężu – zauważył Lee.

Następną pamiątką przechowywaną w pudełku była oficjalnie wyglądająca kartka kremowego papieru, który zdążył już żółknąć. Wyglądała na notę pochwalną wręczoną razem z medalem. Ozdobnym, zamaszystym pismem opisywała dokonania szeregowca Bertrama Christiego, który pod ostrzałem wroga pospieszył na ratunek rannemu i nieprzytomnemu „kapralowi z innego pułku”. „Przenosząc rannego żołnierza do okopów, szeregowiec Christie naraził własne życie i wykazał się niezwykłą odwagą, za którą Jej Wysokość ma zaszczyt nagrodzić szeregowca Bertrama Christiego Medalem Świętego Jerzego”.

– Robi się coraz ciekawiej – powiedział Lee.

– Całkiem jak Robyn – zauważyłam. – Moim zdaniem ona też powinna dostać medal.

Potem znaleźliśmy jeszcze parę drobiazgów: świadectwa urodzenia trojga Christiech, akt ślubu Bertrama i Imogen, pocztówkę wysłaną do Bertrama przez jego żonę, na której napisała jedynie: „Przyjedziemy pociągiem o czwartej piętnaście. Mama przesyła najserdeczniejsze pozdrowienia. Twoja oddana żona Imogen”. Były tam jakieś dokumenty z banku oraz notes z mnóstwem rachunków i liczb. Wskazałam jeden z punktów: „Za dwuosobowe łóżko, £4/10/6”.

– Ile to? – zapytał Lee.

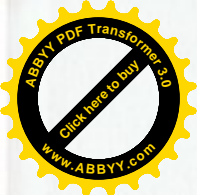
– Chyba jakieś osiem dolarów. Bo liczbę funtów mnoży się przez dwa, nie? Nie wiem tylko, co z szylingami i pensami.

Potem dotarliśmy do ostatniego dokumentu, podłużnego kawałka papieru z czerwoną pieczęcią na górze. Na dole widniał zamaszysty podpis, który podobnie jak treść został nakreślony czarnym atramentem. Usiedliśmy, żeby to przeczytać, i beznamiętny język koronera odkrył przed nami historię człowieka, który zabił żonę i dziecko:

Niechaj wszyscy ludzie mający do czynienia z sądami Jej Królewskiej Mości dowiedzą się, iż ja, HAROLD AMORY DOUGLAS BATTY, mianowany sędzią pokoju i koronerem okręgu Mount Tumbler, formułuję następujące wnioski i zalecenia w odniesieniu do śmierci IMOGEN MARY CHRISTIE, lat dwadzieścia cztery, zamężnej członkini tutejszej parafii, i ALFREDA BERTRAMA CHRISTIE, lat trzy, dziecka należącego do tutejszej parafii, zamieszkałych przy trakcie Aberfoyle pod numerem 16A, dwadzieścia cztery mile na południowy zachód od góry Pink:

1. Obydwoje zmarli zginęli około 24 grudnia z rąk BERTRAMA HUBERTA SEXTONA CHRISTIEGO w wyniku strzału w głowę.

2. Obydwoje zmarli mieszkali z BERTRAMEM HUBERTEM SEXTONEM CHRISTIEM, farmerem, w drewnianym domku



pod wymienionym adresem, położonym w wyjątkowo odludnej części okręgu Mount Tumbler, pozostając z rzeczonym BERTRAMEM HUBERTEM SEXTONEM CHRISTIEM w relacji odpowiednio żony i syna.

3. Nie ma dowodów na brak zgody małżeńskiej między BERTRAMEM HUBERTEM SEXTONEM CHRISTIEM a IMOGEN MARY CHRISTIE. Przeciwnie, BERTRAM HUBERT SEXTON CHRISTIE był kochającym mężem i ojcem, IMOGEN MARY CHRISTIE oddaną i spokojną żoną, a mały ALFRED BERTRAM CHRISTIE uroczym dzieckiem o łagodnym usposobieniu, co zeznali WILSON HUBERT GEORGE, farmer i sąsiad zmarłych, oraz MAURIEL EDNA MAYBERRY, mężatka i sąsiadka zmarłych.

4. Najbliższy państwu Christie lekarz i najbliższa pielęgniarka znajdowali się w Dunstan Lake oddalonym o co najmniej półtora dnia drogi.

5. Na trakcie Aberfoyle i wokół niego szalały wówczas pożary, podobnie jak na drodze z Mount Tumbler do Mt Octopus, wzdłuż Wild Goat Track i na południe od góry Pink, odcinając posiadłość państwa Christiech od świata, z czego BERTRAM HUBERT SEXTON CHRISTIE zdawał sobie sprawę.

6. Obydwoje zmarli ponieśli śmierć ALBO w wyniku pożaru, który strawił ich dom, a podczas którego oboje doznali okropnych poparzeń, w związku z czym BERTRAM HUBERT SEXTON CHRISTIE, wierząc, że obrażenia te są śmiertelne i nie mogąc znieść cierpienia żony i syna, oraz świadom, że pomoc lekarska jest poza bezpośrednim zasięgiem, zabił poparzonych strzałem w głowę oddanym ze strzelby należącej do BERTRAMA HUBERTA SEXTONA CHRISTIEGO, co zeznał sam BERTRAM HUBERT SEXTON CHRISTIE.

ALBO że obydwójce zmarli zostali rozmyślnie i zbrodniczo zamordowani przez BERTRAMA HUBERTA SEXTONA

CHRISTIEGO za pomocą rzeczony strzelby, a ich ciała celowo spalono w próbie zatajenia faktów związanych z tą sprawą.

7. Medycyna nie jest w stanie stwierdzić, co nastąpiło jako pierwsze – strzały czy pożar – co zeznał doktor JACKSON MUIRFIELD WATSON, lekarz i specjalista medycyny sądowej z okręgowego szpitala w Stratton.

8. Dochodzenie przeprowadzone przez policję nie zdołało ustalić innych osób będących świadkami śmierci IMOGEN MARY CHRISTIE i ALFREDA BERTRAMA CHRISTIEGO, co zeznał posterunkowy FREDERICK JOHN WHYKES z posterunku policji w Mount Tumbler.

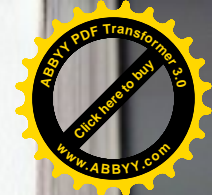
9. Na podstawie dostępnych dowodów nie jestem w stanie wysnuć żadnych dalszych wniosków co do okoliczności śmierci obojga zmarłych.

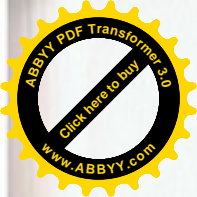
ZALECENIA:

1. Pilne rozważenie zapewnienia opieki medycznej mieszkańcom Mount Tumbler.

2. Wniesienie przez prokuratora generalnego oskarżenia przeciwko BERTRAMOWI HUBERTOWI SEXTONOWI CHRISTIEMU o POPEŁNIENIE UMYŚLNEGO I ZBRODNICZEGO MORDERSTWA.

Podpisał własnoręcznie HAROLD AMORY DOUGLAS BATTY w sądzie pokoju Mount Tumbler w dniu dzisiejszym, to jest 18 kwietnia.





16

W pudełku były jeszcze dwa dokumenty.

Jeden z nich okazał się listem napisanym przez matkę Imogen Christie. Napisała tak:

Drogi Panie Christie, („Panie Christie!” – zdziwił się Lee, a ja powiedziałam: „No tak, w tamtych czasach wszyscy zachowywali się bardzo oficjalnie”) dziękuję Panu za list z dnia 12 listopada. Istotnie, znalazł się Pan w trudnym położeniu. Jak Pan wie, zawsze Pana wspierałam i broniłam Pańskiej wersji wydarzeń związanych z okropną śmiercią mojej drogiej córki i mojego drogiego wnuka jako jedynej możliwej i prawdziwej, zawsze w nią wierzyłam i żarliwie się modliłam, by była prawdziwa. Jak Pan wie, uradowałam się, gdy przysięgli uznali Pana za niewinnego, gdyż uważam, że został Pan niesłusznie oskarżony, a jeśli prawo nie знаło wcześniej przypadku takiego jak Pański, to powiadam: tym większy wstyd dla prawa. Przysięgli podjęli jednak jedyną słuszną decyzję, bez względu na to, co powiedział sędzia. Wie Pan, że zawsze obstawałam przy jednej wersji wydarzeń i podkreślałam to w całym okręgu. Nie sądzę, abym mogła uczynić coś więcej. Żaden mężczyzna i żadna kobieta nie mogą dalej kłapać językiem, a jeśli kłapią nim tak bardzo, jak Pan twierdzi, i jeśli rzeczywiście zostanie Pan zmuszony do

opuszczenia okręgu, będzie to wielka szkoda, lecz nic nie powstrzyma kobiet, kiedy raz zaczną plotkować – a mówię to, mimo że zdradzę swoją pleć – ale tak już jest, tak wygląda ten świat i bez wątpienia nigdy się to nie zmieni. Proszę pamiętać, że zawsze jest Pan mile widziany w skromnych progach

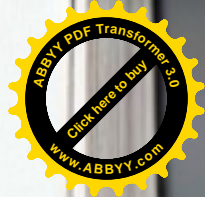
Imogen Emmy Eakin

Na ostatniej kartce widniał wiersz, prosty wiersz:

W życia znoju i chaosie
Jedna trwa zasada:
Cudze troski leczy dobroć,
A własne odwaga.

Kiedy go przeczytaliśmy, Lee w milczeniu zawinął wszystko z powrotem i włożył do kasetki. Nie zdziwiłam się, kiedy wsunął ją z powrotem do dziury i ponownie przykrył parapetem. Wiedziałam, że wcale nie musimy zostawiać tu tego na zawsze, żeby rozpadło się na kawałki i obróciło w pył, ale póki co dowiedzieliśmy się za dużo, mieliśmy zbyt wiele do przemyślenia. W milczeniu opuściliśmy chatkę, zwracając jej ciszę.

W połowie drogi wzdłuż strumyka odwróciłam się do Lee, który szedł za mną, rozpryskując wodę. Było to chyba jedyne miejsce w chłodnym tunelu, gdzie można było stać. Objęłam dłońmi jego kark i łapczywie go pocałowałam. Przez chwilę był w szoku, jego wargi wydawały się zdrętwiałe, ale potem też zaczął mnie całować, mocno naciskając ustami na moje usta. Staliśmy w zimnym strumyku i wymienialiśmy gorące pocałunki. Rozkoszowałam się nie tylko jego ustami, ale także zapachem, gładkością skóry, kształtem łopatek, ciepłem karku. Po chwili oderwałam się od Lee i wtuliłam głowę w jego ramię, nadal obejmując go jedną ręką. Spojrzałam w dół na chłodną, spokojnie płynącą wodę, która sunęła swoim uświęconym torem.



- Ten raport koronera... – zaczęłam.
- Tak?
- Rozmawialiśmy o rozumie i emocjach.
- No i?
- Widziałeś kiedyś, żeby ktoś potraktował emocje tak ozięble jak w tym raporcie?
- Nie, raczej nie.
- Obróciłam głowę, żeby przytulić policzek do jego piersi i szepnęłam:
- Nie chcę skończyć jako raport koronera.
- Nie skończysz. – Poglądził mnie po głowie, a potem zanurzył palce w moich włosach i lekko ścisnął mi kark, jakby robił masaż. Po kilku minutach powiedział: – Wyjdźmy z tego strumyka. Powoli zamarzam. Zimno dotarło już do kolan i posuwa się wyżej. Zachichotałam.
- W takim razie szybko. Nie chciałabym, żeby dotarło zbyt wysoko.

Na polanie wyraźnie się wyczuwało, że między Homerem i Fi coś zaszło. Homer siedział oparty o drzewo, tuląc do siebie skuloną Fi. Spoglądał ponad polaną na wiszący w oddali stopień Szatańskich Schodów. Nie rozmawiali, a kiedy wróciliśmy, wstali i podszli do nas – Homer trochę onieśmielony, ale Fi zupełnie naturalnie. Potem chwilami ich obserwowałam – nie szpiegowałam, byłam tylko ciekawa, jak się zachowują – i poczułam, że zachowują się inaczej ze względu na naszą obecność. Wydawali się zdenerwowani, trochę jak dwunastolatki na pierwszej randce.

Wyjaśniła mi to Fi, kiedy udało nam się wymknąć i chwilę poplotkować.

– On się strasznie dołuje – poskarżyła się. – Cokolwiek o nim mówię, albo to ignoruje, albo bierze do siebie. Wiesz – spojrzała na mnie swoimi wielkimi, niewinnymi oczami – on ma jakąś obsesję na punkcie tego, że moi rodzice są prawnikami i że mieszkam

w tym głupim dużym domu. Zawsze się z tego nabijał, z czego kilka dni temu, kiedy poszliśmy tam w nocy, ale nie wydaje mi się, żeby mu było do śmiechu.

– Oj, Fi, ile czasu ci zajęło, zanim to odkryłaś?

– A co? Mówił ci coś? – Od razu strasznie się zmartwiła. Cała Fi.

Poczułam się trochę niezręcznie, bo chciałam chronić Homera i wołałam nie zdradzać poufnych informacji. Postanowiłam więc dać jej kilka wskazówek.

– No wiesz, prowadzicie zupełnie inne życie. Poza tym pamiętasz kumpli, z którymi zadawał się w szkole. Czuli by się lepiej, przesiadując w barze, niż grając w krykieta z twoimi rodzicami.

– Moi rodzice nie grają w krykieta.

– Nie, ale rozumiesz, o co mi chodzi.

– Och, nie wiem, co robić. Mam wrażenie, że on boi się cokolwiek powiedzieć, żeby go nie wyśmiała albo nie potraktowała z góry. Jakbym miała taki zamiar. To zabawne, że tak się wobec mnie zachowuje, skoro przy innych ludziach jest bardzo pewny siebie.

Westchnęłam.

– Gdybym potrafiła zrozumieć Homera, zrozumiałabym wszystkich chłopaków.

Robiło się ciemno i musieliśmy rozpocząć przygotowania do wielkiej nocy i kolejnej wspinaczki po Szatańskich Schodach. Byłam zmęczona i nie miałam na to większej ochoty, zwłaszcza że Lee nie mógł iść z nami. Jego noga nadal była sztywna i obolała. Gdy nadeszła właściwa pora, powlekłam się za Homerem i Fi, zbyt słaba, by narzekać – uznałam, że jeśli zacznę marudzić, będę miała poczucie winy. Ale słodycz nocy stopniowo mnie ożywiała. Zaczęłam głębiej oddychać i dostrzegać milczące góry, które ponuro stały wokół nas. Było pięknie, szłam z przyjaciółmi, z dobrymi ludźmi, i dobrze sobie radziłam w tej trudnej sytuacji. Mieliliśmy wiele powodów do zmartwień, ale to, co przeczytałam w chatce

pustelnika, i długi, piękny pocałunek z Lee jakimś cudem sprawiły, że spojrzałam na życie z lepszej perspektywy. Wiedziałam, że to nie potrwa długo, ale próbowałam cieszyć się chwilą.

Przy land-roverze zabraliśmy się do budowania nowej kryjówki dla pojazdów, żeby lepiej je ukryć przed ludźmi korzystającymi ze szlaku. Nie było to łatwe zadanie i ostatecznie musieliśmy się zadowolić miejscem za drzewami, prawie kilometr dalej w dół wzgórza. Jego wielką zaletą było to, że jechało się tam po kamieniach, co oznaczało brak śladów, pod warunkiem że miało się suche opony. Wielką wadę stanowiło natomiast to, że kryjówka leżała jeszcze dalej od Piekła, do którego już i tak było daleko.

Fi i Homer mieli tam poczekać na pozostałą czwórkę, której powrotu z Wirrawee spodziewaliśmy się mniej więcej o świcie, ale ja nie chciałam zostawiać Lee w obozowisku samego na całą noc. Zatem z tak szczytnego powodu – i z żadnego innego – wypełniłam plecak po brzegi, wzięłam w rękę torbę z ubraniami i obladowana jak ciężarówka ruszyłam w samotną podróż z powrotem do Piekła. Rozstałam się z Homerem i Fi mniej więcej o północy. Powiedzieli, że czekając na resztę, zdrzemną się kilka godzin w land-roverze.

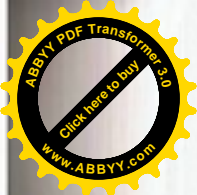
Przynajmniej tak twierdzili.

Kiedy ruszyłam, księżyc był już wysoko na niebie. Skały połyskiwały wzdłuż wąskiego grzbietu Szwu Krawca. Nagle mały ptaszek sfrunął z niskiego drzewa przede mną, wydając przeciągły krzyk i trzepocząc skrzydełkami. Krzaki przybierały kształty skrzatów i demonów gotowych rzucić się do ataku. Między nimi biegła kręta ścieżka: jeśli uszył ją krawiec, musiał być stuknięty, opętany albo jedno i drugie. Białe suche drzewa połyskiwały przede mną jak kości, a pod stopami chrzęściły mi małe kamienie i żwir. Pewnie powinnam była się wystraszyć, idąc sama w takich ciemnościach. Ale nie bałam się. Chłodna nocna bryza nieustannie całowała mi twarz, a woń akacji nadawała powietrzu

lekką słodycz. To był mój kraj. Czułam się, jakbym wyrosła z tej ziemi tak samo jak te milczące drzewa wokół mnie, jak spływały z nich te rośliny o drobnych liściach, które rosły wzdłuż szlaku. Chciałam wrócić do Lee, ponownie zobaczyć jego poważną twarz i te brązowe oczy, które urzekały mnie, kiedy się śmiały, i chwytaly za serce, kiedy były smutne. Ale jednocześnie chciałam tu zostać na zawsze. Czułam, że gdybym zatrzymała się na dłużej, mogłabym się stać częścią tego krajobrazu – ciemnym, powykręcany, pachnącym drzewem.

Szłam bardzo powoli, pragnęłam dotrzeć do Lee, ale niezbyt szybko. Prawie nie czułam ciężaru zapasów, które niosłam. Przypominałam sobie, jak dawno temu – miałam wrażenie, że minęły całe wieki – myślałam o Piekle i o tym, że tylko ludzie mogli mu nadać taką nazwę. Tylko ludzie wiedzieli, czym jest piekło, byli znawcami w tej dziedzinie. Zastanawiałam się wtedy, czy piekłem są ludzie. Na przykład pustelnik. Co takiego się wydarzyło w tamtą okropną Wigilię Bożego Narodzenia? Popelniał akt wielkiej miłości czy może akt wielkiego zła?... Ale właśnie na tym polegał cały kłopot: jako człowiek mógł zrobić jedno albo drugie lub jedno i drugie. Inne istoty nie miały takich problemów. Po prostu robiły to, co robiły. Nie interesowało mnie, czy pustelnik był świętym, czy diabłem, ale miałam wrażenie, że kiedy oddał te dwa strzały, skazał się na Piekło, na które skazali go ludzie z jego otoczenia. Wepchnęli go tutaj i sam się tutaj wepchnął. Wcale nie musiał przebywać tej całej drogi przez góry aż do dzikiej kotliny gorąca, skał i zarośli. Niósł piekło w sobie, tak jak my wszyscy – mały bagaż na plecach, którego przeważnie nie zauważamy, albo ogromną górę cierpienia, która przytłacza nas swoim ciężarem.

Ja też miałam krew na rękach, podobnie jak pustelnik, i tak jak nie potrafiłam ocenić, czy jego czyny były dobre, czy złe, tak nie umiałam ocenić własnych. Czy zabiłam z miłości do przyjaciół, w ramach chwalebnej krucjaty, by ratować przyjaciół i rodzinę, by



uwolnić nasz kraj? A może zabiłam, bo własne życie ceniłam wyżej niż cudze? Czy postąpiłabym słusznie, zabijając jeszcze dziesięć osób, żeby utrzymać się przy życiu? A sto? Tysiąc? W którym momencie skazałabym się na piekło, o ile już tego nie zrobiłam? Biblia mówi: „Nie zabijaj”, a potem opisuje setki historii o tym, jak ludzie zabijają się nawzajem i zostają bohaterami, tak jak Dawid, który zabił Goliata. To mi wcale nie pomagało.

Nie czułam się jak przestępczyni, ale i nie czułam się jak bohaterka.

Siedziałam na kamieniu na szczycie Mount Martin i rozmyślałam o tym. Księżyc świecił tak jasno, że wszystko widziałam. Drzewa, głązy, a nawet wierzchołki innych gór, które rzuciły na sąsiednie granie olbrzymie czarne cienie. Ale nigdzie nie było widać maleńkich ludzi, którzy pełzli po pejzażu jak robaczki, dokonując potwornych i pięknych czynów. Widziałam jedynie własny cień, rzucany na skałę przez księżyc za moimi plecami. Ludzie, cienie, dobro, zło, niebo, piekło: wszystko to tylko etykiety, nic więcej. Ludzie sami stworzyli te przeciwieństwa: natura ich nie dostrzegała. W naturze nawet życie i śmierć nie były przeciwieństwami – po prostu jedno stawało się przedłużeniem drugiego.

Jedyne, co przychodziło mi do głowy, to zaufać instynktowi. Właściwie tylko to mi pozostało. Ludzkie prawa, prawa moralne, prawa religijne – one wszystkie wydawały się sztuczne i proste, prawie dziecinne. Czułam w sercu sens poszukiwania dobra – często niewiele większy niż zwyczajne pragnienie – i musiałam w niego wierzyć. Nazwijcie to, jak chcecie – instynktem, sumieniem, wyobraźnią – ale przypominało to nieustanne analizowanie wszystkiego, co robię, w odniesieniu do pewnych wewnętrznych granic: ciągle tylko analizowanie i analizowanie. Być może przestępcy wojenni albo ludobójcy odnosili się do tych samych granic i znajdowali zachętę, której potrzebowali, aby dalej iść obraną drogą. Skąd miałam wiedzieć, że się od nich różnię?

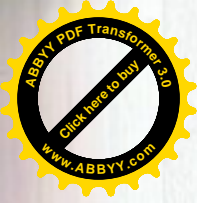


Wstałam i powoli okrążyłam wierzchołek Mount Martin. Od tych myśli naprawdę bolała mnie głowa, ale nie mogłam się ich pozbyć. Czułam ich bliskość, czułam, że jeśli je złapię i nie wypuszczę, będę mogła się ich pozbyć, wywlec je z mojego podstępного mózgu. Tak, dostrzegałam coś, co mnie odróżniało. To była pewność. Znani mi ludzie, którzy snuli brutalne myśli i robili brutalne rzeczy – rasiści, seksiści, bigoci – najwyraźniej nigdy nie wątpili w siebie. Zawsze byli całkowicie pewni swojej racji. Pani Olsen, która pakowała uczniów do szkolnej kozy częściej niż reszta grona nauczycielskiego razem wzięta i ciągle narzekała na „standardy” naszej szkoły i na „brak dyscypliny” wśród „tych dzieci”; mieszkający niedaleko nas pan Rodd, który nigdy nie zatrudniał pracownika dłużej niż sześć tygodni – w ciągu dwóch lat zwolnił czternastu – bo wszyscy byli „leniwi”, „głupi” albo „bezczelni”; państwo Nelson, którzy wywozili syna pięć kilometrów od domu, żeby ukarać go za jakieś przewinienie, wyrzucali go z samochodu i kazali mu wracać piechotą, a potem wypędzili go na dobre, kiedy miał siedemnaście lat i w jego pokoju znaleźli strzykawki – ci wszyscy ludzie wydawali mi się paskudni. I mieli pewną cechę wspólną: absolutną pewność, że to oni mają rację, a reszta ludzi się myli. Prawie im zazdrościłam siły tej wiary. Dzięki niej ich życie musiało być znacznie łatwiejsze.

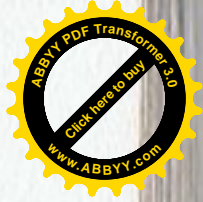
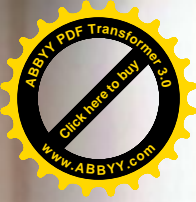
Być może mój brak pewności siebie, mój przekorny nawyk kwestionowania i wątpienia we wszystko, co mówiłam albo robiłam, był darem, dobrym darem, czymś, co na krótką metę sprawia ból, ale na dłuższą metę może prowadzić do... do czego? Do sensu życia?

Mogło przynajmniej dać mi szansę dowiedzenia się, co powinnam, a czego nie powinnam robić.

Całe to myślenie zmęczyło mnie bardziej niż górską wędrówkę. Księżyc świecił jaśniej niż kiedykolwiek, ale nie mogłam zostać na górze. Wstałam i ruszyłam w dół, po kamieniach, ku



eukaliptusowi i początkowi szlaku. Po powrocie do obozowiska stwierdziłam z niesmakiem, że Lee głęboko zasnął. Trudno go było winić, biorąc pod uwagę późną porę, tylko że przez cały wieczór czekałam na chwilę, gdy go zobaczę i znowu porozmawiamy. W końcu to przez niego przechodziłam przez te mentalne udręki. To on je wywołał tekstami o mojej głowie i moim sercu. Teraz musiałam się zadowolić wpełznięciem do jego namiotu i pospaniem obok niego. Pocieszała mnie jedynie myśl, że obudzi się rano i zobaczy, że ze mną spał, nawet o tym nie wiedząc. Uśmiech, który w związku z tym pojawił się na mojej twarzy, był tam chyba aż do chwili, w której zapadłam w sen.



17

Robyn, Kevin, Corrie i Chris promienieli. Na ich widok też nie było trudno się rozpromienić. Czułam ogromną ulgę, ogromną radość, że znowu są z nami. Uściskałam ich mocno, po raz pierwszy uświadamiając sobie, jak bardzo się o nich martwiłam. Ale, o dziwo, wszystko skończyło się dobrze. Było cudownie.

Niewiele powiedzieli Homerowi i Fi, bo byli zmęczeni i nie chcieli powtarzać wszystkiego od początku dla mnie i dla Lee. Wspomnieli tylko, że nie widzieli nikogo z naszych rodzin, ale udało im się dowiedzieć, że wszyscy są bezpieczni i przebywają na terenie wystawowym. Na tę wieść poczułam tak ogromną ulgę, że musiałam czym prędzej usiąść, jakby uszło ze mnie powietrze. Lee oparł się o drzewo i ukrył twarz w dłoniach. Chyba poza tym nic więcej się dla nas nie liczyło. Jasne, chcieliśmy im zadać mnóstwo pytań, ale widzieliśmy, jak bardzo są zmęczeni, więc pozwoliliśmy im spokojnie zjeść śniadanie, zanim zaczęli opowiadać dalej. A z dobrym śniadaniem w brzuchach – nawet z kilkoma świeżymi jajkami ugotowanymi pospiesznie i ryzykownie na małym ognisku, które natychmiast zgasiliśmy – usiedli, pełni jedzenia i adrenaliny, by przekazać nam resztę wieści. Przeważnie mówiła Robyn. Już kiedy wyruszali, była ich nieoficjalną liderką i z zainteresowaniem patrzyłam, jak sprawuje przywództwo. Ja i Lee siedzieliśmy na pniu

i trzymaliśmy się za ręce, Fi opierała się o Homera, ulokowana między jego nogami rozsuniętymi na kształt litery V, a Kevin leżał na ziemi, trzymając głowę na kolanach Corrie. Wyglądaliśmy jak idealne pary z reklamy biura matrymonialnego i chociaż nadal się zastanawiałam, czy przypadkiem nie miałabym ochoty zamienić się miejscami z Fi, i tak byłam szczęśliwa. Szkoda tylko, że romans Chrisa z Robyn nie miał żadnych szans, bo wtedy wszyscy mogliśmy zostać idealnymi parami.

Chris przyniósł kilka paczek fajek i dwie butelki porto, które – jak to określił – „wziął na pamiątkę”. Usiadł obok mnie na pniu, ale kiedy zapalił, grzecznie poprosiłam, żeby się odsunął. Chcąc nie chcąc, zastanawiałam się, jak daleko możemy się posunąć w zbieraniu tych „pamiątek”. Potem przypomniałam sobie, o czym myślałam w nocy. Jeśli zamierzaliśmy zignorować prawo obowiązujące w tym kraju, musieliśmy stworzyć własne normy. Nie miałam żadnego problemu z przepisami, które złamaliśmy do tej pory – można nam było zarzucić kradzież, prowadzenie pojazdu bez uprawnień, umyślne niszczenie mienia, napaść, nieumyślne spowodowanie śmierci, albo i morderstwo, niezatrzymanie się przed znakiem stopu, prowadzenie pojazdu bez świateł, kradzież z włamaniem i nie wiem co jeszcze. Wyglądało na to, że wkrótce dopuścimy się także picia alkoholu przez osoby niepełnoletnie – chociaż muszę przyznać, że nie po raz pierwszy w życiu. Ale tym też się nie przejmowałam: zawsze myślałam, że ten przepis ma w sobie głupotę typową dla większości przepisów. W wieku siedemnastu lat, jedenastu miesięcy i dwudziestu dziewięciu dni jesteś zbyt niedojrzały, by dotknąć alkoholu, ale dzień później możesz się nawalić na środku chodnika. Nie brzmi zbyt sensownie. Ale mimo to nie podobało mi się, że Chris zamierza kraść alkohol i papierosy kiedykolwiek i skądkolwiek zechce. Pewnie dlatego, że nie były tak niezbędne jak inne rzeczy, które podkradaliśmy. Przyznaję, wzięłam trochę czekolady od Gruberów, co w zasadzie

było równie naganne, tylko że w szkole przetrwania dostawaliśmy czekoladę jako źródło energii, więc czekolada miała przynajmniej jakieś zalety. W przeciwieństwie do porto i nikotyny.

Zastanawiałam się, co będzie, jeśli Chris przyniesie do Piekla coś mocniejszego albo jeśli będzie próbował posadzić trawę lub coś w tym rodzaju. Tymczasem Robyn rozpoczęła jednak swoją wielką opowieść, więc przestałam myśleć o moralności i skupiłam się na relacji z Wirrawee.

– Dobra, chłopcy i dziewczęta – zaczęła. – Chcecie usłyszeć bajeczkę? Mamy za sobą całkiem ciekawe dwa dni. Chociaż – dodała, patrząc na mnie i na Lee, a potem na Homera i na Fi – widzę, że wy też się nie nudziliście. Chyba nie powinniśmy zostawić was tu po raz drugi.

– Dobra, mam, opowiadaj – powiedział Homer.

– W porządku, ale pamiętajcie, że mam was na oku. No tak. Od czego by tu zacząć? Przede wszystkim, jak już wspomnieliśmy, nie widzieliśmy nikogo z naszych najbliższych, ale słyszeliśmy o nich. Ludzie, z którymi rozmawialiśmy, przysięgali, że naszym rodzinom nic złego się nie stało. W zasadzie na terenie wystawowym wszyscy są w dobrej formie. To, o czym żartowaliśmy jakiś czas temu, okazało się prawdą: mają tam mnóstwo dobrego jedzenia. Jedzą babeczki, torty, biszkopty, domowy chleb, najlepsze jajka, popisowe ciasta... Zapomniałam o czymś?

– Placki z owocami – dodała Corrie, która była ekspertką w tej dziedzinie. – Dżemy, konfitury i marynaty. Mieszankę najlepszych ciastek.

– Dobra, wystarczy – zaprotestowały ze trzy osoby.

– Poza tym – ciągnęła Robyn – zjadają bydło. Naprawdę szkoda, bo to najlepsze egzemplarze w całym okręgu. Podsumowując, żywią się żarciem najlepszej jakości. Codziennie rano pieką chleb w biurze pracy tymczasowej. Mają tam dwa piece. Od jakiegoś czasu brakuje im tylko warzyw, bo zjedli już całą wystawę Młodych

Rolników. Pozwolę sobie dodać, że pomagałam ją stworzyć dzień przed naszą wyprawą.

– Przecież nie należysz do Młodych Rolników – powiedziałam.

– Ja nie, ale Adam tak – usprawiedliwiła się nieco zakłopotana.

Kiedy gwizdy i zwierzęce odgłosy świadczące o naszej niedojrzałości w końcu ucichły, niezrażona ciągnęła dalej:

– Ostatnio zaszły jednak pewne zmiany – powiedziała. – Codziennie teren wystawowy opuszczają grupki ludzi idących do pracy. Składają się z ośmiu albo dziesięciu osób i pilnuje ich trzech albo czterech strażników. Wykonują takie zadania jak sprzątanie ulic, grzebanie ludzi, zdobywanie jedzenia, w tym warzyw, i pomaganie w szpitalu.

– Więc szpital działa? Tak przypuszczaliśmy.

– Działa. Ellie zadbała o dopływ pacjentów.

Chyba od razu pożałowała tych słów.

– Co? Słyszeliście coś?

Pokręciła głową.

– Nie, nie, nic.

– Och, daj spokój, Robyn, nie rób mi tego. Czego się dowiedzieliście?

– Niczego, Ellie. Było kilka ofiar. Przecież wiesz.

– Więc czego się dowiedzieliście?

Robyn wyglądała na zakłopotaną. Wiedziała, że będę tego żałowała, ale zaszłam już za daleko, żeby się powstrzymać.

– Robyn! Przystań mnie traktować jak dziecko! Po prostu mi powiedz!

Skrzywiła się, ale w końcu powiedziała:

– Dwóch żołnierzy, przy których wybuchła kosiarka, prawdopodobnie zginęło. I dwie osoby, które przejechałyśmy buldożerem.

– Aha – powiedziałam

Mówiła o tym spokojnym, beznamiętnym tonem, ale i tak przeżyłam okropny szok. Moja twarz zrobiła się mokra od potu

i zakręciło mi się w głowie. Lee mocno chwycił mnie za rękę, ale prawie tego nie poczułam. Corrie podeszła i usiadła z drugiej strony, tam gdzie wcześniej siedział Chris. Mocno mnie przytuliła.

Po chwili Chris zapytał:

– Jest inaczej niż na filmach, co?

– Tak – potwierdziłam. – Wszystko w porządku, Robyn. Mów dalej.

– Jesteś pewna?

– Jestem pewna.

– W szpitalu zmarło jeszcze kilka innych ofiar. Na początku przez parę dni toczyło się wiele walk i mnóstwo ludzi zostało rannych albo zginęło. Żołnierzy i cywilów. Nie na terenie wystawowym, tam zaskoczenie było tak ogromne, że cały plac zajęli w dziesięć minut, ale w mieście i w całym okręgu. Walczyli ci, którzy nie przyjechali na festyn. Nadal walczą. Jest kilka grup partyzantów, chyba zwykłych ludzi, jak my, którzy gdzieś się ukrywają i przy każdej okazji atakują patrole. Ale w samym mieście panuje spokój. Wygląda na to, że żołnierze opróżnili wszystkie kryjówki i nabrali pewności, że kontrolują sytuację.

– Dobrze traktują ludzi?

– Przeważnie tak. Na przykład pacjenci, którzy w dniu inwazji leżeli w szpitalu, nadal tam są i mają zapewnioną opiekę. Ludzie, z którymi rozmawialiśmy, twierdzą, że żołnierze chcą mieć czyste ręce. Wiedzą, że prędzej czy później zjawi się tu ONZ i Czerwony Krzyż i nie chcą się im narazić. Ciągłe mówią o „czystej” inwazji. Myślą, że jeśli nikt nie będzie wspominał o obozach koncentracyjnych, torturach, gwałtach i tak dalej, będzie mniejsze ryzyko interwencji ze strony innych krajów, takich jak Stany Zjednoczone.

– Całkiem sprytnie – powiedział Homer.

– Tak. Ale mimo to tylko w samym Wirrawee zginęło około czterdziestu osób. Na przykład pan Althaus. Cała rodzina Francisów. Pan Underhill. Pani Nasser. John Leung. A niektórzy zostali pobici za odmowę wykonywania rozkazów.

Zamilkliśmy, byliśmy w szoku. Ze wszystkich tych osób dobrze znałam tylko pana Underhilla. Prowadził w mieście zakład jubilerski. Był tak łagodnym człowiekiem, że nie miałam pojęcia, czym mógł rozzłościć żołnierzy. Może próbował ich powstrzymać, kiedy okradali jego sklep.

– Więc z kim rozmawialiście? – zapytał w końcu Lee.

– A tak, właśnie do tego zmierzałam. Opowiadałam to wszystko jak popadnie. Dobra, więc było tak: pierwszej nocy bez problemów dostaliśmy się do miasta. Około wpół do drugiej dotarliśmy pod dom mojej nauczycielki muzyki. Klucz był tam, gdzie zawsze. Jak wspomniałam, jej dom to dobra kryjówka, bo jest w nim mnóstwo drzwi i okien, przez które można uciec. Na przykład przez okno na piętrze można wyjść na dach, wspinać się na gruby konar i w kilka sekund wejść sąsiednimi drzwiami. Poza tym osoba stojąca na warcie ma świetny widok na ulicę i podjazd, a tylne ogrodzenie można sforsować chyba tylko czołgiem. Więc było spoko. Kiedy tylko trochę się rozejrzeliśmy, zebraliśmy kilka gratów i urządziliśmy fałszywe obozowisko w sali bankietowej. Nieźle się przy tym bawiliśmy: rozłożyliśmy kilka magazynów, zdjęć i pluszaków, żeby wyglądało autentycznie. Potem Kevin stanął na warcie, a my poszliśmy spać. Około jedenastej stałam na warcie i nagle zobaczyłam na ulicy jakichś ludzi. Był wśród nich pan Keogh, który kiedyś pracował na poczcie.

– Masz na myśli tego łysego staruszka?

– Tak. Chyba przeszedł na emeryturę. No więc jak się domyślacie, szybko obudziłam pozostałych i obserwowaliśmy, co się dzieje. W sumie naliczyliśmy sześć osób z miasta, których pilnowało trzech żołnierzy. Mieli pikapa i ciężarówkę. Wyglądało na to, że po kolei opróżniają domy. Dwie osoby wchodziły do środka, a żołnierze czekali na zewnątrz. Ci w środku wracali mniej więcej po dziesięciu minutach, niosąc zielone worki na śmieci wypełnione różnymi rzeczami. Niektóre worki wrzucali prosto do

ciężarówce, ale inne były sprawdzane przez żołnierzy i układane w pikapie. Więc kiedy się do nas zbliżyli, schowaliśmy się w różnych częściach domu i czekaliśmy na nich. Ja byłam w kuchni, w schowku na szcztoki. Mniej więcej po dwudziestu minutach wszedł pan Keogh. Otworzył lodówkę i zaczął z niej wyjmować wszystkie śmierdzące, zepsute produkty. My nie potrafiliśmy się do tego zmusić na pusty żołądek, kiedy o wpół do drugiej w nocy weszliśmy do domu. „Panie Keogh! – szepnęłam. – To ja, Robyn Mathers”. Wyobraźcie sobie, nawet nie mrugnął. Pomyślałam, że facet ma nerwy ze stali. Ale potem sobie przypominałam, że jest prawie całkiem głuchy. W ogóle mnie nie słyszał. Więc otworzyłam drzwi do schowka, podkrađłam się do niego od tyłu i stuknęłam go w ramię. Wiem, że przed chwilą Chris powiedział, że wojna nie wygląda tak jak w filmach, ale to był wyjątek. Facet podskoczył, jakby dotknął przewodu pod napięciem. Musiałam go jakoś uspokoić. Miałam nadzieję, że nie dostanie zawału. Ale doszedł do siebie. Potem zaczął bardzo szybko mówić. I cały czas pracował. Powiedział, że jeśli będzie się ociągał, żołnierze nabiorą podejrzeń i wejdą do środka. Wyjaśnił, że ich zadanie polega na przygotowaniu domów do ponownego zamieszkania: usuwali spleśniałe jedzenie, martwe zwierzęta i wynosili cenne przedmioty, na przykład biżuterię. Powiedział mi o naszych bliskich i o innych sprawach. Dodał, że lada dzień robotnicy wyruszą na wieś, żeby zaopiekować się zwierzętami i na nowo uruchomić gospodarstwa. Powiedział, że zamierzają skolonizować cały kraj i zasiedlić go swoimi ludźmi, między których rozdziela wszystkie farmy, a nam będzie wolno wykonywać tylko niewdzięczne zadania, pewnie w rodzaju czyszczenia toalet. Potem musiał już iść, ale powiedział, że po Barrabool Avenue będą sprzątać przy West Street, więc jeśli się ukryję w jednym z tamtejszych domów, będziemy mogli jeszcze porozmawiać. A potem zniknął. Kiedy wyszli, odbyliśmy następną szybką konferencję. Kevin rozmawiał z jakąś panią

Lee. Weszła do sypialni, w której się schował, i przekazała mu jeszcze więcej informacji. Uzgodniliśmy, że pójdziemy na West Street i spróbujemy to powtórzyć. Dotarliśmy tam dość łatwo, szliśmy od strony ogrodów i zajrzeliśmy do kilku różnych domów. Dwa pierwsze nadal były zamknięte, ale trzeci już nie, więc ukryliśmy się w środku. Ja weszłam pod łóżko w głównej sypialni. Chris stał na czatach i ostrzegł nas, kiedy się zbliżali, ale wcześniej musieliśmy czekać prawie dwie godziny. Było trochę nudno. Jeśli chcecie wiedzieć, ile sprężyn jest pod łóżkiem w domu przy West Street 28, mogę wam powiedzieć. Ale w końcu ktoś się zjawił. Nie znałam tej kobiety, ale miała zielony worek, podeszła do toaletki i zaczęła ją opróżniać. „Przepraszam, nazywam się Robyn Mathers”, szepnęłam, a ona, nie odwracając się, odpowiedziała: „O, dobrze, pan Keogh uprzedził, że gdzieś tutaj będziecie”. Rozmawialiśmy kilka minut. Cały czas leżałam pod łóżkiem, wysunęłam tylko głowę. Powiedziała, że nie znosi tej roboty, ale czasami żołnierze sprawdzają dom po ich wyjściu i wymierzają kary, jeśli się okaże, że zostało w nim coś cennego. „Jeśli coś wygląda na pamiątkę rodzinną, często ukrywam to gdzieś w pokoju – powiedziała – ale nie wiem, czy na dłuższą metę na cokolwiek się to przyda”. Dodała, że żołnierze wybierają do tej roboty najmniej niebezpiecznych jeńców, głównie starsze osoby i dzieci, którzy wiedzą, że jeśli spróbują uciec albo wykręcić jakiś numer, kara spadnie na ich rodziny przetrzymywane na terenie wystawowym. „Dlatego nie będę z tobą zbyt długo rozmawiać, skarbie”, zapowiedziała. Miła z niej była staruszka. Zdradziła mi też, że kluczem do wszystkiego jest autostrada biegnąca z Zatoki Szewca. To dlatego uderzyli w nasz region tak mocno i tak wcześnie. Przywożą zaopatrzenie statkami i transportują je autostradą w ciężarówkach.

— Tak jak przypuszczałam – wtrąciłam. Nigdy siebie nie podejrzewałam o bycie strategicznym geniuszem, ale ucieszyłam się, że miałam rację co do zatoki.

Robyn ciągnęła dalej:

— No więc gadałyśmy sobie jak stare kumpelki. Opowiedziała mi nawet, że kiedyś pracowała na pół etatu jako sprzątaczką w aptece, pochwaliła się, ile ma wnucząt, i wymieniła ich imiona. Najwidoczniej zapomniała, że nie może długo rozmawiać. Jeszcze dwie minuty i pewnie zaprosiłaby mnie do kuchni na kubek herbaty, ale nagle usłyszałam na korytarzu czyjeś ciche kroki. Wsunęłam głowę pod łóżko jak żółw, tyle że znacznie szybciej. A w następnej chwili tuż przed moim nosem stanęła para butów. Były czarne, ale bardzo brudne i podrapane. Należały do żołnierza, który zakradł się korytarzem, próbując ją przyłapać. Nie miałam pojęcia, co robić. Próbowałam sobie przypomnieć wszystkie chwytty, o których kiedykolwiek słyszałam, ale jedyne, co mi przyszło do głowy, to kop w jaja.

— Tylko jaja jej w głowie – skomentował Kevin.

Robyn go zignorowała.

— Byłam przerażona, bo nie chciałam, żeby ta miła staruszka miała przeze mnie kłopoty. Nawet nie wiedziałam, jak ma na imię. Nadal nie wiem. Poza tym nie chciałam dać się zabić. To zabawne, ale byłam tak sparaliżowana, że nie mogłam się ruszyć. Usłyszałam, jak ten żołnierz mówi bardzo podejrzliwym tonem coś w stylu: „Ty rozmawiać”. Dotarło do mnie, że wpadłam w tarapaty. Przeturlałam się po podłodze na drugą stronę łóżka i wypelzłam spod narzuty. Znalazłam się w dziurze między łóżkiem a ścianą, musiała mieć mniej więcej metr szerokości. Usłyszałam, że staruszka nerwowo się śmieje i odpowiada: „Mówiłam do swojego odbicia w lustrze”. Słabo to zabrzmiało i żołnierz doszedł do takiego samego wniosku. Mogłam liczyć tylko na swój słuch i na swoje domysły. Wiedziałam, że przeszuka pokój, zaczynając pewnie od uniesienia narzuty i zajrzenia pod łóżko. Potem je okrąży i albo zajrzy do szafy, albo zerknie na tę dziurę, w której właśnie leżałam. To były jedyne miejsca, w których ktoś mógł się ukryć. Pokój był skąpo umeblowany, niezbyt przytulny. No

więc zaczęłam nasłuchiwać, czekając na cichy szelest podnoszonej narzuty, i oczywiście w pokoju było tak cicho, że go usłyszałam. W zasadzie wydawało mi się, że w tej ciszy słyszę, jak staruszcze bije serce. Bo na pewno słyszałam bicie własnego. Nie wiem, jak to możliwe, że nie dotarło do uszu żołnierza. W każdym razie problem polegał na tym, że nie usłyszałam drugiego cichego szelestu, który powinien był towarzyszyć opuszczeniu narzuty. Umierałam ze strachu, zastanawiając się, czy nadal zagląda pod łóżko, czy może je okrąży i zaraz mnie zauważy. Boże, nasłuchiwałam tak uważnie, że czułam, jak rosną mi uszy. Jakbym po bokach głowy miała dwa talerze do odbioru telewizji satelitarnej.

– A nie masz? – zapytał Kevin, który nigdy nie przepuszczał takiej okazji.

– I rzeczywiście coś usłyszałam: najcichsze skrzyknięcie, chyba jego buta, które sugerowało, że facet okrąży łóżko. Nie słyszałam już, jak bije moje serce. Pewnie na chwilę stanęło. No więc pomyślałam: przecież nie mogę tak leżeć i czekać, aż mnie zastrzeli. Muszę zaryzykować. I przeturlałam się z powrotem pod łóżko. A w następnej sekundzie zobaczyłam jego buty w szparze, w której przed chwilą leżałam. Frędzle narzuty kołysały się lekko w miejscu, gdzie je trąciłam, więc przeżywałam naprawdę okropne chwile, zastanawiając się, czy on też je zauważy. Ja miałam je jak na dłoni, od razu rzucały się w oczy. Wydawało mi się, że sterczy tam w nieskończoność. Nie wiem, na co patrzył, nie było tam zbyt dużo do oglądania, tylko jakiś obraz przedstawiający długi most nad urwiskiem, pewnie gdzieś w Szwajcarii. Po chwili buty się odwróciły i wyraźnie usłyszałam, jak żołnierz podchodzi do szafek i po kolei je otwiera. Później powiedział do staruszki: „Idziemy, następny dom”, i wyszli. Leżałam tam bardzo długo, myślałam, że to może być pułapka, ale w końcu przyszedł Kevin i powiedział, że już sobie poszli. I tak byłam w szoku. Chyba nie muszę wam mówić, jak się wtedy czułam. Corrie też rozmawiała

z kimś w kuchni, prawda? – zwróciła się do Corrie, która potwierdziła lekkim skinieniem głowy. – To wtedy dowiedziałas się o ofiarach naszych dwóch akcji?

– Tak – powiedziała Corrie. – Zdaje się, że wzbudziliśmy sporą sensację. Rozmawiałam z jakimś zabawnym małym facetem koło pięćdziesiątki. Też nie wiem, jak się nazywał. Nie chciał ze mną zbyt długo gadać. Bał się, że nas przyłapią. Ale powiedział, że w okolicy działają grupki partyzantów. Ta teoria o „czystej” inwazji pochodzi właśnie od niego.

– No więc – podjęła Robyn – na tym skończyły się nasze potajemne pogaduszki z ludźmi sprzątającymi w domach. Wróciliśmy do naszej kryjówki i siedzieliśmy tam aż do zmroku. – Relacjonując późniejsze wydarzenia, patrzyła na Homera. Wyglądała tak, jakby miała lekkie poczucie winy, ale z drugiej strony odważnie przedstawiła zmiany, jakie wprowadzili do planu. – Słuchajcie – powiedziała. – Wiem, że ułożyliśmy te superdopracowane plany, zgodnie z którymi Kev i Corrie mieli szpiegować na terenie wystawowym i tak dalej, ale wszystko wygląda inaczej, kiedy człowiek już się tam znajdzie. Przez cały czas w Wirrawee dbaliśmy o to, żeby nie stracić się nawzajem z oczu.

– Młodzieńcza miłość – zażartowałam. – Jakie to piękne.

Robyn ciągnęła dalej, nie zwracając na mnie uwagi:

– Więc drugą noc też spędziliśmy razem. Na początek poszliśmy na autostradę, żeby zobaczyć, co się tam dzieje. Okazało się, że panuje na niej naprawdę duży ruch. W ciągu zaledwie godziny minęły nas dwa konwoje. W jednym jechało czterdzieści pojazdów, a w drugim dwadzieścia dziewięć. Całkiem sporo jak na małą, starą wiejską drogę. Nie widziałam takich tłumów od dnia parady surferów. Potem wróciliśmy do miasta i poszliśmy na teren wystawowy. Baliśmy się jak cholera, pewnie dlatego, że pamiętaliśmy, co was tam spotkało. Moim zdaniem Corrie i Kev wykazali dużo odwagi, idąc tam po raz drugi. A wierzcie mi, to

niebezpieczne miejsce. Mają tam swoją główną siedzibę i koszary, a w dodatku trzymają ludzi z Wirrawee, więc pewnie dlatego tak dobrze go strzegą. Ściągli większość drzew na parkingu, pozbawiając nas dojścia, które zapewniłoby jakąś osłonę. Pewnie właśnie o to im chodziło. Poza tym cały teren otoczyli drutem kolczastym, mniej więcej pięćdziesiąt metrów od głównego ogrodzenia. Nie wiedziałam, że w Wirrawee mamy aż tyle drutu. Na dodatek zamontowali nowe oświetlenie, reflektory, które oświetlają całą okolicę, jakby był środek dnia. Fruwa tam mnóstwo zakręconych ptaków. Mogliśmy jedynie przyjrzeć się temu od strony Racecourse Road, gdzie spędziliśmy około godziny. Chyba za bardzo się baliśmy, żeby podejść bliżej, ale szczerze mówiąc, raczej nie ma tam nic do oglądania. Tylko pełno wartowników i patroli. Jeśli ktośkolwiek myślał o tym, żeby wpaść tam w moro, trochę postrzelać i wszystkich uwolnić, od razu może sobie dać spokój. Takie fantazje są dobre w telewizji. To jest prawdziwe życie.

Mówiąc szczerze – a przecież przysięgłam, że nie będę ściemniać – wszyscy czasami miewaliśmy takie złudzenia. To były tylko marzenia na jawie, ale miały ogromną moc: uwolnić naszych najbliższych, wszystko naprawić, zostać bohaterami. W głębi serca – chociaż z poczuciem winy i wstydem – odczułam jednak ulgę, kiedy to marzenie zostało tak bezwzględnie przekreślone. W rzeczywistości perspektywa zrobienia czegoś takiego była tak przerażająca i straszliwa, że już na samą myśl robiło mi się słabo. Gdybyśmy spróbowali, na pewno byśmy zginęli, umarlibyśmy z wyprutymi flakami, rozwleczeni po parkingu obok terenu wystawowego, oblepieni muchami i gnijący w słońcu. Nie mogłam się pozbyć tej okropnej wizji, która prawdopodobnie zrodziła się ze wspomnienia wszystkich martwych owiec widywanych od czasów dzieciństwa.

– Bardzo się cieszyliśmy, kiedy w końcu się stamtąd wycofaliśmy – ciągnęła Robyn. – Wróciliśmy do miasta i przemykaliśmy

cichaczem jak nietoperze, próbując znaleźć dentystę albo kogo innego. A to mi przypomina – powiedziała, posyłając Lee słodki uśmiech – że pora zdjąć ci szwy.

Lee wyglądał na zestresowanego. A ja próbowałam sobie wyobrazić „przemykającego cichaczem” Kevina. Trudne to było zadanie.

– Nikogo nie spotkaliśmy – powiedziała Robyn. – Nie było tam żywej duszy. Prawdopodobnie część osób nadal się ukrywa, ale nie chcą się wychylać. – Szeroko się uśmiechnęła i już odprężona dodała: – Oto koniec naszego sprawozdania dla narodu. Dziękujemy i dobranoc.

– Hej, rzeczywiście moglibyśmy zostać narodem – podchwycił Kevin. – Możliwe, że tylko my nadal jesteśmy na wolności, więc wygląda na to, że jesteśmy rządem i tak dalej, prawda? Zaklepuję stanowisko premiera.

– Ja będę komisarzem policji – powiedział Chris.

Każde z nas wybrało sobie jakąś funkcję albo ją dostało. Homer został ministrem obrony i szefem sztabu generalnego. Lee okrzyknęliśmy emerytem roku, ze względu na jego nogę. Robyn chciała być ministrem zdrowia, ale zamiast tego mianowaliśmy ją arcybiskupem. Corrie pragnęła być ministrem do spraw Kevina. Czasami naprawdę potrafiła przyprawić człowieka o mdłości. Fi jako dziecko prawników mianowaliśmy prokuratorem generalnym. Ja zostałam nadworną poetką i byłam z tego całkiem zadowolona.

Może właśnie dlatego Robyn wpadła na pomysł, żebym to wszystko spisała.

– A teraz wasza kolej – powiedział w końcu Chris. – Co tutaj robiliście, oprócz pracowania nad opalenizną?

Widzieli już zagrodę dla kur i skosztowali jajek. Ale opowiedzieliśmy o reszcie, zwłaszcza o chatce pustelnika, którą uznaliśmy za dobrą potencjalną bazę awaryjną.

– Chcę poszukać drogi z Piekła nad rzekę Holloway – oznajmiłam. – Jestem pewna, że właśnie do niej wpada ten strumyk.

A jeśli znajdziemy jakąś dodatkową drogę, będziemy tu jeszcze bezpieczniejsi. Kiedy już dostaniemy się nad Holloway, będziemy mieli dostęp do całego obszaru Risdon.

Ani ja, ani Lee nie powiedzieliśmy im o metalowej kasetce z dokumentami pustelnika. Nie było żadnego konkretnego powodu. Nawet tego ze sobą nie uzgodniliśmy. Po prostu wszystkie tamte szczegóły wydały nam się zbyt intymne.

– Słuchajcie, *à propos* kur – powiedział Kevin. – Myślałem o tym, żeby tu ściągnąć inne zwierzęta. Nie jestem jaroszem i chcę jeść mięso. Chyba znalazłem rozwiązanie.

Czekaliśmy z zaciekawieniem. Pochylił się i poważnym, niemal nabożnym tonem wypowiedział jedno słowo:

– Fretki.

– O nie – pisnęła Corrie. – Faj! Są obrzydliwe! Nie znoszę ich.

Kevin wydawał się zraniony takim brakiem lojalności ze strony jedynej osoby, na którą zazwyczaj mógł liczyć.

– Nie są obrzydliwe – powiedział urażonym tonem. – Są czyste, inteligentne i bardzo przyjazne.

– Tak, takie przyjazne, że wdrapują się na ludzi po nogawkach – wtrącił Homer.

– Jak smakują? – zainteresowała się Fi. – Naprawdę można je jeść?

– Jasne, między dwiema kromkami chleba. Tylko że wcześniej nie można ich zabijać. Jada się je na żywca, a one wiją się w kanapce i popiskują. To najświeższe jedzenie na świecie – Kevin próbował być dowcipny. Potem udzielił Fi lekcji na temat fretek, po której stało się jasne, że sam też niewiele o nich wie.

– To prawda, że część starszych mieszkańców Wirrawee, emerytowanych górników, hoduje fretki i żywi się królikami – powiedział Homer. – Nie mają kasy, więc zadowolają się takim mięsem.

– Widzicie? – ucieszył się Kevin, siadając na piętach.

Pomysł był całkiem sprytny. Ja też nie miałam pojęcia o fretkach i królikach, nie licząc tego, że aby złapać królika, trzeba

przykryć jego norkę siatką. I chociaż w górach raczej nie żyło zbyt dużo królików, w naszym regionie nigdy ich nie brakowało.

Wtedy Chris ostudził nasz zapal.

– Ale czy fretki nie będą martwe, skoro ich właściciele zostali wzięci do niewoli albo zabici? – zapytał. – Przecież ktoś musi się nimi opiekować.

Kevin był wyraźnie zadowolony z siebie.

– Zazwyczaj tak – przyznał. – Ale mój wujek, ten który mieszka przy zjeździe na Stratton, pozwala im biegać wolno. Ma ich mnóstwo i są nauczone, żeby wracać, kiedy gwizdze. Zupełnie jak psy. Wiedzą, że po tym sygnale dostaną coś do jedzenia. Część dziczej i ucieka do lasu, ale wujek ma ich tak dużo, że wcale się tym nie przejmuje.

Dodaliśmy fretki do naszej listy zadań do wykonania, a raczej do przeanalizowania.

– Prześpijmy się trochę – zaproponował w końcu Homer. Wstał, przeciągnął się i ziewnął. – Może po lunchu Ellie zorganizuje następną wycieczkę z przewodnikiem do chatki pustelnika dla wszystkich zainteresowanych tym wyjątkowym i ciekawym doświadczeniem historycznym. Składam wniosek, żebyśmy po południu zorganizowali naradę wojenną i zaplanowali nasz następny ruch.

– No tak, w końcu jesteś ministrem obrony – powiedziałam.

18

Minister obrony siedział na kamieniu i trzymał nogi w strumyku. Kevin cały się położył w zimnej wodzie, pozwalając jej oplukiwać swoje wielkie włochate ciało. Fi przycupnęła nad głową Homera na drugim kamieniu i wyglądała jak mała bogini. Miała tak jasną skórę, że wcale bym się nie zdziwiła, gdyby nagle rozwinęła tęczo- we skrzydła i odfrunęła. Robyn leżała na plecach na brzegu i czytała *Moją wspianą karierę*. Chris siedział pod drzewem kilka metrów ode mnie, a obok niego leżała jego paczka fajek.

Chociaż nie jestem pewna, czy powinnam ją nazywać jego paczką fajek.

Patrzył na wielkie skaliste urwiska, które widzieliśmy między drzewami, w oddali.

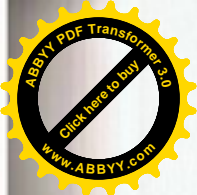
Corrie siedziała obok Robyn. Znowu wyciągnęła radio. Mieliśmy już świeże baterie znalezione w Wirrawee, i chciała je wypróbować. Jedna z kobiet, z którymi rozmawiali w mieście, powiedziała, że czasami przez radio nadają pirackie stacje, które przekazują najnowsze wiadomości i porady. Corrie sprawdzała też fale krótkie, ale za dnia nie było łatwo je złapać, a poza tym byliśmy w miejscu niesprzyjającym słuchaniu radia.

Skuliłam się i wtuliłam w Lee, kładąc głowę na jego piersi jak małe dziecko. Większość popołudnia upłynęła nam na namiętnych

objęciach, pocałunkach i dotykach, aż w końcu zaczęłam się bać, że rozpadnę się na kawałki. Jakby znikaly włókna scalające moje ciało. Wcześniej bardziej pociągał mnie Homer. Z początku do Lee przyciągał mnie jego umysł, jego inteligentna, wrażliwa twarz i poczucie bezpieczeństwa, które mnie przy nim ogarniało. Ale pod tą spokojną powłoką odkryłam niezwykle namiętnego człowieka. Byłam dziewczicą i wiem, że Lee też jeszcze nigdy tego nie robił. W zasadzie chyba nikt z nas jeszcze tego nie robił, może z wyjątkiem Kevina. Jestem prawie pewna, że on i Sally Noack regularnie dopuszczali się tych nieprzyzwoitych rzeczy podczas swojego długiego ubiegłorocznego związku. Ale gdybyśmy tamtego gorącego popołudnia mieli z Lee odrobinę prywatności na polanie w Piekło, myślę, że stracilibyśmy dziewictwo równocześnie. Przywierałam do niego i napierałam na jego ciało, jakbym chciała cała w niego wniknąć. Podobało mi się, że potrafię wywołać jego jęki, zduszone okrzyki i pot. Lubiłam mu dawać przyjemność, chociaż trudno było odróżnić tę przyjemność od bólu. Droczyłam się z nim, dotykając i pytając: „Boli cię to? A to? A to?”, a on dyszał i mówił: „O Boże... nie, tak, nie”. Czulałam, że mam władzę. Ale Lee się na mnie zemścił. Nie wiem, kto śmiał się ostatni – albo ostatni krzyczał. Normalnie, kiedy tracę nad sobą kontrolę, kiedy poddaję się emocjom – czy to w śmiechu, w smutku, czy w jednym z moich słynnych napadów szału – nadal mogę obserwować siebie z boku, uśmiechać się i myśleć: „Ale wariatka”. Część mojego umysłu jest zdystansowana, śledzi to, co się dzieje, może o tym myśleć i być tego świadoma. Ale tamtego popołudnia z Lee było inaczej. Zagubiłam się w wartkim nurcie moich uczuć. Jeśli życie jest walką z emocjami, ja ją przegrywałam. To było niemal straszne. W zasadzie poczułam ulgę, kiedy Homer krzyknął, że pora rozpocząć naradę.

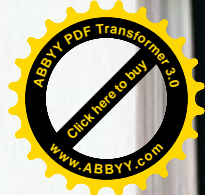
– Dobra książka? – zapytałam Robyn.

– Tak, w porządku – odpowiedziała. – Musimy ją przeczytać na angielski.



Nadal nie mogliśmy się przyzwycząić, że świat się zmienił, że w poniedziałek nie będzie lekcji. Pewnie powinniśmy być zachwyceni, że nie trzeba iść do szkoły, ale wcale nie byliśmy. Chciałam znowu używać mózgu, siłować się z nowymi informacjami i trudnymi teoriami. Postanowiłam, że pójdę za przykładem Robyn i przeczytam kilka z trudniejszych książek, które z sobą przywieźliśmy. Jedną z nich, *Szkarlatna litera*, wyglądała na dobrą i trudną lekturę.

– Więc tak – zaczął Homer. – Musimy podjąć następne decyzje. Co pięć minut patrzę na niebo i czekam na amerykańskich żołnierzy w wielkich zielonych śmigłowcach, ale jak dotąd ich nie widać. A Corrie nie słyszała jeszcze żadnych wiadomości mówiących o nadciągającej pomocy. Możliwe więc, że jeszcze przez jakiś czas będziemy musieli działać na własną rękę. Myślę, że teraz, kiedy już wiemy trochę więcej, mamy kilka możliwości. Po pierwsze, możemy siedzieć cicho i nic nie robić. To wcale nie oznacza tchórzostwa. Takie rozwiązanie ma wiele zalet. Nie byliśmy szkoleni na żołnierzy, a dla nas samych, dla naszych rodzin, a nawet dla kraju ważne jest, żebyśmy przeżyli. Po drugie, możemy spróbować uwolnić nasze rodziny i innych ludzi z terenu wystawowego. To trudne zadanie, prawdopodobnie ponad nasze siły. To znaczy mamy strzelby i śrutówki, ale w porównaniu ze sprzętem tych dupków wyglądają jak dziecięce pukawki. Po trzecie, możemy spróbować pomóc dobrym ludziom w jakiś inny sposób. A dodam, że ci dobrzy to my, na wypadek, gdyby ktoś miał wątpliwości – uśmiechnął się do Robyn. – Moglibyśmy coś zrobić, żeby pomóc naszym wygrać wojnę i odzyskać kraj. Oczywiście możemy też zrobić coś innego: są inne opcje, takie jak wyniesienie się stąd albo poddanie się, ale brzmi to tak nieprawdopodobnie, że chyba nie warto w ogóle o tym rozmawiać. Chyba że ktoś będzie bardzo chciał. Więc tak to wygląda, tak wygląda prawda, tak to widzę. Mamy trzy możliwości i chyba pora wybrać jedną z nich,



a potem się jej trzymać. – Odchylił się do tyłu, splótł ręce na pierś i znowu zanurzył nogi w wodzie.

Nastąpiła cisza, a potem pałeczkę przejęła Robyn.

– Nie jestem pewna, co w tym wszystkim jest dobre, a co złe – powiedziała. – Ale chyba nie będę w stanie siedzieć tutaj miesiącami i nic nie robić. Po prostu rozsadzilyby mnie emocje. Zgadza się z Homerem, że teren wystawowy jest poza naszym zasięgiem, ale czuję, że powinniśmy stąd wyjść i coś zrobić. Z drugiej strony nie chcę, żebyśmy biegali i zabijali ludzi. Czytałam takie książki jak *Fallen Angels*, w której kobieta ukryła minę w ubraniu własnego dziecka i dała je do potrzymania żołnierzowi, a potem wysadziła ich oboje w powietrze. Nadal mam po tym koszmary. I już zaczęłam mieć koszmary o tych ludziach, których przejechałyśmy buldożerem. Ale moje koszmary to chyba mały ból w porównaniu z tym, co przeżywają niektórzy ludzie. Moje koszmary to po prostu cena, jaką muszę zapłacić, wiem o tym. Mimo tej całej gadki o „czystej” inwazji uważam, że wszystkie wojny są brudne, obrzydliwe i paskudne. Nie widzę niczego czystego w wysadzeniu domu Corrie ani w zabiciu rodziny Francisów. Wiem, że to może brzmieć trochę inaczej niż to, co mówiłam wcześniej, ale wcale tak nie jest. Potrafię zrozumieć, dlaczego ci ludzie nas atakowali, ale nie podoba mi się to, co robią, i jak dla mnie nie mają w sobie żadnych zasad moralnych. Zostaliśmy zmuszeni do tej wojny i nie mam odwagi migać się od walki. Mam tylko nadzieję, że uda nam się uniknąć nadmiaru brudnych, obrzydliwych i paskudnych posunięć.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Potem Fi, blada i ponura, powiedziała:

– Wiem, że z logicznego punktu widzenia powinniśmy postąpić tak i tak. Ale wiem też, że na myśl o robieniu czegokolwiek robi mi się słabo. Marzę tylko o tym, żeby zaszyć się w chatce pustelnika i siedzieć pod jego starym, spleśniałym łóżkiem, póki to

wszystko się nie skończy. Muszę się naprawdę wysilać, żeby tego nie zrobić. Kiedy przyjdzie pora, prawdopodobnie zrobię to, co trzeba zrobić, ale postąpię tak głównie dlatego, że czuję się w obowiązku wam pomóc. Nie chcę was zawieść. Czułabym okropny wstyd, gdybym nie potrafiła zrobić tego co wy, kiedy już podejmiemy jakąś decyzję. Wydaje mi się, że na razie nie jesteśmy w stanie pomóc naszym rodzinom, więc zachowanie twarzy w waszych oczach stało się moim najważniejszym celem. A najbardziej martwi mnie to, że nie mogę zagwarantować, że pod presją się nie posypię. Problem w tym, że tak bardzo się teraz boję, że wszystko może się zdarzyć. Boję się, że będę po prostu stała i krzyczała.

– Presja grupy rówieśniczej – powiedział Lee ze współczującym uśmiechem. To było jedno z ulubionych hasel pani Gilchrist, dyrektorki naszej szkoły.

– Jasne, tylko ty tak się czujesz – powiedział Homer. – Reszta z nas nie wie, co to strach. Kevin nie potrafi nawet przeliterować tego słowa. My nie mamy ludzkich uczuć. Jesteśmy androidami, Terminatorami, Robocopami. Zesłał nas Bóg. Jesteśmy Supermanem, Batmanem i Kobietą Kotem. – Dalej ciągnął już poważniejszym tonem: – Nie, to poważny problem. Nikt z nas nie wie, jak zareaguje, kiedy przyjdzie co do czego. Na razie wiem, co czułem do tej pory, kiedy robiłem drobne rzeczy, takie jak czekanie w samochodzie przy Three Pigs Lane. Tak bardzo szcząkałem zębami, że musiałem zacisnąć usta. Nie mam pojęcia, jakim cudem nie zwymiotowałem. Byłem totalnie pewny, że umrę.

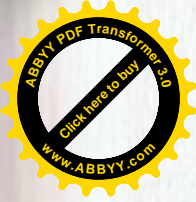
Rozmawialiśmy dalej, roztrząsając temat. Nie licząc Fi, najmniej zapaleni do pomysłu Homera byli Chris i – co dość dziwne – Kevin. Chrisa trochę rozumiałam. Przez większość czasu żył we własnym świecie, jego rodzice byli za granicą, nie miał zbyt wielu przyjaciół. W zasadzie chyba nie przepadał za ludźmi. Pewnie byłby całkiem zadowolony, mogąc zamieszkać w chatce pustelnika, w przeciwieństwie do Fi, która oszalałaby tam przed upływem

dnia. Ale odniosłam wrażenie, że podobnie jak Fi Chris podporządkuje się naszej decyzji – w jego wypadku dlatego, że nie miał siły ani inicjatywy, aby postawić się grupie. Kevin był większą zagadką, zmieniał zdanie z dnia na dzień. Czasami domagał się krwi, a innym razem oblatywał go strach. Może wszystko zależało od tego, ile czasu zdążyło upłynąć od ostatniego zagrożenia. Może tuż po jakiejś akcji cichnął i szukał schronienia. A kiedy przez jakiś czas pobył bezpieczny, znowu przepelniała go agresja.

Jeśli chodzi o mnie, targaly mną różne uczucia. Chciałam umieć podejmować spokojne, racjonalne decyzje, wymieniać na kartce wszystkie za i przeciw, ale nie byłam w stanie wystarczająco daleko odsunąć emocji. Kiedy myślałam o tamtych kulach, o kosiarce i o jeździe buldożerem, trzęsłam się, było mi niedobrze i miałam ochotę krzyczeć. Całkiem jak Fi, Homer i reszta. Nie wiedziałam, jak sobie poradzę, kiedy to wszystko zacznie się od nowa. Może będzie łatwiej. Może trudniej.

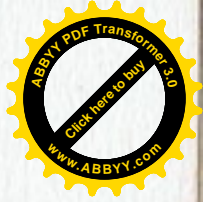
Mimo to chyba wszyscy czuliśmy, że trzeba coś zrobić, nawet jeśli to uczucie wynikało jedynie stąd, że myśl o bezczynności wydawała się przerażająca i nie byliśmy w stanie wziąć jej pod uwagę. No więc zaczęliśmy rzucać nowe pomysły. Stopniowo coraz bardziej skupialiśmy się na drodze z Zatoki Szewca. Wyglądało na to, że to właśnie tam dzieją się najważniejsze rzeczy. Postanowiliśmy, że następnego wieczoru, kiedy Homer, Fi, Lee i ja wyruszymy do miasta, skoncentrujemy się właśnie na tej drodze.

Opuściłam naradę, zostawiając wszystkich, nawet Lee, i poszłam na dość długi spacer w górę szlaku. W końcu usiadłam na jednym z Szatańskich Schodów w ostatnich promieniach gorącego popołudniowego słońca. Z dołu dobiegał szmer strumyka płynącego po kamieniach. Siedziałam tam przez jakieś dziesięć minut i wtedy obok moich stóp wylądowała ważka. Musiałam się wtopić w krajobraz, bo zupełnie nie zwracała na mnie uwagi. Spojrzałam na nią i zauważyłam, że coś trzyma. Cokolwiek to było, wilo się



i trzepotało małymi skrzydełkami. Powoli się pochyliłam i przyjrzałam się uważniej. Ważka nadal nie zwracała na mnie uwagi. Dostrzegłam, że trzyma komara i pożera go żywcem. Kawałek po kawałku komar, nadal zaciekle walcząc o życie, znikał w jej paszczy. Patrzyłam zafascynowana, dopóki zupełnie go nie pożarła. Ważka poczekała jeszcze z minutę, a potem nagle odfrunęła.

Znowu oparłam się o rozgrzaną skałę. Więc tak funkcjonowała natura. Komar czuł ból i paniczny strach, ale ważka nie wiedziała, co to okrucieństwo. Nie miała wyobraźni, która pozwoliłaby jej się postawić na miejscu komara. Po prostu delektowała się posiłkiem. Ludzie nazwaliby to złem – duża ważka zabijała komara, ignorując cierpienie małego owada. Ale ludzie też nienawidzili komarów, uważali je za złośliwych krwio pijców. Te wszystkie słowa – „zło”, „złośliwość” – nie miały dla natury żadnego znaczenia. Tak, zło było wynalazkiem człowieka.



19

Było ciemno, pewnie koło północy. Leżeliśmy w rowie i wyglądaliśmy znad jego krawędzi, patrząc na suchą czarną autostradę. Tylko sekundy dzieliły nas od popełnienia bardzo dużego i potencjalnie śmiertelnego błędu. Z relacji Robyn i reszty wynikało, że podbiegli do drogi, posiedzieli i popatrzyli mniej więcej godzinę, a potem stamtąd prysnęli. Więc zastosowaliśmy bardzo podobną taktykę. Od zwirowego skraju drogi dzieliło nas mniej więcej pięćdziesiąt metrów. Ja prowadziłam, za mną kuśtykał Lee, potem szła Fi, a na końcu Homer. Usłyszałam cichutki, nienaturalny dźwięk. Już miałam go zignorować i iść dalej, gdy moje instynkty przejęły kontrolę, zatrzymałam się i spojrzałam w prawo. Drogą nadciągała ciemna zwarta masa.

Wtedy instynkty mnie zawiodły: kazały mi zastygnąć w bezruchu, powstrzymały mnie od ucieczki. Musiałam uruchomić racjonalne myślenie, i to szybko. Musiałam uaktywnić pewny siebie głos we własnym mózgu: jeśli nic nie zrobisz, zginiesz. Poruszaj się, ale powoli. Panuj nad sobą. Nie panikuj. Zaczęłam się wycofywać jak film puszczany do tyłu i omal nie wpadłam na Lee. Na szczęście nic nie powiedział. Wyczułam jego pełne zdziwienia wahanie, a potem on też zaczął się cofać. Patrol był już tak blisko, że dalszy ruch stał się niebezpieczny. Staliśmy i udawaliśmy drzewa.

Było tam mniej więcej dziesięciu żołnierzy, szli parami, ciemne kształty na tle horyzontu, wyżej niż my, bo my byliśmy w zaroślach na poboczu. Nie wiedziałam, gdzie są Fi i Homer, ale miałam nadzieję, że nie wypadną nagle z krzaków. Wtedy moje serce zamarło, bo z lewej strony usłyszałam jakiś dźwięk, pełen zdumienia szelest. Żołnierze zareagowali tak, jakby ktoś wcisnął guziki w ich plecach. Podskoczyli, rozbiegli się i utworzyli rozproszony szereg, rzucając się na ziemię. Podczołgali się na łokciach, dokładnie naprzeciwko mnie i Lee, a jeden z nich znalazł się zaledwie kilka metrów na lewo. Całe ich działanie było przerażająco profesjonalne. Wyglądało na to, że to ci zawodowi żołnierze, o których mówił pan Clement.

Po chwili po krzakach zaczęło się przesuwac światło olbrzymiej latarki, które wypalało ścieżkę w nocy. Śledziliśmy jego bieg, pewni, że zaraz znajdziemy się w jego zasięgu. Po chwili światło zawahało się, zatrzymało i skupiło, a ja zobaczyłam, co tak naprawdę je zainteresowało. Królik, bardzo młody, przycupnął przy ziemi i rozglądał się na prawo i lewo, wachając białą poświatę. Na drodze rozległ się śmiech. Wyczułam, że żołnierze się odprężają. Zaczęli wstawać z ziemi. Usłyszałam odbezpieczony karabin, kilka słów, a potem okropnie głośny wystrzał. Nagle królik zmienił się w małe kawałki królika porozrzucane na ziemi i na kamieniach. Do pnia drzewa przykleił się kawałek futerka. Nikt nie zszedł z drogi. Ci ludzie byli po prostu znudzonymi żołnierzami, którzy próbowali się zabawić. Światło zgasło, patrol znowu utworzył szyk i ruszył drogą jak mroczny krokodyl.

Dopiero kiedy zniknął nam z oczu i zjawili się Fi z Homerem, pozwoliłam sobie na dreszcze.

Gdy weszliśmy do rowu, poruszaliśmy się raczej jak ślimaki, a nie jak krokodyle czy żołnierze. Cicho pętliliśmy wzdłuż autostrady. Nie wiem jak pozostali, ale ja z łatwością mogłabym za sobą zostawić lśniący ślad – ślad potu.

Czekaliśmy w rowie mniej więcej godzinę i w tym czasie zauważyliśmy jedynie mały konwój. Z przodu jechały dwa pojazdy opancerzone, a za nimi sześć dżipów, sześć ciężarówek i dwa kolejne pojazdy opancerzone. Widzieliśmy też drugi patrol: ciężarówkę z reflektorem na dachu i z karabinem maszynowym z tyłu. Nie było to najmądrzejsze rozwiązanie, bo pojazd było widać z daleka. Światło przeczesywało zarośla z przodu i z tyłu. Mieliliśmy czas, żeby wycofać się w krzaki i obserwować samochód zza drzew. Nie chciałabym być żołnierzem siedzącym w tej ciężarówce – stanowił łatwy cel dla partyzantów. Może to dowód, że partyzanci nie byli na tym terenie zbyt aktywni. Czekając za drzewem, aż ciężarówka zniknie, ze zdziwieniem i lekkim niepokojem zdałam sobie sprawę, że naprawdę zaczynam myśleć jak żołnierz. Gdybyśmy siedzieli na drzewach uzbrojeni w strzelby, myślałam, i jedno z nas strzeliłoby w reflektor, a pozostali zajęliby się żołnierzem przy karabinie maszynowym... A jeszcze lepiej, gdyby jedna osoba strzeliła w przednią szybę i załatwiła ludzi jadących w kabinie...

Zadowoleni z naszego „rekonesansu”, wycofaliśmy się głębiej w las, żeby porozmawiać. Zgodziliśmy się, że zostawanie tam dłużej jest niebezpieczne i prawdopodobnie niepotrzebne. Spojrzeliśmy na Homera w oczekiwaniu na dalsze pomysły.

– Moglibyśmy pójść nad Heron? – zapytał. – Chcę rzucić na coś okiem.

Heron to rzeka, która nie zawdzięcza nazwy ptakom*, lecz Arthurowi Chesterfieldowi Heronowi, pierwszemu osadnikowi w tym okręgu. Połowa instytucji Wirrawee, w tym nasze liceum, nosiła jego imię. Od czasu do czasu rzeka wylewała, więc koryto było szerokie i piaszczyste, co umożliwiało wodzie dość swobodny przepływ. Stary drewniany most długości niespełna kilometra biegł nad rzeką Heron tuż za Wirrawee. Był zbyt wąski i chy-

* Heron (ang.) – czapla.

botliwy jak na potrzeby autostrady i mniej więcej raz w roku ktoś robił zamieszanie i domagał się nowego, ale nigdy nic z tego nie wyszło. Zamknięcie go nawet na krótko byłoby bardzo uciążliwe, bo objazd do miasta był długi i niewygodny. Tymczasem drewniany most stanowił atrakcję turystyczną – zapotrzebowanie na pocztówki z Wirrawee było niewielkie, ale nieliczne kartki, jakie można było kupić, ukazywały albo ten most, albo pomnik ku czci poległych, albo nowy ośrodek sportu.

Pod mostem wzdłuż brzegów rzeki ciągnęły się pola piknikowe i malownicza droga. „Malownicza” to żart. Była to zwyczajna droga, która biegła obok rotundy, grillów i basenu, prowadząc do ogrodów. I właśnie tam chciał nas zaprowadzić Homer i tam w końcu poszliśmy. W każdym razie my troje. Lee już wystarczająco się zmęczył. Bolała go noga i pocił się. Zdałam sobie sprawę, jak bardzo jest wyczerpany, kiedy zostawiliśmy go pod drzewem i kazałam mu poczekać, a on nawet nie zaprotestował. Po prostu zamknął oczy i siedział. Pocałowałam go w czoło i zostałam tam, mając nadzieję, że w drodze powrotnej uda nam się znaleźć to drzewo.

W pobliżu mostu staliśmy się bardzo ostrożni, bo podejrzewaliśmy, że może być dobrze strzeżony. Każdy widział, że to najslabszy punkt autostrady, i domyślałam się, że właśnie dlatego Homer tak bardzo chce go zobaczyć. Podeszliśmy do mostu z boku, od strony pól, przez gospodarstwo warzywne Kristiceviców. Żując groszek cukrowy, zastanawiałam się, co słyhać u mojej kumpelki Natalie Kristicevic. Miło było przekąsić trochę świeżych warzyw, chociaż Fi denerwowała się, że chrupanie robi za dużo hałasu.

Ukryci w kukurydzy mieliśmy dobry widok na most i pole piknikowe. Widzieliśmy ciemne sylwetki żołnierzy. Najwyraźniej było ich sześciu: czterech stało na jednym końcu, a dwóch pozostałych krążyło tam i z powrotem. Przejechał następny konwój i wartownicy zebrali się na końcu, obserwując go. Jeden z nich

uniósł podkładkę z klipsem i coś zapisywał. Może sprawdzał liczbę pojazdów. Drugi rozmawiał z kierowcami. Pozostali zaglądali pod ciężarówkę. Trochę to trwało. Potem większe ciężarówki potoczyły się mostem, zachowując duże odstępki. Najwidoczniej nie ufali sile potężnego mostu Wirrawee.

Mniej więcej o czwartej nad ranem zabraliśmy Lee i wycofaliśmy się do naszej kryjówki, czyli do przyczepy kempingowej stojącej na ziemi państwa Fleet. Był to mały zakątek, w którym gościli turystów z miasta. Wydawał się dość zaciszny i nie rzucił się w oczy, więc uznaliśmy, że tam będziemy bezpieczni. Fi zgłosiła się na ochotnika, żeby pełnić wartę jako pierwsza. Reszta z nas z wdzięcznością padła na łóżka, a potem spała i spała.

Dopiero po południu odzyskaliśmy wystarczająco dużo sił, żeby omówić taktykę. Od razu było widać, że Homer poświęcił sporo czasu na rozmyślanie o moście, bo natychmiast przeszedł do sedna.

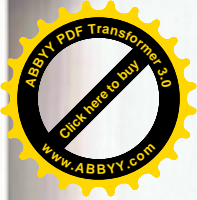
– Wysadźmy go w powietrze – zaproponował z błyskiem w oczach.

Po raz ostatni widziałam ten błysk w szkole, kiedy powiedział, że wykręcił wszystkie śrubki z dyrektorskiej mównicy w auli. Jeśli wysadzenie mostu w powietrze miało się okazać równie wielką porażką jak tamten dzień, nie chciałam brać w tym udziału.

– Dobra – powiedziałam, żeby zrobić mu przyjemność. – Jak się do tego zabierzemy?

Jego oczy rozbłysły jeszcze bardziej i przedstawił nam swój plan.

– To, co Ellie zrobiła z kosiarką, podsunęło mi pewien pomysł – zaczął. – Benzyna to nasz najprostszy i najlepszy sposób na wysadzenie w powietrze. Próbowałem wymyślić, jak można by powtórzyć wyczyn Ellie, ale na większą skalę. A oczywiście największą wersją traktorka do trawy jest cysterna z paliwem. Musimy zdobyć taką cysternę, zaparkować ją pod mostem, na malowniczej drodze, a potem wysadzić w powietrze. Będzie wielkie bum.



Zapadła śmiertelna cisza. Chciałam zadać mnóstwo pytań, ale brakowało mi tchu. Od razu wiedziałam, kto będzie prowadził cysternę z paliwem.

- Skąd weźmiemy cysternę? – zapytała Fi.
- Od Curra.

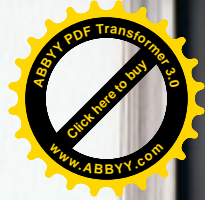
Curr to lokalny dystrybutor paliwa Blue Star. Jego pracownicy przyjeżdżali do nas raz w miesiącu, żeby napęlić zbiornik. Była to spora firma i miała dużą flotę cystern. Ta część na pewno była wykonalna. Możliwe, że stanowiła najłatwiejszy element całego tego chorego planu.

Homer zapytał mnie o coś, przerywając moje rozmyślenia.

- Co?
- Pytałem, czy umiesz prowadzić pojazd z naczepą.
- Chyba tak. Pewnie kieruje się tym podobnie jak ciężarówką z przyczepą. Pytanie tylko, jak miałabym zaparkować pod mostem, wyskoczyć z kabiny i to wszystko wysadzić. Myślisz, że żołnierze na moście będą się przyglądali, machali do mnie i pstrykali zdjęcia?
- To żaden problem.
- Żaden problem?
- Żaden.
- A, to dobrze – powiedziałam. – Skoro tak, to luz.
- Posłuchajcie – ciągnął Homer. – Kiedy wczoraj wieczorem szliśmy w stronę Wirrawee i wy mieliście zamknięte oczy, ja to i owo zauważyłem. Na przykład: co jest za zakrętem, obok mostu, w kierunku Zatoki Szewca?

Homer szybko upodabniał się do nauczycieli, których zawsze nie znosiłam.

- Nie wiem, proszę pana, niech nam pan powie – pomogłam mu.
- Gospodarstwo Kristiceviców – Fi pomogła trochę bardziej.
- A po drugiej stronie?
- Tylko pola – powiedziała Fi. Wszyscy wpatrywaliśmy się w Homera, czekając, aż wyciągnie królika z kapelusza.



– Nie tylko pola – obruszył się Homer. – Właśnie na tym polega problem z mieszczuchami. To jedna z najstłanniejszych hodowli w okręgu, a ty mówisz, że to „tylko pola”.

– Mhmm – mruknęłam, przypominając sobie. – To hodowla bydła Roxburghów. Gowan Brae Poll Hereford.

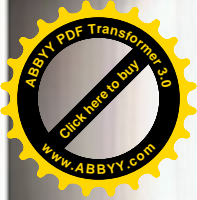
– Tak – potwierdził z nadzieją Homer.

Nadal próbowałam skojarzyć fakty.

– Więc co zrobimy? Wytresujemy bydło, żeby zaholowało cysternę w odpowiednie miejsce? Albo wywołamy eksplozję metanu? Jeśli znajdziemy krowę, która padła tak dawno temu, że zdążyły ją rozdać gazy, będziemy mogli zrobić jej dziurę w boku i podpalić. Kiedyś widziałam coś takiego.

– Słuchajcie – nie zrażał się Homer. – Powiem wam, co zauważyłem. Pan Roxburgh trzyma mnóstwo bydła na polu przy autostradzie. Krowy są w dobrej formie. Jest ich tam mnóstwo, ale to dobre pastwisko, któremu nic nie zaszkodzi. Załóżmy, że jesteście młodymi żołnierzami w obcym kraju, pilnujecie wąskiego mostu, jest środek nocy i walcycie z sennością. Nagle słyszycie hałas, odwracacie się i widzicie ze sto pięknych herefordów, które pędzą prosto na was. Jakies pięćdziesiąt ton wołowiny sunącej na was w mroku z prędkością sześćdziesięciu albo siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Co robicie?

- Uciekamy – od razu powiedział Lee.
- Nie, nie uciekacie – zaprzeczył Homer.
- Masz rację, nie uciekamy – zgodziłam się zamyślona. – Jest ich za dużo i zbyt szybko się zbliżają.
- Więc co robicie? – powtórzył Homer.
- Uciekamy na bok. I pewnie próbujemy się na coś wdrapać. Co wcale nie byłoby trudne na takim starym drewnianym moście.
- A w którą stronę patrzycie? – dopytywał Homer.
- Na krowy – powiedziałam, jeszcze wolniej.



– Właśnie – podsumował Homer. – Sprawa załatwiona. – Oparł się i splótł ręce na piersi.

Patrzyliśmy na niego. Troje ludzi snuło trzy różne zestawy myśli.

– Jak nakłonisz krowy, żeby zrobiły to, co chcesz? – zapytała Fi.

– Jak potem uciekniemy? – zapytał Lee. – Nie mogę długo biec z czymś takim – wskazał na zabandażowaną nogę.

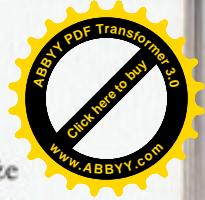
Ja nie miałam żadnych pytań. Wiedziałam, że szczegóły można dopracować. Plan był bardzo ryzykowny, ale genialny.

Homer zaczął od odpowiedzi na pytanie Lee:

– Motory – powiedział. – Już jakiś czas temu doszedłem do wniosku, że jeśli chcemy być skutecznymi partyzantami, musimy zdobyć motory i poruszać się po polach, a nie po drogach. Moglibyśmy się przemieszczać szybko i w miarę dyskretnie. A co do bydła, wykorzystam swoje mistrzowskie umiejętności, żeby je zagonić na drogę. Już kiedyś to robiłem. W nocy powinno pójść całkiem dobrze, pod pewnymi względami mamy większe szanse niż w dzień. Wtedy zwierzęta są mniej podejrzliwe. Jeśli noc będzie jasna, a powinna taka być, nie będziemy nawet potrzebowali światła, które za bardzo je denerwuje. No więc ja wyprowadzę zwierzęta, a potem razem z Lee je popędzimy, o ile Lee da radę. Możemy na przykład użyć elektrycznego pastucha albo puszki aerozolu i zapalek. W szkole narobiłem sobie kłopotów, konstruuując takie miotacze ognia, ale wiedziałem, że pewnego dnia to się przyda. Kiedy krowy poczują płomień na zadach, zaczną biec jak oszalałe. Gdy już popędzą drogą, my wskoczmy na motory i uciekniemy.

Po chwili Homer zwrócił się do mnie i do Fi:

– Wychodzi na to, że zawsze dostaje mi się najmniej niebezpieczna robota – przeprosił – ale chyba musi tak być. Elli prowadzi najlepiej z nas wszystkich, więc będzie potrzebna w cysternie. A Lee za bardzo kuleje, żeby biec, więc nie może jechać razem z nią, bo trzeba będzie szybko uciec z cysterny. Poza tym ja mam największe doświadczenie z bydłem.

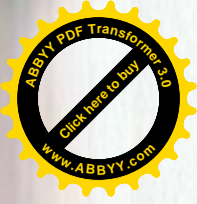


Skromnie powiedziane. Homer był urodzonym hodowcą.

– Tak to mniej więcej wygląda – ciągnął. – Pomyślałem, że mogłybyście ukraść cysternę i powoli przyprowadzić ją pod most. Fi szlaby piechotą i wyglądała z za każdego rogu, sprawdzając, czy nikt nie nadciąga, a potem dawałaby ci znak. Zaparkowałabyś za zakrętem, niedaleko pola do gry w bowls, tuż przy moście. Zaczekałibyśmy, aż konwój przejedzie na drugą stronę rzeki, dzięki czemu mielibyśmy sporo czasu przed przyjazdem następnego konwoju. Potem wyprowadzilibyśmy bydło na drogę i zmusilibyśmy je do biegu. Kiedy krowy wpadną na most od jednej strony, ty wprowadzisz cysternę pod drugi koniec. Może nawet uda ci się stoczyć z pagórka bez włączania silnika. Jest tam dość strome wzniesienie. Wskoczycie i zostawicie za sobą „lont” z benzyny, a w końcu ukryjecie się w bezpiecznej odległości. A najlepiej niech sprawę z paliwem załatwi jedna z was, żeby nikt pochłapany benzyną nie musiał zapalać zapalki. Potem podpalicie lont i co sił w nogach pobiegniecie do motorów, które ukryjemy w krzakach. I uciekniecie. Co wy na to? Proste, nie? Mówcie mi geniusz.

Rozmawialiśmy godzinami, próbując znaleźć wady tego planu, udoskonalić go. Oczywiście mnóstwo rzeczy mogło się nie udać. Bydło mogło nie wyjść na drogę, mógł nadjechać inny pojazd, cysterny mogły być pilnowane albo puste – może nawet w ogóle ich już tam nie było. Najtrudniejsze wydało mi się dobiegnięcie od cysterny do motorów. Przez jakieś trzydzieści sekund ja i Fi bylibyśmy zupełnie bezbronni i wystawieni na strzał. Gdyby wartownicy nas zauważyli, miałybyśmy poważne kłopoty. Ale Homer był pewien, że bydło odwróci ich uwagę.

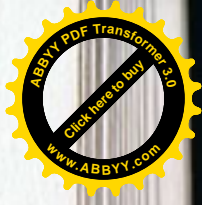
Tak, to był dobry plan. Niezwykle sprytny. I chyba najbardziej podobało mi się to, jak zadziałał na Lee. Lee był za. Im dłużej rozmawialiśmy, tym bardziej unosił głowę. Zaczął mówić, uśmiechał się i śmiał. Od dnia, w którym został postrzelony, przeważnie był zdołowany, ale teraz powiedział do mnie:



– Jeśli to zrobimy, jeśli nam się uda, znowu będę mógł poczuć się dumny.

Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo się wstydził, że nie może pomóc rodzinie.

Zrobiliśmy listę potrzebnych rzeczy. Była dość krótka: cztery motory, dwie krótkofalówki, dwie pary nożyc do cięcia drutu, nożyce do prętów, latarki, puszki z aerozolem, zapalniczki, ościenie do poganiania bydła, sznur i cysterna z benzyną. Tylko kilka drobiazgów. Rozpoczęliśmy poszukiwania na działce Fleetów, a potem przenieśliśmy się na sąsiednią farmę, zabierając po drodze potrzebne rzeczy. Najwięcej problemów było z motorami. Większość mieszkańców wsi nie dba o swoje motory. Połowa znajdowanych egzemplarzy trzymała się dzięki drutowi i taśmie izolacyjnej. Potrzebowaliśmy szybkich maszyn, na których można polegać, które odpalą za pierwszym razem. Potem musieliśmy je zatankować, sprawdzić poziom oleju, światła i hamulce i ściągnąć je do centrum dowodzenia, czyli do garażu Fleetów. Tamtego popołudnia sporo się napracowaliśmy.



20

Curr's Blue Star Fuel and Oil Distributors miało siedzibę przy Black Street, mniej więcej sześć przecznic od mostu. Znalazłyśmy ją z Fi bez problemu, za to z ogromną ulgą. Uzgodniłyśmy, że trochę tam odpoczniemy, bo naprawdę potrzebowałyśmy odpoczynku. Prowadziłyśmy te przekłute motory ze cztery kilometry. Zatrzymywałyśmy się i chowałyśmy z dziesięć razy, kiedy jedna z nas albo obie usłyszały jakiś urojony hałas albo zauważyły ruch. Już wtedy byłyśmy dość mocno zestresowane. Nie miałam pojęcia, co z nami będzie, kiedy rozpocznie się prawdziwa akcja.

Muszę przyznać, że w parze z Fi czułam się trochę niepewnie. Nie miałam szans na zostanie bohaterką, ale przynajmniej byłam przyzwyczajona do życia na powietrzu, do wykonywania praktycznych zadań, a to dawało mi trochę pewności siebie. Mam na myśli zwyczajne drobne czynności wykonywane w domu, które były stałym elementem mojej rzeczywistości: rąbanie drewna, posługiwanie się piłą łańcuchową, prowadzenie samochodu, jazdę konną (tata ciągle jeszcze lubił doglądać bydła, siedząc na końskim grzbiecie), bycie robolem, znakowanie jagniąt i kąpanie owiec – to elementy mojego codziennego życia, których nigdy zbyt wysoko nie ceniłam. Nie zauważyłam jednak, że dzięki nim zdobyłam nawyk robienia różnych rzeczy bez oglądania się

co minutę przez ramię, żeby zobaczyć, czy ktoś dorosły kiwa głową, czy może nią kręci. Fi i tak zrobiła w tym zakresie ogromne postępy, ale nadal była trochę nieśmiała. Podziwiałam jej odwagę, kiedy przyjęła zadanie wyznaczone przez Homera, bo prawdziwa odwaga polega chyba na tym, że robisz coś mimo wielkiego strachu. Ja byłam bardzo wystraszona, ale Fi jeszcze bardziej. Miałam tylko nadzieję, że gdy przyjdzie co do czego, nie będzie sterczała w miejscu sparaliżowana strachem. Lepiej, żeby nikogo z nas nie sparaliżowało. Ha, ha.

Kiedy tylko ukryłyśmy motory, ruszyłyśmy w stronę Curra. Próbowałam wykorzystać umiejętności, które zdobyłam dzięki grom komputerowym. Moją ulubioną była *Catacomb*. Odkryłam, że jedynym sposobem dotarcia w niej na dziesiąty poziom jest zachowanie zimnej krwi. Kiedy się wkurzyłam, za bardzo wyluzowałam albo ryzykowałam, nawet najprostsze i najłatwiejsze potwory zmiatały mnie z powierzchni ziemi. Żeby zdobyć najlepszy wynik, musiałam być czujna, myśleć, mieć dobry refleks i działać ostrożnie. Tak więc podkrađaliśmy się przecznica po przecznicy, zaglądając za każdy róg. Odezwałam się tylko raz, mówiąc do Fi: „Tak samo będziemy musiały robić w drodze powrotnej z cysterą”. Fi tylko pokiwała głową. Skupienie zawiodło mnie jedynie na chwilę, kiedy zaczęłam się zastanawiać, czy kiedykolwiek zagram jeszcze w grę komputerową.

Z tego, co widziałyśmy, na froncie Curra panował spokój. Duża drucziana brama została zamknięta na łańcuch i kłódkę, a bazę otaczał wysoki płot, ale byłyśmy na to przygotowane i miałyśmy ze sobą nożyce do cięcia drutu. Przyniosłyśmy też nożyce do prętów, ale z taką bramą nie miały szans: łańcuch był po prostu za gruby. Plan B przewidywał staranowanie bramy ciężarówką.

Przyczaiłyśmy się na dwadzieścia minut. Usiadłyśmy pod drzewem naprzeciwko bazy, żeby zaczerpnąć tchu. Fi spróbowała się połączyć z Homerem i Lee przez krótkofalówkę. Już miałyśmy dać

za wygraną i ruszyć po cysterę, gdy w końcu w słuchawce odezwał się ochrypły szept Homera.

– Tak, słyszymy cię, Fi. Odbiór.

Nie wiedzieć czemu, dźwięk jego głosu wywołał we mnie ogromną radość i niesamowitą ulgę. Oczywiście Fi rozbłysły.

– Jak się czuje Lee?

– W porządku.

– Gdzie jesteście? Odbiór.

– Tam, gdzie mieliśmy być. A wy? Odbiór.

– My tak samo. Za chwilę spróbujemy się dostać do środka. Wygląda dobrze. Mają pełno tego, czego potrzebujemy. Odbiór.

– W porządku. Dajcie znać, jak już to załatwicie. Odbiór.

– Cześć – szepnęła Fi. – Kocham cię.

Zapadła cisza, a potem odpowiedział:

– Ja też cię kocham, Fi.

Takie słowa w ustach Homera brzmiały niesamowicie – a fakt, że wypowiedział je przy mnie i przy Lee, był wręcz zdumiewający. Wyłączyłyśmy krótkofalówkę i ostrożnie skradaliśmy się wzdłuż płotu. Były tam duże światła zamontowane ze względów bezpieczeństwa, ale wyglądało na to, że w tej części miasta wysiadł prąd. Miałam nadzieję, że alarmy antywłamaniowe też nie działają. Wzięłam głęboki oddech i przecięłam kawałek drutu w płocie. Nie odezwał się żaden alarm, nie rozbłysły światła, nie zawyły syreny. Przecięłam jeszcze raz i cięłam, dopóki nie zrobiłam dziury, przez którą mógłby przejść królik.

– Nie zmieścimy się – mruknęła Fi. Jako że sama miała posturę królika, a ja szetlanda, od razu było wiadomo, kogo ma na myśli, mówiąc „my”.

– Będziemy musiały – powiedziałam. – Za bardzo się denerwuję, kiedy tu tak sterczymy. Widać nas jak na dłoni. Chodź.

Fi przełożyła nogę na drugą stronę, z gracją wygięła ciało, a potem dostawiła drugą nogę. Lekcje baletu na coś się jednak przydają,

pomyślałam zazdrośnie. Zrozumiałam, że trzeba powiększyć dziurę, więc przecięłam jeszcze parę drutów, ale kiedy przechodziłam na drugą stronę, i tak porwałam podkoszulkę i podrapałam sobie nogę.

Pobiegliśmy przez plac do miejsca, gdzie stały zaparkowane ciężarówki. Pociągnęłam za parę klamek, ale wszystkie drzwi były zamknięte. Poszliśmy do biura i zajrzałyśmy przez usmolone okno. Na przeciwległej ścianie wisiała tablica z kluczami.

– To nasz cel – powiedziałam. Odwróciłam się, znalazłam kamień, podniosłam go i podeszłam do okna.

– Zaczekaj – powiedziała Fi.

– Co?

– Mogę ja to zrobić? Zawsze chciałam stłuc szybę w oknie.

– Powinnaś była dołączyć do gangu greckiej ruletki Homera – powiedziałam, ale podałam jej kamień.

Zachichotała, wzięła zamach i mocno rzuciła kamieniem w okno, a potem odskoczyła, bo posypały się na nas odłamki szkła. Uplłynęło kilka minut, zanim wytrząsnęłyśmy je z ubrań i włosów. Potem wyciągnęłam rękę i otworzyłam drzwi od środka.

Kluczyki były starannie opisane numerami rejestracyjnymi ciężarówek, więc wzięłyśmy całą garść i wróciłyśmy na plac. Wybrałam najstarszą, najbrudniejszą ciężarówkę z naczepą, bo nowsze za bardzo błyszcząły w świetle księżyca. Był to international acco z płaskim przodem. Na początek podeszłyśmy do ciężarówki od tyłu i wdrapałyśmy się na górę po wąskiej stalowej drabinie, a potem przeszłyśmy po zaokrąglonej powierzchni, żeby zajrzeć do cysterny. Okazało się, że są tam cztery pokrywy rozmieszczone na górze w równych odstępach. Przekręciłam i zdjęłam jedną z nich. Bardzo przypominała pokrywy zbiorników na mleko, które nadal mieliśmy w starej mleczarni. Ustąpiła bez problemu, chociaż była dość ciężka. Próbowałam zobaczyć, czy w środku jest jakaś benzyna, ale trudno było to stwierdzić. Pogrzebałam

w pamięci. Co robił kierowca, który przyjeżdżał do nas taką cysterną raz w miesiącu?

– Potrzymaj to – szepnęłam do Fi, dałam jej pokrywę i zlałam po drabinie.

I oczywiście znalazłam to, czego szukałam – prętowy wskaźnik poziomu umieszczony na wsporniku na dole naczepy. Wyjęłam go i szybko weszłam na cysternę. Zanurzyłam wskaźnik w zbiorniku, który otworzyłyśmy. Było zbyt ciemno, żeby dokładnie odczytać poziom, ale mokry połysk w świetle księżyca świadczył o tym, że w środku jest mnóstwo paliwa.

Zakręciłyśmy pokrywę i sprawdziłyśmy trzy pozostałe. Dwie komory były pełne, nie musiałyśmy nawet używać wskaźnika. Ostatnia okazała się prawie pusta, ale w niczym nam to nie przeszkadzało. Miałyśmy wystarczająco dużo benzyny, żeby wywołać eksplozję większą niż wybuch wulkanu Krakatau. Przykręciłyśmy pokrywy z powrotem i szybko zeszłyśmy na dół.

Podeszłam do drzwi kierowcy, otworzyłam je, wsiadłam i odrygłowałam drzwi po stronie pasażera, a potem zerknęłam na kontrolki. Uznałam, że wszystko jest w porządku, ale kiedy przekręciłam kluczyk, rozległo się nieprzerwane buczenie i rozbłysło czerwone światło ostrzegawcze hamulca. Czekałam, aż zgaśnie, ale na próżno.

– Coś jest nie tak z hamulcami – powiedziałam do Fi. – Lepiej poszukajmy innej ciężarówki.

Przez dziesięć minut chodziłyśmy między rzędami cystern i próbowałyśmy je odpalić, ale wynik był taki sam. Zaczęłam żalować, że pozwoliłyśmy sobie na odpoczynek. Przez to mogłyśmy się spóźnić.

– Nie jest dobrze – powiedziałam w końcu. – Będziemy musiały wziąć pierwszą cysternę i zaryzykować jazdę bez hamulców. Postaram się hamować silnikiem.

Wskoczyłyśmy z powrotem do acco i zapuściłam silnik, który od razu warknął i obudził się do życia. Ku mojemu zaskoczeniu

sygnał ostrzegawczy i kontrolka uspokoiły się już po kilku sekundach.

– Hamulce pneumatyczne – wyjaśniłam Fi, wściekła na siebie, że nie pomyślałam o tym wcześniej. – Muszą wytworzyć ciśnienie albo coś takiego. Jeszcze nigdy nie prowadziłam pojazdu z hamulcami pneumatycznymi.

Następny problem miałam ze znalezieniem jedyńki: musiałam najpierw kilka razy popompować sprzęgło, żeby w końcu ją wrzucić. Zalewałam się potem, a Fi dygotała. Silnik okropnie głośno ryczał w cichym nocnym powietrzu. Potem puściłam sprzęgło. Motor drgnął, naczepą szarpnęło i cysterna popelzła naprzód. Na placu nie było innych pojazdów, więc miałam mnóstwo miejsca, żeby wykonać zakręt. Potem zawróciłam i ruszyłam w stronę bramy.

Celowe staranowanie czegoś pojazdem jest dość przerażające. W ostatniej chwili straciłam zimną krew i zwolniłam, przez co uderzenie w bramę było zbyt lekkie, żeby spowodować jakieś zniszczenie. Byłam naprawdę wkurzona. Z typową dla siebie arogancją martwiłam się o nerwy Fi, a powinnam była się martwić o swoje. Zakląłam i o mało nie popsułam skrzyni biegów, próbując znaleźć wsteczny. Znalazłam go, a wtedy zaskoczyły mnie głośne dźwięki ostrzegawcze, które natychmiast rozbrzmiały z tyłu pojazdu. Wyglądało na to, że ta ciężarówka piszczy przy każdej okazji. Byłam tak zniecierpliwiona, że wycofałam zbyt szybko. Naczepa obróciła się, uderzyła w słupek i prawie złożyła się jak scyzoryk. Fi zbladła i chwyciła się oparcia.

– Ellie! – zawołała. – Z tyłu jest benzyna, a nie woda!

– Wiem – powiedziałam. – *Sorry*.

Tym razem gładko i zdecydowanie przejechałam przez bramę, która na chwilę się napięła, a potem gwałtownie rozwarła jak pękająca tama. Rzuciłam Fi szybki uśmiech, a potem zatoczyłam szeroki łuk przed zakrętem, żeby wjechać w ulicę i w nic nie uderzyć.

Naczepa posłusznie sunęła z tyłu. Żeby silnik trochę mniej hałasował, wrzuciłam luz i zjechałam do kępy drzew, a potem pod nimi zaparkowałam. Fi próbowała złapać chłopaków przez krótkofalówkę, ale silnik powodował zbyt silne zakłócenia.

– Zajrzę za róg i sprawdzę, czy nikogo tam nie ma – powiedziała. – Połączę się z nimi stamtąd.

– Dobra.

Wyślizgnęła się z kabiny i pobiegła na róg ulicy. Obserwowałam ją zza szyby. Zawsze bardzo podziwiałam Fi, ale teraz byłam pod wrażeniem jej odwagi, a nie gracji i urody. Wyglądała, jakby mógł ją przewrócić lekki podmuch wiatru, ale biegła sama opuszczonymi ulicami miasta ogarniętego wojną. Niewielu ludzi by się na to zdobyło. A tym bardziej takich, którzy wychowali się pod kłosem, tak jak ona. Zobaczyłam, że dociera do skrzyżowania, uważnie spogląda w obie strony, pokazuje mi uniesione kciuki i zaczyna mówić do krótkofalówki. Kilka minut później dała mi znak, żebym ruszała. Przez pomyłkę znowu wrzuciłam wsteczny, ale potem znalazłam jedynekę i potoczyłam ciężarówkę, żeby zabrać Fi.

– Połączyłaś się?

– Tak. Wszystko u nich w porządku. Przejechały dwa patrole, ale nie było konwojów. Och, Ellie – powiedziała, gwałtownie odwracając się w moją stronę – naprawdę myślisz, że damy radę?

Próbowałam się uśmiechnąć jak osoba, która jest pewna siebie.

– Nie wiem, Fi. Myślę, że chyba tak. Mam taką nadzieję.

Pokiwała głową i znowu spojrzała przed siebie. Podjechałyśmy do następnego skrzyżowania.

– Od tej pory będę szła piechotą – powiedziała – i na każdym rogu będę ci dawała znaki. Na jedno wyjdzie. Ale może kiedy będziesz czekała, wyłącz silnik, co? Robi dużo hałasu.

– Dobra.

Pokonaliśmy w ten sposób dwie przecznice, ale przy następnym skrzyżowaniu zobaczyłam, że Fi spogląda w prawo, gwałtownie

się cofa i pędzi w moją stronę. Wskoczyłam z ciężarówki i podbiegłam do niej. Wydyszała tylko jedno słowo: „Patrol”, i razem przeskoczyłyśmy przez niskie ogrodzenie, chowając się w czyimś ogrodzie. Tuż przed nami rósł wielki stary eukaliptus. Tak bardzo się denerwowałam, że nic oprócz niego nie widziałam. Moje oczy i umysł skupiły się wyłącznie na drzewie. W tamtej chwili nic innego dla mnie nie istniało. Wdrapałam się na nie jak opos. Przy okazji podrapałam sobie ręce, ale nie czułam bólu. Fi ruszyła za mną. Pokonałam już ze trzy metry w górę, kiedy usłyszałam głosy za rogiem. Wtedy zwolniłam, zaczęłam się poruszać ciszej, ostrożniej. Powolutku przesunęłam się po gałęzi, żeby zobaczyć, co się dzieje. Nie wiedziałam, czy wdrapanie się na drzewo było dobrym pomysłem. Przypomniałam sobie tatę, który pewnego dnia nałożył wielką paskudną łatę na dziurę w okapie dachu wygryzioną przez opozy i powiedział: „Ludzki wzrok sięga tylko do poziomu oczu”. W tamtym momencie mojego życia miałam wielką nadzieję, że to prawda. Problem w tym, że gdyby jednak nas zauważyli, byłybyśmy nie jak opozy na drzewie, ale jak szczury w rynnie. Nie było stamtąd ucieczki.

Czekałyśmy i patrzyłyśmy. Przez jakiś czas było słycać głosy, które potem stały się jeszcze wyraźniejsze, bo żołnierze szli w naszą stronę. Poczułam bolesne rozczarowanie. To oznaczało koniec naszego wielkiego planu. I mogło oznaczać nasz koniec, bo gdy patrol zobaczy cysternę, jego pierwszą reakcją będzie otoczenie całego terenu i przeszukanie go. Dziwiłam się, że żołnierze jeszcze jej nie zauważyli. Przestali już rozmawiać, ale słyszałam szuranie ich butów. Mój umysł pracował jak szalony: zbyt wiele myśli przemykało przez niego ze zbyt dużą prędkością. Próbowałam złapać którąś z nich i zobaczyć, czy przypadkiem nie mogłaby mi podsunąć drogi ucieczki, ale za bardzo panikowałam, żeby się jej uchwycić, żeby uchwycić się czegokolwiek oprócz tamtego drzewa. Czując nicustający ból w lewej nodze, powoli zdałam sobie sprawę, że Fi

trzyma się mnie jak opos niepewnej gałęzi. Tak mocno wbiła pazury, że siniaki miałam jak w banku. Przez liście zauważyłam jakiś ruch i po chwili powoli ukazali się żołnierze. Było ich pięcioro: trzech mężczyzn i dwie kobiety. Jeden facet był dość stary, miał co najmniej czterdzieści lat, ale pozostali dwaj wyglądali na szesnastoletków. Kobiety miały ze dwadzieścia lat. Wlekli się ospale, dwoje chodnikiem, troje ulicą. Przestali rozmawiać i idąc, tylko się rozglądali albo patrzyli na ziemię. Nie wyglądali na zawodowych żołnierzy. Domyśliłam się, że to poborowi. Cysterna stała po drugiej stronie ulicy, jakieś pięćdziesiąt metrów od nich. Nie mogłam uwierzyć, że jeszcze jej nie zauważyli. Szykowałam się na nagły okrzyk zaskoczenia. Palce Fi zahamowały krążenie w mojej nodze. Czułam, że lada chwila cała moja kończyna od kolana w dół odpadnie i wyląduje w ogrodzie. Zastanawiałam się, jak zareagują żołnierze na odgłos spadającej nogi, i o mało nie parsknęłam histerycznym śmiechem. Patrol szedł dalej.

Szli i szli. Przeszli obok cysterny, jakby nie istniała. Dopiero kiedy oddalili się o sto metrów, a ja i Fi zeszyłyśmy z drzewa i patrzyłyśmy na ich znikające plecy, pozwoliłyśmy sobie uwierzyć, że jesteśmy bezpieczne. Spojrzałyśmy na siebie z zaskoczeniem i z ulgą. Byłam taka szczęśliwa, że nawet nie wspomniałam o siniakach na nodze. Pokręciłam głową.

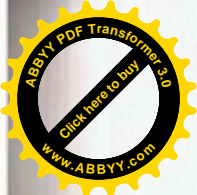
– Pewnie pomyśleli, że to kolejny zaparkowany pojazd – powiedziałam.

– Myślę, że gdyby nie przechodzili tą ulicą wcześniej... – zaczęła Fi. – Lepiej połączę się z Homerem.

Włączyła krótkofalówkę i dość szybko usłyszałam jego cichy głos.

– Musiałyśmy się na chwilę zatrzymać – wyjaśniła Fi. – Ellie nabrała ochoty, żeby się wdrapać na drzewo. Za jakieś pięć minut ruszamy dalej. Zostały nam jeszcze trzy przecznice. Odbiór.

W krótkofalówce rozległo się coś jakby prychnięcie, nawet nie szum, a potem połączenie się urwało.



Na wszelki wypadek odczekaliśmy prawie dziesięć minut, a potem przekręciłam kluczyk i usłyszałam piskliwy dźwięk ostrzegawczy hamulca. Silnik znów z warkotem obudził się do życia. Pokonałyśmy jeszcze dwie przecznice. Kiedy przy ostatnim skrzyżowaniu Fi dała mi znak, zgasiłam silnik i spróbowałam stoczyć się w jej stronę z małej pochyłości. To był wielki błąd. System ostrzegawczy znowu zaczął piszczeć i migać czerwonym światelkiem, a ja zdałam sobie sprawę, że nie mam hamulców. Po chwili kierownica zadrżała i się zablokowała, więc kierować też nie mogłam. Chwyciłam za drążek skrzyni biegów, żeby odpalić w biegu, ale pociągnęłam w złą stronę i doczekałam się jedynie chrobotu, od którego ścierpły mi zęby. Ciężarówka wjechała do rynsztoka i zaczęło ją znosić coraz bardziej w lewo, w stronę rzędu płotów. Przypomniało mi się ostrzeżenie Fi: „Z tyłu jest benzyna, a nie woda!”, i zrobiło mi się bardzo niedobrze. Złapałam kluczyk, przekręciłam go, ale nic się nie stało, przekręciłam jeszcze raz i kilka metrów od płotów usłyszałam cudowny dźwięk cudownego silnika. Przekręciłam kierownicę. „Nie tak mocno, zarzuci przyczepą”. To był mój własny głos. Naczepa otarła się o coś bokiem, o rząd płotów, małych drzewek albo o jedno i drugie, potem omal nie zmiotła Fi z drogi i ostatecznie gwałtownie zahamowała zaledwie metr od skrzyżowania. Wylączyłam silnik i zaciągnęłam ręczny, zastanawiając się, dlaczego nie pomyślałam o nim wcześniej. Oparłam się o siedzenie i dyszałam przez szeroko otwarte usta, żeby wprowadzić powietrze do ściśniętego do bólu gardła.

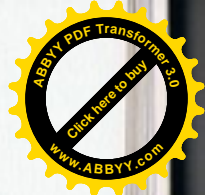
Fi wskoczyła do kabiny.

– Jejku, co się stało? – zapytała.

Potrząsnęłam głową.

– Chyba właśnie oblałam egzamin na prawo jazdy.

Plan był taki, żeby zaparkować trochę dalej, za drzewami na polu piknikowym. Nie byłam pewna, czy rzeczywiście tak zrobić – to oznaczało podjęcie ryzyka ponownego hałaśliwego



uruchamiania cysterny – czy może zostać tam, gdzie stałyśmy, na skraju ulicy. Ostatecznie postanowiłyśmy podjechać do drzew. Fi podkradła się do miejsca, skąd miała dobry widok na most, i zaczekała, aż wszyscy wartownicy znajdą się na drugim końcu mostu. Po dwudziestu minutach dała mi sygnał, a ja wjechałam w ciemne cienie drzew.

Skontaktowałyśmy się z chłopakami i rozpoczęły się przygotowania. Jeszcze raz weszłyśmy po drabince na zbiornik i odkręciłyśmy pokrywę wszystkich czterech komór. Potem do jednej z nich wepchnęłyśmy sznur i prawie całkiem zanurzyłyśmy go w benzynie, a suchy koniec przywiązałyśmy do uchwytu obok otworu. Następnie zeszłyśmy na dół.

Teraz pozostało jedynie czekać.

21

Jezu, ile my się naczekałyśmy. Przez jakiś czas cicho rozmawiałyśmy. Ze względów bezpieczeństwa siedziałyśmy z dala od cysterny, między drzewami, spod których rozciągał się widok na grille. Było bardzo cicho. Rozmawiałyśmy głównie o chłopakach. Chciałam się dowiedzieć jak najwięcej o Homerze i oczywiście pragnęłam pogadać o Lee.

Fi była kompletnie zauroczona Homerem. Jej uczucia zupełnie mnie zaskoczyły. Gdyby rok wcześniej ktoś mi powiedział, że to się stanie, poprosiłabym o okazanie dowodu ubezpieczenia zdrowotnego. Zaleciłabym temu komuś długi pobyt na oddziale psychiatrycznym. Ale oto miałam przed sobą elegancką, modną, markową i mieszkającą w willi na wzgórzu Fi zakochaną po uszy w prymitywnym jak flaki, noszącym robocze ciuchy King Gee, równym gościu i królu graffiti Homerze. Kiedy się na nich patrzyło, coś takiego nie mieściło się w głowie. Tylko że nie było już tajemnicą, że obydwójce mieli w sobie coś więcej, niż przypuszczałam. Fi wydawała się delikatna i skromna – nawet sama się za taką uważała – ale wykazywała się determinacją, której wcześniej u niej nie zauważyłam. Miała w sobie ducha, płonący gdzieś w środku ogień. Może coś w rodzaju paliwa lotniczego, które spala się niewidocznie. A Homer, cóż, Homer był zaskoczeniem mojego

zycia. Ostatnio miałam nawet wrażenie, że wyprzystojniał, pewnie dlatego, że trzymał głowę w górze, mówił z większą pewnością siebie i inaczej się poruszał. Miał tyle wyobraźni i rozsądku, że ledwie mogłam w to uwierzyć. Gdybyśmy kiedykolwiek wrócili do szkoły, nominowałabym go przewodniczącym rady uczniów – a potem rozdałabym nauczycielom sole trzeźwiące.

– On jest jak dwóch ludzi w jednym – powiedziała Fi. – Przy mnie jest nieśmiały, ale w grupie robi się pewny siebie. W poniedziałek mnie pocałował i to chyba przełamało lody. Bałam się, że nigdy tego nie zrobi.

Jasne, pewnie – pomyślałam. Poczułam lekki wstyd, bo ja i Lee zrobiliśmy już duże postępy od czasu pierwszego pocałunku.

– Wiesz – ciągnęła Fi – powiedział, że podkochiwał się we mnie w ósmej klasie. A ja nie miałam o tym pojęcia. Chociaż może to i dobrze. Uważałam go wtedy za strasznego przygłupa. A ci jego koleś!

– Nadal się z nimi zadaje – powiedziałam. – A przynajmniej się zadawał, zanim to wszystko się stało.

– Tak – zgodziła się Fi – ale chyba już nie chce mieć z nimi nic wspólnego. Bardzo się zmienił, nie uważasz?

– Boże, i to jak.

– Chcę się nauczyć wszystkiego o prowadzeniu gospodarstwa – oznajmiła Fi – a kiedy weźmiemy ślub, będę mogła mu pomagać.

O mój Boże! – pomyślałam. Kiedy słyszysz taki tekst, wiesz, że masz do czynienia z beznadziejnym przypadkiem. Nie żebym nie miewała małych miłych fantazji o tym, jak ja i Lee podróżujemy razem po świecie jako idealne małżeństwo.

Kiedy jednak słuchałam Fi, zrozumiałam, że tak naprawdę Homer pociągał mnie ostatnio – bardzo mocno i zagadkowo – dlatego, że bałam się go stracić. Był moim bratem. Jako że nie miałam brata, a on nie miał siostry, w pewnym sensie oboje się zaadoptowaliśmy. Razem dorastaliśmy. Mogłam mu powiedzieć rzeczy, których

nikomu innemu by nie wybaczył. Czasami, kiedy naprawdę mu odbijało, byłam jedyną osobą, której słuchał. Nie chciałam tracić tej przyjaźni, zwłaszcza teraz, kiedy chwilowo albo trwale straciliśmy tak wiele innych związków z ludźmi. Rodzice byli gdzieś daleko. Im dalej byli oni, tym bardziej chciałam zacieśnić więź z Homerem. Byłam w szoku, kiedy odkryłam w sobie takie uczucia – jakby gdzieś w głębi mnie czaiła się Ellie, o której wiedziałam bardzo mało i której istnienia nie byłam do końca świadoma. W nich też czaili się inni Homerowie i Fiony. Zastanawiałam się, jakie jeszcze niespodzianki trzyma dla mnie w zanadrzu ta tajemnicza Ellie. Obiecałam sobie, że w przyszłości postaram się zwracać na nią więcej uwagi.

Wtedy Fi zapytała mnie o Lee, a ja bez namysłu odpowiedziałam:

– Kocham go.

Nie skomentowała tego, a ja ciągnęłam dalej:

– Jest zupełnie inny niż wszyscy, których kiedykolwiek znalazłam. Jakby wychodził z moich snów. Wydaje się o wiele dojrzalszy niż większość chłopaków ze szkoły. Nie wiem, jak z nimi wytrzymuje. Chyba dlatego jest takim samotnikiem. Ale wiesz co, mam przeczucie, że dokona w życiu czegoś wspaniałego. Nie wiem czego: może zdobędzie sławę, zostanie premierem albo coś w tym rodzaju. Nie wyobrażam sobie, żeby do końca życia mieszkał w Wirrawee. Po prostu myślę, że czeka go wspaniała przyszłość.

– To niesamowite, jak dobrze zniósł postrzał – powiedziała Fi. – Był taki spokojny. Gdyby mnie spotkało coś takiego, nadal byłabym w szoku. Ale wiesz, Ellie, nigdy bym nie przypuszczała, że zostanie cie parą. Myślę, że to niesamowite. Tak dobrze do siebie pasujecie.

– A co dopiero ty i Homer!

Roześmiałyśmy się i znowu spojrzaliśmy na most. Powoli mijały kolejne godziny. Fi ucięła sobie nawet dwudziestominutową drzemkę. Nie mogłam w to uwierzyć, ale kiedy jej o tym powiedziałam, ostro zaprzeczyła, twierdząc, że nawet nie zmrużyła oka. Ja w miarę upływu czasu czułam coraz większe napięcie. Chciałam,

żebyśmy mieli to już za sobą – tę szaloną i niebezpieczną akcję, na którą wzajemnie się namówiliśmy.

Problem polegał na tym, że nigdzie nie było widać konwoju. Homer i Lee chcieli wkroczyć do akcji po przejeździe konwoju, żeby zdążyć przed następną grupą pojazdów. Ale zbliżała się czwarta, a na drodze nadal panowała dobijająca pustka.

Potem nagle nastąpiła zmiana we wzorcu aktywności na moście. Wszyscy wartownicy stali po stronie Zatoki Szewca, ale nawet z tej odległości widziałam, że gwałtownie się ożywili i wzmoгли czujność. Przeszli na środek mostu i patrzyli na drogę po drugiej stronie. Trąciłam Fi łokciem.

– Coś się dzieje – powiedziałam. – Możliwe, że zbliża się konwój.

Stałyśmy i wpatrywałyśmy się w dal, wytężając wzrok, żeby dostrzec coś na ciemnej autostradzie. Ale zachowanie wartowników podpowiedziało nam, co się dzieje. Zaczęli się cofać, a potem ich mała grupka rozdzieliła się i część ruszyła na jedną stronę mostu, a druga część na drugą. Ostatni wartownik przez chwilę biegł w kółko, potem ruszył biegiem w stronę Wirrawee, a na końcu zmienił zdanie i też odskoczył na bok.

– To bydło – powiedziałam. – Na ma innej opcji.

Pognałyśmy w stronę cysterny, porzucając milczące, bezużyteczne krótkofalówki. Nie było czasu się zastanawiać, czy ulicą nie nadciąga jakiś patrol. Wskoczyłyśmy do kabiny i zapuściłam silnik. Wrzuciłam bieg, spojrzałam w górę i chociaż szybkość działania była teraz sprawą najwyższej wagi, nie mogłam się oprzeć i poświęciłam sekundę, aby nasycić się cudownym widokiem na moście. Co najmniej sto wspaniałych krów rasy hereford, pięknych dużych rudych zwierząt, wpadało na starą drewnianą konstrukcję jak potężny pociąg z wołowiną. I to pełną parą. Nawet z tej odległości słyszałam tupot kopyt o drewno. Krowy gnały jak rozpędzone lokomotywy.

– Uau – szepnęłam.

– Gazu! – krzyknęła Fi.

Wcisnęłam pedał i cysterna powoli ruszyła. Musiałyśmy pokonać mniej więcej pół kilometra. W moich żyłach krążyło tyle adrenaliny, że czułam się uodporniona na niebezpieczeństwo, na kule, na wszystko.

– Gazu! – znowu krzyknęła Fi.

Kiedy wjechałyśmy pod most, wsunęłam cysternę najbardziej jak się dało pod lewą stronę, dzięki czemu zbiornik znalazł się pod najniższą częścią konstrukcji. Sztuczka polegała na tym, żeby wjechać tam, nie ocierając się o wspornik, bo iskry mogły zafundować mi i Fi szybki i okropny koniec. Ale udało nam się podjechać bez problemu, bliźiutko, tak że między cysterną a mostem została zaledwie dwumetrowa przerwa. Dopiero wtedy po raz pierwszy przyszło nam do głowy, że cysterna mogła się w ogóle nie zmieścić po mostem. Ale było trochę za późno na analizowanie takiego problemu. Mieliśmy furka. Fi nie mogła otworzyć drzwi, które były za blisko wspornika, więc zaczęła się przesuwać na moją stronę. Trochę wyskoczyłam, a trochę wypadłam z kabiny. Most nad moją głową trząśł się i dudnił, kiedy pierwsze galopujące krowy dotarły na nasz koniec. Wchodziłam po drabinie na zbiornik, a Fi wyskoczyła z kabiny i nie patrząc w moją stronę, popędziła do motorów. Ten bieg, który za chwilę czekał i mnie, był najbardziej ryzykowną częścią planu. Od krzaków, w których ukryłyśmy motory, dzieliło nas jakieś dwieście metrów otwartej przestrzeni. Nie było tam żadnej osłony, nic nas nie chroniło przed wściekłymi kulami, które mogły się za nami posypać. Potrząsnęłam głową, żeby odpędzić od siebie przeżajające myśli, i popelzłam po cysternie, pochylona, żeby nie uderzyć głową w spód mostu. Sięgnęłam po sznur i spojrzałam w górę. Fi zniknęła i miałam nadzieję, że bezpiecznie dotarła do krzaków. Zaczęłam wyjmować przesiąknięty benzyną sznur, kawałek po kawałku, i spuszczać go na ziemię obok cysterny. W tak ograniczonej przestrzeni opary okropnie śmierdziały. Zrobiło mi się słabo i od razu rozboleła mnie głowa. Zdałam sobie sprawę, że nie pomyśleliśmy o jeszcze jednej rzeczy: o czymś do przywiązania końcówki

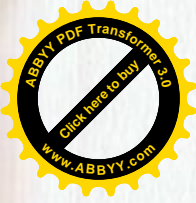
sznura, która miała pozostać w zbiorniku, żeby nie wypadła, kiedy będę uciekała z drugim końcem. Ale było na to za późno. Mogłam jedynie wcisnąć pokrywę najciaśniej, jak się dało, i mieć nadzieję, że sznur nie wypadnie.

Zlazłam po drabinie. Wydawało mi się, że wyjęcie sznura trwało wieki. Przez cały ten czas nie zwracałam uwagi na dudnienie rozlegające się tuż nad moją głową, ale teraz zauważyłam, że zaczyna cichnąć. Można było rozróżnić tupot poszczególnych kopyt. Od razu oblałam się potem, znalazłam drugi koniec sznura, złapałam go i pobiegłam. Byłam cała mokra od benzyny, nawdychałam się oparów i w rezultacie czułam się bardzo dziwnie, jakbym się unosiła nad trawą. Nie było to jednak przyjemne lewitowanie – raczej takie, od którego dostawałam choroby morskiej.

Jakieś sto metrów od krzaków usłyszałam jednocześnie dwa dźwięki. Jeden był mile widziany, drugi nie. Tym pierwszym był warkot motorów. Drugim krzyk od strony mostu.

Gardło wydaje pewne dźwięki, które bez względu na język mają bardzo jasne znaczenie. Kiedy byłam mała, miałam psa, który wabił się Rufus. Był krzyżówką border collie i springer spaniela, psem wprost stworzonym do polowania na króliki. Popołudniami przeważnie zabierałam go na spacer, żeby podziwiać jego naprężone ciało w pogoni za umykającym królikiem. Kiedy ścigał ofiarę, zawsze wydawał charakterystyczny wysoki skowyt, którego nigdy nie słyszałam w innych sytuacjach. Nieważne, gdzie akurat byłam ani co robiłam: słysząc ten dźwięk, od razu wiedziałam, że Rufus goni królika.

Krzyk dobiegający od strony mostu, chociaż wydobył się z ust obcokrajowca, też miał jasne znaczenie: „Alarm! Chodźcie tu szybko!”. Chociaż do krzaków pozostało mi zaledwie sto metrów, nagle nabrałam wrażenia, że to szmat drogi. Czułam, że nigdy nie dotrę do celu, że nigdy nie zdołam pokonać takiego dystansu, że mogę biec przez resztę życia i nie uda mi się uciec. To była okropna chwila, znalazłam się o krok od śmierci. Ogarnął mnie



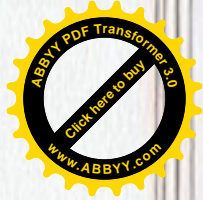
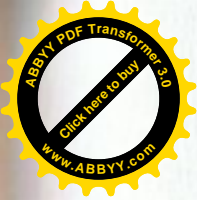
dziwny stan, jakbym się znalazła na terytorium śmierci, mimo że nie trafiła mnie jeszcze żadna kula. Nie wiem nawet, czy ktokolwiek strzelał. Ale myślę, że nawet gdybym wtedy oberwała, nic bym nie poczuła. Tylko żywi ludzie potrafią odczuwać ból, a ja właśnie odpływałam ze świata zamieszkanego przez żywych.

Wtedy pojawiła się Fi, która krzyknęła:

– Och, Ellie, proszę cię!

Stała w krzakach, ale miałam wrażenie, że tkwi dokładnie naprzeciwko mnie, a jej twarz wydawała się ogromna. Tym, co mnie otrzeźwiło, było chyba słowo „proszę”: poczułam, że Fi mnie potrzebuje, że jestem dla niej kimś ważnym. Nasza przyjaźń, miłość, nazwijcie to, jak chcecie, sięgnęła nad gołą ziemią i wciągnęła mnie jak kołowrotek. Czułam, że w powietrzu świszczą kule, że głośno uderzam butami o ziemię, że gwałtownie chwytam powietrze i że boli mnie klatka piersiowa, a potem wpadłam w bezpieczną kępę drzew i potykając się, ruszyłam w stronę motoru, rzucając koniec sznura Fi. Miałam ochotę ją uściskać, ale zostało mi wystarczająco rozumu, żeby wiedzieć, że ociekając benzyną, jestem jak trędowata i mój uścisk wydałby na Fi wyrok śmierci.

Złapałam dalej zaparkowany motor, złożyłam stopkę kopniakiem, a potem szybko się odwróciłam i spojrzałam na Fi. Dokładnie wtedy rozległ się syk i po trawie pognał sznur ognia. Fi wróciła biegiem. Z zaskoczeniem zauważyłam, że jej twarz jaśnieje, nie od ognia, ale od wewnątrz. Rozpierała ją radość. Zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie ukrywa w sobie piromanki. Złapała motor, a potem obie zawróciłyśmy i wystartowałyśmy, ryjąc tylnymi kołami w wypiełgnowanej trawie pola piknikowego Wirrawee. Fi jechała przodem, wydając dzikie wojenne okrzyki. I tak, przyznaję, to właśnie my zryłyśmy trawę, jeżdżąc wokół siódmego dołka na polu golfowym. To bardzo niedojrzałe z naszej strony.



22

Kiedy dołączyliśmy do Homera i Lee w rowie za domem Fleetów, przez jakieś dziesięć minut gadaliśmy jak najęci. Wszyscy próbowali mówić równocześnie. Ulga, radość, wyjaśnienia, przeprosiny.

– Zamknijcie się wszyscy! – zawołał w końcu Lee, stosując taktykę Homera, i w nagłej ciszy powiedział: – No, tak lepiej. Fi, mów pierwsza.

Opowiedziałyśmy swoją historię, a potem chłopaki swoją. Po tamtej stronie rzeki byli bezpieczniejsi, więc zaczekali, żeby obejrzeć eksplozję – trzęsienie ziemi, które my tylko słyszałyśmy i czułyśmy.

– Oj, Ellie – powiedział Homer. – To najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem.

Zaczęłam się obawiać, że z niego też zrobiliśmy piromana.

– Tak – potwierdził Lee. – Wybuch był niesamowity.

– Opowiedzcie nam wszystko – poprosiłam. – Nie ma pośpiechu. Mamy cały dzień.

Nastał poranek i jedliśmy śniadanie z puszek znalezionych w spiżarni Fleetów. Ja zdecydowałam się na pieczoną fasolę z tuńczykiem. Czułam się całkiem nieźle. Przed świtem wykąpałam się w sztucznym jeziorzku i z radością zmyłam ze skóry resztki benzy-ny. Byłam w nastroju na czułości i nie mogłam się doczekać, kiedy przytulę się do Lee i spędzę tak cały dzień. Tymczasem cieszyłam

się jednak, że mogę wygodnie się położyć, zamknąć oczy i posłuchać bajki na dobranoc.

– Z początku szło całkiem gładko – zaczął Homer. – Bez problemu dotarliśmy do hodowli, chociaż pchanie motorów przez kilka ostatnich kilometrów było trudnym zadaniem. – Homer wykonał je dwa razy: zaprowadził swój motor do kryjówki, a potem wrócił po motor Lee. – Jak wiecie – ciągnął – miałem się zająć krowami i po cichu wypędzić je na drogę. Potem Lee miał się schować przy drodze i popędzić je ogniem, a ja miałem mu pomóc ościeniem.

– Udało nam się znaleźć tylko jeden oścień, a pomysł z aerozolem odrzuciliśmy jako zbyt niebezpieczny, ale znaleźliśmy lampę błyskową zasilaną bateriami i Homer był pewny, że szybkie oślepiające błyski zdadzą egzamin.

– No więc wygodnie się ulokowaliśmy – ciągnął Homer – położyliśmy się na plecach, patrzyliśmy na gwiazdy i marzyliśmy o wielkich świeżych stekach. Parę razy się z wami połączyliśmy i zadowoleni czekaliśmy na konwój. Wtedy napotkaliśmy dwa poważne problemy. Po pierwsze, nie nadjeżdżał żaden konwój. Może nie byłoby to takie straszne, gdyby udało nam się z wami połączyć i powiedzieć, że i tak ruszamy do akcji. Chociaż istniało poważne niebezpieczeństwo, że nagle będziemy mieli na ogonie cały konwój. Po drugie, okazało się, że ta cholerna krótkofalówka kompletnie zdechła. Nie mogliśmy w to uwierzyć. Próbowaliśmy wszystkiego. W końcu Lee prawie rozebrał ten złom na części, ale radio i tak było martwe jak dinozaury. No więc byliśmy dość zeschizowani. Wiedzieliśmy, że będziecie czekały, narażając się na niebezpieczeństwo i wypatrując sygnału, który nigdy nie nadejdzie. W tamtej chwili prawie zaczęliśmy panikować. Mieliśmy dwa wyjścia: wypuścić bydło i mieć nadzieję, że w porę zareagujecie, albo dać sobie spokój. Ale nie mogliśmy zrezygnować, bo przecież nie byliśmy w stanie was zawiadomić. Wycofując się, musielibyśmy was zostawić na pastwę losu. Na tym polegała słabość naszego planu:

za bardzo polegaliśmy na krótkofalówkach. Znowu się czegoś nauczyłem: nigdy za bardzo nie ufaj maszynom. Więc tak naprawdę mieliśmy tylko jedno wyjście. Robiło się późno, więc nie mogliśmy dłużej czekać na konwój. Lee wyszedł na drogę, zabierając z sobą lampę, a ja popędziłem bydło.

– Jak? – zapytała Fi.

– Hm?

– Jak? Jak sprawić, żeby wielkie stado krów zrobiło w środku nocy to, co chcesz?

Pamiętam, że już wcześniej próbowała się tego dowiedzieć. Naprawdę chciała zamieszkać na wsi.

– No wiesz – powiedział Homer z nieco głupią miną. – Trzeba syczeć.

– Co robić?

– Syczeć. To stara sztuczka hodowców bydła. Nauczyła mnie tego pani Bamford. Krowy nie lubią syczenia, więc wystarczy za nimi stanąć i udawać węża.

Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby Fi wyjęła notes i z powagą zapisała te słowa. Zdradziwszy jedną ze swoich zawodowych tajemnic, Homer ciągnął dalej:

– Liczyliśmy na to, że uda się zatrzymać krowy na drodze, póki wartownicy nie znajdą się na właściwym końcu mostu, ale nie mieliśmy szans. Krowy były zbyt niespokojne, a my się baliśmy, że zjawi się jakiś konwój albo patrol. No więc wzięliśmy oścień, lampę błyskową i daliśmy czadu.

– Było całkiem fajnie – zamyślił się Lee. – Nie licząc kilku pierwszych sekund, kiedy myślałem, że mnie staranują.

– Przecież wartownicy byli po właściwej stronie mostu – zdziwiłam się. – Stali w idealnym miejscu.

– Serio? W takim razie mieliśmy niezłego fuksa. Zupełnie tego nie planowaliśmy. Popędzaliśmy tylko krowy, dopóki nas nie prześcignęły, a potem pobiegliśmy z powrotem i wskoczyliśmy

na motory. Zatrzymaliśmy się nad brzegiem rzeki, żeby popatrzeć. I wiecie co? Żałuję, że wzięliśmy tylko lampę błyskową, a nie pomyśleliśmy o aparacie. To było niewiarygodne. Z mostu zbiegały ostatnie krowy, a żołnierze nadal sterczeli po bokach, tylko że teraz strzelali do Ellie, jakby to był sezon polowań na kaczki. Do końca swoich dni nie zrozumieję, jak to się stało, że żadna z tych kul cię nie trafiła, Ellie. Powietrze było od nich gęste. Krzyczeliśmy: „Uciekaj, Ellie, uciekaj!”. Zdziwiałe było to, że cały czas trzymałaś sznur. Widzieliśmy cysternę cierpliwie czekającą pod mostem na wybuch. Potem zniknęłaś w krzakach. Prawdę mówiąc, wyglądało tak, jakbyś w nie wpłynęła jak jakiś anioł. Przyszedł mi do głowy dziwny pomysł, że cię trafili, jesteś martwa, a my patrzemy na twoją duszę.

Roześmiałam się, ale nie powiedziałam ani słowa.

– Potem – ciągnął Homer – dosłownie chwilę później, pojawił się płomień. Żołnierze chyba nie wiedzieli, o co chodzi. Stali, pokazywali go sobie i coś krzyczeli. Nie widzieli cysterny, która stała bardzo ładnie schowana pod mostem. Aż nagle doszli do wniosku, że są w niebezpieczeństwie. Odwrócili się i zaczęli uciekać. Ledwie zdążyli. Pewnie się ucieszysz – dodał, spoglądając na mnie – że żadnemu z nich raczej nic się nie stało.

Podziękowałam mu skinieniem głowy. Dużo to dla mnie znaczyło, ale nie załatwiało wszystkiego. Skoro świadomie robiłam takie rzeczy jak wysadzanie mostów w powietrze, fakt, że mieliśmy szczęście i nikomu nie stała się krzywda, nie zwalniał mnie z odpowiedzialności. Kiedy postanowiłam wziąć udział w akcji z cysterną, byłam przygotowana na to, że jej konsekwencje będą mi towarzyszyć do końca życia, jakiegokolwiek by były.

– Nastąpiła sekunda ciszy – ciągnął Homer – a potem cysterna wybuchła. Mówię wam, nigdy niczego podobnego nie widziałem. Koniec mostu, pod którym stała ciężarówka, uniósł się o jakieś pięć metrów. Zanim spadł, kilka sekund wisiał w powietrzu.

Ale kiedy runął, przez chwilę wyglądał, jakby tylko trochę się przekrzywił. Potem nastąpił drugi wybuch i wszędzie zaczęły latać kawałki konstrukcji. Ta ogromna kula ognia poszybowała prosto w górę, potem nastąpiły jeszcze dwa wybuchy i wszędzie było widać ogień. Dużo małych pożarów i jeden największy. Wyglądało to tak, jakby palił się cały park, nie wspominając o moście. Jak powiedział Lee, wybuch był niesamowity.

– No tak, Wirrawee od dawna domagało się nowego mostu – powiedział Lee. – Chyba w końcu go dostanie.

Bajeczka na dobranoc opowiedziana przez Homera była wciągająca i miło się jej słuchało, chociaż świadomość tego, co zrobiliśmy i do czego jesteśmy zdolni, była wręcz przerażająca. Homer pominął tylko jedno: kiedy znowu się zobaczyliśmy, cali i zdrowi, rozplakał się ze szczęścia. Wtedy znowu dostrzegłam w nim urok, który miał jako mały chłopiec, choć większość ludzi prawdopodobnie myślała, że jako nastolatek kompletnie go zatracił.

Wycofaliśmy się w cień między skałami. Lee dostał pierwszą wartę. Chciałam usiąść obok niego, dotrzymać mu towarzystwa, ale nagle uderzyła we mnie tak silna fala zmęczenia, że dosłownie ugięły się pode mną nogi. Wczołgałam się w chłodną szczelinę między głazami i ułożyłam się wygodnie z głową na ukradzionej poduszce. Zapadłam w sen tak głęboki, że bardziej przypominał utratę świadomości. Później Lee powiedział, że próbował mnie obudzić na zmianę warty, ale mu się nie udało, więc posiedział zamiast mnie. Obudziłam się dopiero o czwartej.

Dopiero kiedy już prawie się ściemniło, zaczęliśmy przejawiać oznaki życia. Napędzało nas jedynie pragnienie powrotu do Piekle i zobaczenia pozostałej czwórki. Uznaliśmy, że spokojnie możemy pojechać motorami – opracowaliśmy trasę, która miała nas zaprowadzić do mojego domu, gdzie zostawiliśmy land-rovera. Mieliśmy ją pokonać etapami, żeby uniknąć spotkania z jakimś wrogim patrolom.

To zabawne, kiedy wspominam tamtą podróż, zastanawiam się, dlaczego nie miałam żadnego przeczucia. Chyba wszyscy byliśmy zbyt zmęczeni, myśleliśmy, że najgorsze już za nami, że odwaliliśmy robotę i zasłużyliśmy na odpoczynek. W pewnym sensie człowiek od dziecka uczy się wierzyć, że właśnie tak wygląda życie.

Wyruszyliśmy koło dziesiątej. Byliśmy ostrożni, jechaliśmy powoli, najciszej jak się dało. Mniej więcej o północy wjechaliśmy na podjazd, minęliśmy mój dom i skierowaliśmy się prosto do garażu. Land-rover czekał schowany w krzakach, ale chciałam zabrać z szopy kilka narzędzi. Zgasiłam silnik, oparłam motor na stopce, a potem skręciłam i weszłam do dużego warsztatu.

W środku zobaczyłam coś, co przypominało jeden z bożonarodzeniowych obrazków w kościele, takich z Józefem i Maryją, z pasterzami i tak dalej, którzy stali jak żywi, ale zastygli w bezruchu. Obrazek w moim warsztacie oświetlało słabe światło latarki. Baterie były na wyczerpaniu. Kevin siedział na starej prasie do wełny pod ścianą. Obok niego kucą Robyn, trzymając jedną dłoń na jego ramieniu. Z drugiej strony stał Chris, który patrzył w dół, na Corrie. A Corrie leżała oparta na kolanach Kevina. Miała zamknięte oczy, odchyłoną do tyłu głowę i bladą twarz. Zatrzymałam się, a Kevin, Chris i Robyn popatrzyli w moją stronę. Corrie nadal nie otwierała oczu. Nie byłam w stanie się ruszyć. Czułam się tak, jakbym ja też dołączyła do tego obrazka.

Potem Kevin powiedział:

– Oberwała, Ellie.

Jego głos sprawił, że czar prysł. Podbiegłam do Corrie i uklęknęłam obok niej. Usłyszałam krzyk Homera i pozostałych, którzy też weszli do warsztatu, ale nie odrywałam oczu od Corrie. Z jej ust wypływała cienka strużka krwi, maleńkie różowe banieczki.

– W co dostała? – zapytałam.

– W plecy – odpowiedział Chris. Wydawał się wręcz nienaturalnie spokojny. Robyn bezgłośnie płakała. Kevin cały się trząsnął.

– Co teraz zrobimy? – zapytała Fi, podchodząc do nas. Spojrzałam na nią. Jej ogromne oczy nadawały twarzy wyraz paniki i przerażenia.

– Będziemy musieli zawieźć ją do miasta – powiedział Homer. – Wiemy, że szpital nadal działa. Musimy im zaufać. Nie ma innego wyjścia.

Miał rację. Nie było innego wyjścia.

– Przyprawdę land-rovera – powiedziałam, wstając.

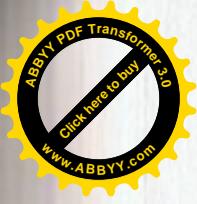
– Nie – szybko zaprotestował Homer. – Nadal mamy tu merca. Stoi bliżej i będzie jej w nim wygodniej.

Pobiegłam po mercedesa. Wjechałam tyłem do warsztatu i wyskoczyłam, żeby pomóc wnieść Corrie do środka. Ale moja pomoc nie była im potrzebna. Ostrożnie ją podnieśli i powoli ułożyli na tylnym siedzeniu. W przestrzeni na nogi upchnęliśmy jutowe worki i obłożyliśmy Corrie poduszkami, żeby nie mogła się przeturłać ani spaść. Połykałam lzy, patrząc, jak tam leży. Jej pierś powoli wznosiła się i opadała przy każdym gulgoczącym oddechu. To była moja ukochana Corrie, przyjaźniłyśmy się od dziecka. Jeśli Homer był moim bratem, Corrie była siostrą. Jej twarz wyglądała bardzo spokojnie, ale czułam, że wewnątrz ciała toczy się zacieklą walka, walka na śmierć i życie. Wyprostowałam się i spojrzałam na pozostałych. Homer zaczął mówić:

– To zabrzmi okrutnie – powiedział – ale jedyne, co możemy zrobić, to podwieźć ją pod bramę szpitala, zostawić tam samochód z Corrie w środku, zadzwonić do drzwi i czym prędzej uciec. Musimy myśleć racjonalnie. Siedem osób to lepsze niż sześć. Jeśli oprócz Corrie stracimy jeszcze kogoś, bardzo nas to osłabi. Nie wspominając o nieprzyjemnym przesłuchaniu, które czekałoby taką osobę.

Kevin wstał.

– Nie – powiedział. – Nie. Mam gdzieś, co jest racjonalne i logiczne. Corrie to moja dziewczyna, nie zamierzam jej tam podrzucić i uciec. Zawiozę ją ja albo Ellie, bo tylko my umiemy prowdzić. Ellie, jeśli nie masz nic przeciwko, wezmę to na siebie.



Nie odpowiedziałam, nie poruszyłam się. Nie potrafiłam.

Kevin podszedł do drzwi po stronie kierowcy i wsiadł do środka. Fi wsadziła głowę przez opuszczoną szybę i go pocałowała. Przez chwilę trzymał ją za ramię, a potem puścił.

– Powodzenia, Kevin – powiedział Lee.

– Tak – powtórzył Homer, kiedy samochód zaczął cofać. – Powodzenia.

Chris poklepał bagażnik samochodu. Robyn za bardzo płakała, żeby cokolwiek powiedzieć. Podbiegłam do drzwi kierowcy, pochyliłam się i szłam obok jadącego samochodu.

– Kevin – poprosiłam. – Przekaż Corrie, że ją kocham.

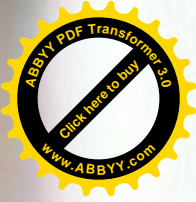
– Jasne – powiedział.

– Ciebie też kocham, Kevin.

– Dzięki, Ellie.

Samochód wytoczył się na podwórze. Kevin wrzucił jedynkę, włączył światła i odjechał. Widziałam jego skupioną twarz, kiedy omijał wyboje na podejździe. Wiedziałam, że Corrie jest w dobrych rękach, i rozumiałam, dlaczego włączył światła. Stałam i patrzyłam, póki czerwone światła z tyłu nie zniknęły w oddali.

– Wracajmy do domu – powiedział Homer. – Do Piekła.

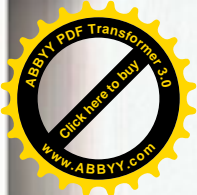


Epilog

Trudno znaleźć początek historii – o ile dobrze pamiętam, wspominałam o tym, kiedy zaczęłam opisywać naszą. I trudno stwierdzić, kiedy historii się kończą. Ta jeszcze się nie skończyła. Czekaemy tu od tygodnia, odkąd Kevin pojechał do miasta, wioząc Corrie na tylnym siedzeniu. Przez cały ten czas gorączkowo pisałam, ale pozostali często wchodzili na Szew Krawca i sprawdzali, co się dzieje. Na razie nie widać żadnych patroli, więc Kevinowi udało się chyba sprzedać im jakąś historyjkę o tym, gdzie się ukrywali razem z Corrie. Trochę gratów nadal leżało w sali bankietowej, więc może sobie o nich przypomniał i zrobił z tego użytek.

Nie rozmawiamy o innych możliwościach, na przykład o tym, że Kevin nawet nie zdołał dotrzeć do szpitala. Po prostu nie wiemy, co się z nimi stało, ale modlę się za nich dziesięć razy dziennie. Jeśli minie godzina i ani razu o nich nie pomyślę, mam poczucie winy.

Cieszę się, że opisałam wszystko, co się dotąd wydarzyło. Chyba teraz będę musiała to pokazać reszcie. Mam nadzieję, że im się spodoba. Zostawienie jakiegoś śladu, zapisanie się w pamięci naprawdę wiele dla nas znaczy. Ciągle myślę o metalowej kasetce w chatce pustelnika. Bez niej nic byśmy o nim nie wiedzieli, znałibyśmy tylko plotki, które tak naprawdę mówiły bardzo niewiele.



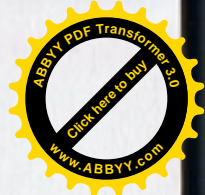
Nie wiem, jak długo tu jeszcze będziemy. Może tak długo jak pustelnik. Mamy kury, zasadziliśmy warzywa i nadal liczymy na to, że uda nam się zdobyć fretki i siatki na króliki. Właśnie po nie poszli Kevin i Corrie tamtej nocy do domu jego wujka. Nawet nie widzieli, kto do nich strzelał. Nagle w powietrzu zaczęły świstać kule i Corrie oberwała. Kevin wrócił po nią biegiem i zaniósł aż do mojego domu.

Lojalność, odwaga, dobroć. Zastanawiam się, czy one też są wynalazkami człowieka, czy może po prostu są.

Rozglądam się. Homer robi listy i układa plany. Bóg jeden wie, co dla nas szykuje. Robyn czyta Biblię. Modli się cicho co wieczór. Lubię Robyn i podoba mi się siła jej wiary. Chris też coś pisze, pewnie wiersz. Nie zrozumiałam żadnego z tych, które mi dotąd pokazał – nie wiem, czy on sam je rozumie – ale zawsze próbuję wymyślić jakiś inteligentny komentarz. Fi wbija kołki, powiększając zagrodę dla kur. Lee siedzi obok mnie i stara się zbudować pułapkę na króliki. Raczej nie uda się w nią złapać królika o ilarazie inteligencji wyższym niż dziesięć, ale kto wie? Może króliki mają jednocyfrowe ilarazy inteligencji. Tak czy siak, podoba mi się to, że co kilka minut Lee przerywa pracę, żeby pogładzić mnie po nodze swoimi smukłymi brązowymi palcami.

Jednego jestem pewna: musimy trzymać się razem. Chwilami doprowadzamy się nawzajem do szału, ale nie chcę tu skończyć sama jak pustelnik. Wtedy to naprawdę byłoby piekło. Ludzie tak bardzo krzywdzą się nawzajem. Mózg mi podpowiada, że muszą być źli. Ale serce nadal nie jest przekonane.

Mam tylko nadzieję, że uda nam się przeżyć.



Od autora

Miejsca opisane w tej książce nawiązują do prawdziwych miejsc. Piekło to dość wierna kopia Strasznej Kotliny w Alpach Australijskich niedaleko Mount Howitt w Wiktorii. Do kotliny schodzą małe urwiska przypominające schody, znane jako Schody Diabła. Szew Krawca to Pila Poprzeczna, długa skalna grań biegnąca kilometrami od Mount Howitt do Mount Speculation przez Big Hill i Mount Buggery. To wyjątkowo piękny szlak dla wielbicieli spacerów, z którego rozciąga się dobry widok na Straszna Kotlinę.

Wśród okolicznych mieszkańców panuje przekonanie, że pustelnik rzeczywiście przez wiele lat mieszkał niedaleko Mount Howitt i Strasznej Kotliny. Było kilku naocznych świadków, zwłaszcza pod koniec lat siedemdziesiątych. W 1986 roku turysta Scott Vickers-Willis znalazł pięknie rzeźbioną drewnianą laskę, ukrytą w krzakach na skraju Strasznej Kotliny. Widziałem tę laskę. Nadal znajduje się w posiadaniu pana Vickersa-Willisa. Znalezienie jej w tak odludnej i dzikiej części świata dostarcza zdumiewającego potwierdzenia historii o pustelniku.

Inne miejsca pojawiające się w *Jutro, gdy zaczęła się wojna* to Chińskie Mury, skalisty górski obszar na prywatnej farmie niedaleko Khancoban w Nowej Południowej Walii, oraz długi drewniany most nad rzeką Murrumbidgee niedaleko Gundagai w Nowej Południowej Walii. Ogólnie rzecz biorąc, scenerie podobne do tych, w której rozgrywa się akcja tej książki, można znaleźć w każdym australijskim stanie.